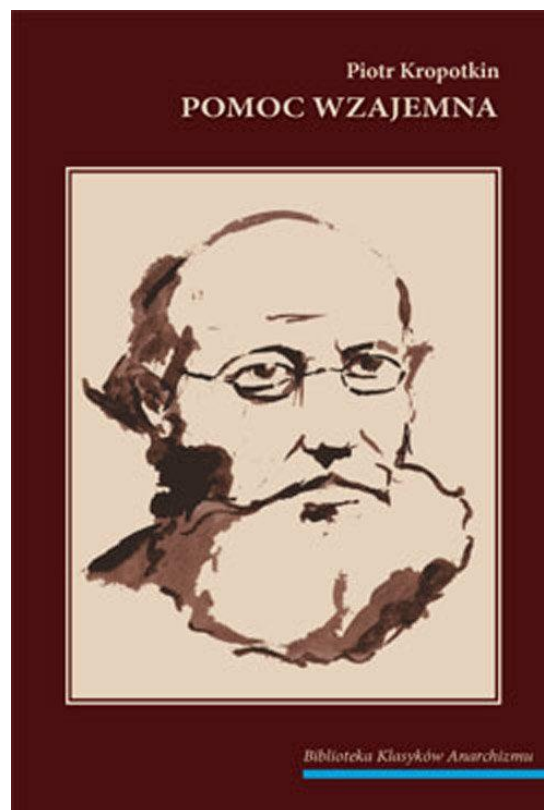


Pomoc Wzajemna

Jako czynnik rozwoju

Piotr Kropotkin



1902

Spis treści

Wstęp	3
Rozdział 1. Pomoc wzajemna w świecie zwierząt (1)	9
Rozdział 2. Pomoc wzajemna w świecie zwierząt (2)	23
Rozdział 3. Pomoc wzajemna wśród dzikich	43
Rozdział 4. Pomoc wzajemna wśród barbarzyńców	61
Rozdział 5. Pomoc wzajemna w mieście średniowiecznym (1)	78
Rozdział 6. Pomoc wzajemna w mieście średniowiecznym (2)	93
Rozdział 7 i 8. Pomoc wzajemna w naszych czasach	108
Rozdział 9. Wnioski	125

Wstęp

Podczas podróży, które w młodości odbyłem po wschodniej Syberii i północnej Mandżurii, szczególnie uderzyły mnie dwie strony życia zwierzęcego. Jedna z nich to nadzwyczajna ostrość walki o byt, do której większość gatunków zwierzęcych jest bezlitośnie zmuszana przez przyrodę; to olbrzymie zniszczenie życia, periodycznie wywoływane przez czynniki naturalne; to wreszcie wynikające z tego nadzwyczajne ubóstwo życia na badanych przeze mnie obszarach. Druga zaś strona - to brak tej ostrej walki o byt pomiędzy zwierzętami należącymi do tego samego gatunku, walki uważanej przez większość darwinistów (ale nie przez samego Darwina) za główną cechę życia zwierzęcego i za podstawowy czynnik rozwoju; podkreślam - walki pomiędzy osobnikami tego samego gatunku nie znalazłem, jakkolwiek szukałem jej zawzięcie.

W północnej części Eurazji w lutym i w marcu srożą się olbrzymie burze śnieżne, po których często następuje gołoledź; mrozy i zawieje powtarzają się potem w drugiej połowie maja, gdy drzewa są już w kwiecie i wszędzie roi się od owadów; wczesną jesienią przychodzą nieraz mrozy a w lipcu i w sierpniu zdarzają się obfite opady śnieżne, które w ciągu jednej godziny niszczą niezliczone mnóstwo owadów łącznie z drugim wylęgiem ptaków stepowych; w sierpniu i we wrześniu z powodu monsunów w okolicach o klimacie bardziej umiarkowanym padają deszcze tak ulewne, że wywołują powodzie w rozmiarach znanych jedynie w Ameryce i w Azji Wschodniej, zatapiające nieraz przestrzenie tak wielkie jak państwa europejskie; wreszcie w pierwszej połowie października zdarzają się wielkie śniegi, uniemożliwiające życie zwierzętom przeżuującym i zabijające je całymi tysiącami.

Oto warunki, w których obserwowałem walkę życia zwierzęcego z przyrodą w Azji północnej. Dzięki tym obserwacjom bardzo wcześnie doszedłem do należytej oceny tego, co Darwin nazywał "naturalną tamą przeciw przeludnieniu" a co jest znacznie potężniejsze, aniżeli walka pomiędzy jednostkami tego samego gatunku, zdarzająca się tu i ówdzie, niewytrzymująca jednak najmniejszego porównania z walką przeciw przyrodzie. Na tych olbrzymich przestrzeniach, które nazywamy Azją północną, znamieniem szczególnym jest ubóstwo życia a nie jego nadmiar; doprowadziło to mnie do poważnych wątpliwości (potwierdzonych później przez moje badania) co do realności tego straszliwego współzawodnictwa o żywność, które ma się toczyć wewnątrz gatunku, a które było przedmiotem wiary większości darwinistów: słowem - zwątpiłem, czy współzawodnictwo odgrywa rzeczywiście tę dominującą rolę, jaką przypisywano mu przy powstawaniu nowych gatunków.

Z drugiej znowu strony, gdy obserwowałem bujne życie jak np. nad brzegami jezior, gdzie gromadzą się dziesiątki gatunków i miliony jednostek w celu wyhodowania potomstwa; w koloniach gryzoni, w olbrzymich - iście amerykańskich wędrownkach ptaków nad brzegami Ussuri; szczególnie zaś w wędrownkach danieli, które miałem możliwość obserwować nad Amurem, gdzie ogromne stada tych rozumnych zwierząt zbierały się z wielkich obszarów, uciekając przed śniegami i mając zamiar przejść rzekę w najwęższym miejscu - we wszystkich tych i tym podobnych scenach, rozgrywających się przed moimi oczami, widziałem w świecie zwierzęcym pomoc wzajemną w takich rozmiarach, że doprowadziło

mnie to do uznania jej za pierwszorzędny czynnik utrzymania życia, zachowania każdego gatunku oraz jego rozwoju.

Wreszcie, za każdym razem kiedy miałem możliwość obserwować zwierzęta w okresie walki o byt – np. badając półdzikie bydło i konie w kraju zabajkalskim, zupełnie dzikie zwierzęta przeżuujące, wiewiórki itd. – stwierdzałem, że wszędzie tej ostrej walce towarzyszy obniżenie intensywności życia i że gatunki lub ich część zmuszone do walki, wychodzą z tej próby zdziśiatkowane i znacznie słabsze. To doprowadziło mnie do wniosku, że okresy ostrego współzawodnictwa bynajmniej nie są okresami rozwijania się gatunku.

Kiedy później zająłem się stosunkiem darwinizmu do socjologii, nie mogłem pogodzić się z żadną z darwinistycznych rozpraw socjologicznych. Rozprawy te, bowiem usiłowały dowieść, że człowiek dzięki swej wiedzy i rozumowi może złagodzić ostrość walki o byt wśród ludzi; wszystkie jednak przyznawały także, że walka o byt, walka o środki do życia, jest prawem natury, obowiązującym zarówno człowieka, jak wszystkie zwierzęta. Poglądu tego nie mogłem uznać, ponieważ nie widziałem bezlitosnej walki wewnątrz jednego gatunku i nie była ona dla mnie warunkiem postępu.

W styczniu roku 1880 prof. Kessler, dziekan uniwersytetu petersburskiego, ogłosił pracę pt. "Prawo pomocy wzajemnej".

Pogląd Kesslera streszcza się w tym, że obok prawa walki wzajemnej działa w przyrodzie prawo pomocy wzajemnej, które dla rozwoju gatunku jest dużo ważniejsze niż prawo wzajemnej walki. Myśl ta – będąca w rzeczywistości jedynie rozwinięciem poglądów Darwina, wyrażonych w "Pochodzeniu człowieka" – wydała mi się tak słuszna i ważna, że od chwili zapoznania się z nią, od roku 1883, począłem zbierać materiały dla uzasadnienia poglądu, który Kessler w swym odczycie tylko zaznaczył, lecz nie rozwinął, umarł bowiem w roku 1881.

W jednym tylko punkcie nie mogłem całkowicie podpisać się pod poglądami Kesslera. Odwoływał się on mianowicie do "uczucia rodzicielskiego", do dbałości o potomstwo, jako do źródła przychylności wzajemnej wśród zwierząt. Trudną rzeczą wprawdzie, byłoby określenie, w jakiej mierze uczucia rodzicielskie są rzeczywiście przyczyną rozwoju instynktów społecznych u zwierząt, w jakiej zaś mierze wchodzi, tu w grę czynniki inne. Dopiero po ustaleniu faktów pomocy wzajemnej, wśród różnych zwierząt i po ustaleniu jej wpływu na ewolucję, będziemy mogli zbadać, co w rozwoju uczuć społecznych należy zawdzięczać uczuciom rodzicielskim, co zaś samemu instynktowi społecznemu. W każdym razie jest rzeczą niewątpliwą, że uspołecznienie – instynkt społeczny rodzi się już nawet na najniższych stopniach świata zwierzęcego, być może nawet w stadium kolonii zwierzęcych. Zgodnie z tym, usiłowałem przede wszystkim określić znaczenie pomocy wzajemnej jako czynnika ewolucji uważając, że badanie źródeł tej pomocy wzajemnej będzie już zadaniem dalszym.

Znaczenie czynnika pomocy wzajemnej nie uszło uwagi tak genialnego przyrodnika jak Goethe. Kiedy Eckerman opowiadał kiedyś Goethemu (w roku 1827), że znalazł parę piskląt mysikrólików, które wypadły z gniazda i że pisklęta te dnia następnego znalazły się w gnieździe czerwieńki (*Motacillarubecula*), gdzie żywione były razem z pisklętami w gnieździe tym urodzonymi, Goethe wyraził z tego powodu zdziwienie i wzruszenie; widział w

tym potwierdzenie swych poglądów panteistycznych i powiedział: "Jeśli byłaby to prawda, że żywienie obcego jest czymś powszechnym w przyrodzie, że posiada ono charakter prawa ogólnego – w takim razie niejedna zagadka byłaby rozwiązana." Następnego dnia powrócił do tego przedmiotu i usilnie namawiał Eckermana (który, jak wiadomo, był zoologiem), aby przedsięwziął specjalne badania w tym kierunku, zapewniając go, że niewątpliwie odkryje prawdziwe skarby. Niestety, badania te nigdy nie były przedsięwzięte, jednak jest możliwe, że Brehm, który w dziełach swych zebrał tak obfity materiał dotyczący pomocy wzajemnej wśród zwierząt, mógł być pobudzony do tego przez uwagę Goethego.

W latach 1872 do 1883 ogłoszono kilka poważnych dzieł traktujących o inteligencji i umysłowym życiu zwierząt. Trzy z nich zajmują się specjalnie naszym przedmiotem, a mianowicie: Espinas – "Les sociétés animales", Paris 1887. – J. L. Lanessan – "La lutte pour l'existence et l'association pour la lutte", Paris, III. 1881. – L. Büchner – "Liebe und Liebes-Lieben in der Thierwelt", 1879. Dzieła te posiadają wybitną wartość, jednak pozostawiają jeszcze miejsce na pracę, w której pomoc wzajemna byłaby traktowana nie tylko jako argument dowodzący przedludzkiego pochodzenia instynktu moralnego, lecz również jako prawo przyrody i czynnik rozwoju. Espinas zwrócił uwagę na takie społeczeństwa zwierzęce (mrówki, pszczoły), które oparte są na fizjologicznym podziale pracy; dzieło jego pełne jest bardzo interesujących spostrzeżeń, napisane jednak było w czasie, kiedy rozwój społeczeństwa ludzkiego nie mógł być jeszcze rozpatrywany przy pomocy dzisiejszej wiedzy. Odczyt Lanessana posiada raczej charakter pięknego szkicu, w którym pomoc wzajemna traktowana jest poprzez całą przyrodę, poczynając od skał morskich, podnosząc się do świata zwierząt i roślin i dochodząc do człowieka. Co się tyczy dzieła Büchnera, pomimo całego bogactwa faktów w nim zawartych, nie mogę się zgodzić z jego myślą przewodnią. Książka rozpoczyna się hymnem do miłości i niemal wszystkie jej ilustracje mają na celu udowodnić istnienie pomiędzy zwierzętami uczuć miłości i współczucia. Sprowadzanie instynktu społecznego w świecie zwierzęcym do miłości i współczucia wiedzie ku ograniczeniu w ogóle jego znaczenia; zupełnie tak samo jak etyka ludzka oparta wyłącznie na osobistej miłości i współczuciu przyczyniła się jedynie do zacieśnienia poczucia moralnego w ogóle.

To nie miłość do mojego sąsiada – którego często zupełnie nie znam – zmusza mnie chwycić wiadro i bieć do jego domu, gdy zobaczę, że się pali; działa tu uczucie dużo szersze, bardziej nieokreślone – uczucie czy instynkt ludzkiej solidarności, poczucie łączności społecznej. To samo zjawisko zachodzi wśród zwierząt. Nie miłość, ani nawet współczucie (w ścisłym znaczeniu tego słowa) doprowadza stada przeżuwających lub koni do tworzenia koła w celu obrony przed wilkami; nie miłość skłania kocięta lub jagnięta do zabawy i nie miłość skłania dziesiątki gatunków młodych ptaków do wspólnego spędzania dni jesieni; również nie miłość i współczucie osobiste doprowadza tysiące danieli, rozrzuconych na przestrzeni tak wielkiej jak Francja, do tworzenia stad, zmierzających do jednego miejsca w celu przepłynięcia się przez rzekę. Mamy tu do czynienia z uczuciem nieskończenie szerszym niż miłość i współczucie osobiste; - jest to instynkt, który się rozwijał pomiędzy zwierzętami i ludźmi stopniowo w ciągu nadzwyczajnie długich okresów rozwoju, instynkt,

który nauczył zwierzęta i ludzi oceniać siłę, którą mogą czerpać z pomocy wzajemnej, instynkt, który dał im poznać radości płynące z życia społecznego.

Znaczenie tego rozróżnienia może być bez trudu ocenione przy badaniach psychologii zwierzęcej a jeszcze bardziej etyki ludzkiej. Miłość, współczucie i poświęcenie rzeczywiście odgrywają rolę w rozwoju naszych uczuć moralnych. Jednak społeczeństwo ludzkie oparte jest nie na miłości i nawet nie na współczuciu. Oparte jest na solidarności ludzkiej – choćby nawet występowała ona na poziomie instynktu. Mamy tu do czynienia z nieświadomym uznaniem tej siły, którą każdy człowiek czerpie z pomocy wzajemnej; mamy tu do czynienia ze ścisłą zależnością szczęścia każdego od szczęścia wszystkich; wreszcie z poczuciem sprawiedliwości, które doprowadza jednostkę do stawiania praw każdego ze swych bliźnich na równi z prawami własnymi. Na tej szerokiej i koniecznej podstawie założone są wyższe uczucia moralne. Tutaj jednak wyszlibyśmy już poza granice zakresu tej książki; odwołam się tylko do odczytu pt. "Sprawiedliwość i moralność", który ogłosiłem w odpowiedzi na "Etykę" Huxleya i w którym sprawy potraktowałem obszerniej.

Sądzę więc, że książka na temat – pomoc wzajemna jako prawo przyrody i czynnik rozwoju wypełni luką poważną. Kiedy Huxley wydał w roku 1888 swój "manifest" o walce o byt ("Struggle for Existence and its Bearing upon Man"), który według mnie był bardzo niedokładnym przedstawieniem tego, co rzeczywiście widzimy w zaroślach i lasach, wszedłem w porozumienie z wydawcą czasopisma, "Nineteenth Century", pytając go, czy udzieli miejsca na odpowiedź jednemu z najwybitniejszych darwinistów. Propozycja moja została przyjęta bardzo przychylnie. W sprawie tej rozmawiałem potem z W. Batesem, wybitnym współpracownikiem Darwina, który powiedział: "Tak, to właśnie jest prawdziwy darwinizm. Niech pan napisze te artykuły, a gdy ukażą się w druku, przyślę panu list, który będzie można ogłosić". Niestety, potrzeba mi było około siedmiu lat do napisania tych artykułów i gdy ogłosiłem ostatni, Bates nie żył już od dawna.

Rozpatrzenie znaczenia pomocy wzajemnej wśród różnych rodzajów zwierząt doprowadziło mnie do zbadania roli tego samego czynnika w rozwoju człowieka. Było to tym konieczniejsze, że wielu ewolucjonistów, którzy zapewne zgodzą się na uznanie znaczenia pomocy wzajemnej w świecie zwierzęcym, jak np. Herbert Spencer, stanowczo odmówią jej tego w świecie ludzkim. Twierdzą, oni, że w świecie człowieka pierwotnego walka, wszystkich przeciw wszystkim jest prawem panującym. W jakiej mierze twierdzenie to nie wytrzymuje krytyki, mimo że od czasu Hobbesa było aż zbyt chętnie powtarzane, postaram się wykazać w rozdziałach poświęconych ludziom dzikim i barbarzyńcom.

Liczba i znaczenie instytucji pomocy wzajemnej, powołanych do życia i rozwiniętych przez twórczość gromad dzikich lub półdzikich podczas najwcześniejszego okresu życia klanowego a jeszcze bardziej w okresie komunistycznej wsi pierwotnej, i olbrzymi wpływ, który te instytucje pierwotne wywarły na cały późniejszy rozwój ludzkości aż do naszych czasów włącznie, skłoniły mnie do rozciągnięcia badań również na okresy historyczne. Szczególnie zaś zwróciłem się do badania miast średniowiecznych przedstawiających okres niezwykle zajmujący, których wpływ na współczesną naszą cywilizację jest wciąż jeszcze niedoceniany. Postarałem się wreszcie zwrócić, choć pokrótce uwagę na znaczenie instynktów pomocy wzajemnej odziedziczonych przez człowieka w nadzwyczaj długim

okresie rozwojowym, instynktów odgrywających w naszym społeczeństwie współczesnym poważną rolę, jakkolwiek zwykle uważamy, że nasze życie opiera się na zasadzie: "Każdy dla siebie, a państwo dla wszystkich".

Przewiduję zarzut, że w książce tej przedstawiłem zarówno zwierzęta jak i ludzi w sposób zbyt przychylny; powiedzą być może, że położyłem nacisk na właściwości społeczne, zaledwie dotykając dążeń antyspołecznych i egoistycznych. Było to jednak nieuniknione. W ostatnich czasach tak dużo słyszymy o bezlitosnej walce o byt, którą rzekomo prowadzi każde oddzielne zwierzę przeciwko wszystkim zwierzętom, każdy oddzielny człowiek "dziki" przeciwko wszystkim innym "dzikim" i każdy człowiek cywilizowany przeciwko wszystkim swym współobywatelom – i twierdzenia te stały się tak dalece przedmiotem wiary – że jest rzeczą konieczną przeciwstawić im przede wszystkim obszerny szereg faktów ukazujących życie zwierzęce i ludzkie w świetle odmiennym. Trzeba było wskazać na to olbrzymie znaczenie, jakie dla rozwoju zarówno zwierząt jak ludzi posiadają w przyrodzie nawyki społeczne; trzeba było udowodnić, że one zapewniają zwierzętom obronę przed nieprzyjaciółmi, często ułatwiają zdobycie pożywienia (zapasy zimowe, wędrówki itd.), zabezpieczają dłuższe życie, a tym samym ułatwiają rozwój zdolności umysłowych; trzeba było dowieść, że instynkty te dają nadto ludziom możliwość dalszego rozwijania tych instytucji, które zapewniły człowiekowi zwycięstwo w walce przeciwko przyrodzie, które dały mu postęp wbrew wszystkim przeszkodom dziejowym. Książka ta jest książką o prawie pomocy wzajemnej jako o jednym z głównych czynników rozwoju, lecz nie o wszystkich czynnikach rozwojowych i o ich względnej wartości. Książkę taką trzeba było napisać, zanim można będzie przystąpić do napisania tej drugiej ogólniejszej.

Niewątpliwie byłbym ostatnim z tych, którzy chcieliby odmówić znaczenia dążeniom do jednostkowego samookreślenia się w rozwoju ludzkości. Wydaje mi się tylko, że przedmiot ten zasługuje na traktowanie dużo głębsze niż to, z którym spotykał się dotychczas. W dziejach ludzkich samookreślenie się jednostkowe było i zawsze jest czymś innym, dużo szerszym i głębszym, niż ten małostkowy i ciasny indywidualizm, o którym rozpisują się tak liczni autorzy. Te rzeczywiście wielkie osobistości, które tworzą dzieje, bynajmniej nie pokrywają się z bohaterami opisywanymi przez historyków. Toteż zmierzam ku temu, aby w przyszłości rozpatrzyć oddzielnie rolę samookreślenia się jednostkowego w rozwoju ludzkości. Na tym miejscu zaś mogę tylko zrobić uwagę następującą: kiedy instytucje pomocy wzajemnej – takie jak klan, wspólnota wiejska, gildie i grody średniowieczne – poczęły w ciągu dziejów tracić swój charakter pierwotny, kiedy powstały na nich narośle pasożytnicze i instytucje te stały się już tylko zawadą na drodze postępu, powstał przeciwko nim protest jednostek i przybrał wygląd dwojaki. Jedna część protestujących dążyła do oczyszczenia instytucji dawnych, do wytworzenia wyższej formy życia społecznego, opartej na tych samych zasadach pomocy wzajemnej: tak np. usiłowali oni wprowadzić zasadę rekompensaty zamiast zasady odwetu (*lex talionis*), potem zasadę przebaczenia uraz lub jeszcze wyższy ideał równości na miejsce rekompensaty. Jednocześnie jednak druga część tych protestujących usiłowała obalić instytucje pomocy wzajemnej jedynie w celu odniesienia z tego korzyści osobistych. Walka pomiędzy tymi dwoma grupami protestujących wypełnia istotną tragedię dziejową. Aby jednak rzeczywiście poznać tę walkę i uczciwie

rozdzielić, jakim czynnikiem w dziejach była każda z wymienionych grup, trzeba by było poświęcić na to co najmniej tyle czasu, ile zużyłem na napisanie tej książki.

Bromley (Kent) 1902.

Rozdział 1. Pomoc wzajemna w świecie zwierząt (1)

Pojęcie walki o byt, jako czynnika rozwoju, wprowadzone do nauki przez Darwina i Wallacea, pozwoliło nam objąć wielkim uogólnieniem olbrzymi szereg zjawisk; uogólnienie to stało się szybko podstawą naszych filozoficznych, biologicznych i socjologicznych rozważań. Olbrzymia różnorodność faktów: przystosowanie się sposobu życia i budowy organizmu do warunków środowiska; rozwój fizjologiczny i anatomiczny; postęp umysłowy a nawet moralny, który dotąd przypisywaliśmy tak różnym przyczynom - wszystko to zostało objęte przez Darwina jednym pojęciem ogólnym. Ujmujemy teraz to wszystko jako szereg wysiłków, jako walkę przeciwko nieprzyjaznym okolicznościom, jako rozwój jednostek, ras, gatunków i społeczeństw, dzięki któremu powstaje możliwie największa pełnia, różnorodność i bogactwo życia. Być może, z początku sam Darwin niezupełnie zdawał sobie sprawę z doniosłości i powszechności tego czynnika, który powołał on dla wytłumaczenia tylko jednego szeregu faktów związanych z nagromadzeniem zmian indywidualnych w rodzących się do życia gatunkach. Widział jednak, że wprowadzony przez niego termin straciłby znaczenie filozoficzne a tym samym jedyne swe prawdziwe znaczenie, jeśli używalibyśmy go w rozumieniu ciasnym - jako walkę pomiędzy oddzielnymi jednostkami o proste środki żywności. Toteż na samym wstępie do swego znakomitego dzieła położył nacisk, aby terminu tego używać "w znaczeniu szerszym, metaforycznym, obejmując nim również zależność każdej istoty żywej od pozostałych i - co ważniejsze - obejmując nim nie tylko życie jednostki, lecz również możliwość pozostawienia potomstwa".

Jednocześnie jednak sam Darwin posługiwał się tym terminem w znaczeniu ciasniejszym niż to było konieczne dla jego celów specjalnych i ostrzegał swych następców przed błędem (który sam, zdaje się popełnia), przeceniania tego ciasnego znaczenia. W "Pochodzeniu człowieka" napisał kilka potężnych stronic, objaśniających właściwe, szersze znaczenie tego terminu. Zwrócił uwagę na to, jak w niezliczonych społeczeństwach zwierzęcych niknie walka pomiędzy oddzielnymi jednostkami o środki do życia i na jej miejsce pojawia się współdziałanie; jak dalej zamiana ta przynosi rozwój zdolności intelektualnych i moralnych, zapewniających gatunkowi lepsze możliwości przeżycia. Mówił, że w tych razach za najzdolniejszych uznani muszą być nie fizycznie najsilniejsi, nie najprzebieglejsi, lecz ci, którzy umieją łączyć się w celu pomocy wzajemnej, wiążąc w jedną całość (i dla dobra tej całości) zarówno silnych jak słabych. "Te wspólnoty - pisał on - które zawierają w sobie największą liczbę jednostek zdolnych do współżycia, rozwijają się najpomyślniej, i wychowują największą liczbę potomstwa". Widzimy stąd, że termin, zrodzony z ciasnych

maltuzjańskich pojęć o współzawodnictwie wszystkich przeciwko wszystkim, stracił swą ciasnotę w umyśle człowieka znającego przyrodę.

Niestety, uwagi te, które powinny stać się podstawą poszukiwań najbardziej owocnych, zostały przesłonięte przez masy faktów zebranych w celu udowodnienia następstw rzeczywistego współzawodnictwa. Przy tym Darwin nigdy nie przystąpił do ścisłego zbadania dwóch postaci walki o byt, występujących w świecie zwierzęcym i nigdy nie napisał zamierzonego dzieła o naturalnych tamach przeciw przeludnieniu, jakkolwiek dzieło to dałoby podstawy do należytego ocenienia walki jednostkowej. Przeciwnie - pomiędzy tymi samymi stronicami, które potępiają ciasne maltuzjańskie pojmowanie walki, zjawiają się również i stare maltuzjańskie tony; mianowicie w tych miejscach, gdzie Darwin wspomina o niedogodnościach, wynikających z utrzymywania w naszych społeczeństwach cywilizowanych jednostek słabszych fizycznie lub umysłowo. Jak gdyby tysiące słabych i chorowitych poetów, uczonych, wynalazców i reformatorów łącznie z tysiącami tzw. "nienormalnych" i "entuzjastów" nie były najcenniejszą bronią ludzkości w walce o byt, bronią intelektualną i moralną, którą Darwin tak wysoko stawiał w tych samych rozdziałach swego dzieła "O pochodzeniu człowieka".

Z teorią Darwina stało się to samo, co zwykle zdarza się z teoriami sięgającymi stosunków międzyludzkich. Następcy, zamiast rozszerzyć ją własnymi spostrzeżeniami, przyczynili się tylko do zacieśniania myśli pierwotnej. I kiedy Herbert Spencer rozpoczynając swe rozważania usiłował pogłębić problem "kto jest najzdadniejszy" (szczególnie w dodatku do trzeciego wydania "Etyki") niezliczeni uczniowie Darwina sprowadzili pojęcie walki o byt do granic możliwie najciaśniejszych. Doszli oni do tego, że widzieli w świecie zwierzęcym jedynie wieczną walkę pomiędzy jednostkami zgłodniałymi, żądnymi krwi, rzucającymi się na siebie nawzajem. Pisarze ci wypełnili literaturę współczesną okrzykiem wojennym: biada zwyciężonym, uważając go za ostatni wyraz biologii współczesnej. Podnieśli oni bezlitosną walkę o korzyści osobiste na wyżyny zasady biologicznej, której podlega zarówno człowiek jak i zwierzę, i głosili, że kto nie stosuje się do tego, ten zginie w tym świecie, którego treścią jest tępienie się wzajemne. Pozostawmy na boku ekonomistów, znających zwykle z nauk przyrodniczych zaledwie kilka terminów, zapożyczonych od popularyzatorów drugiego stopnia; przyznać jednak musimy, że nawet najbardziej kompetentni interpretatorzy darwinizmu zrobili wszystko, co mogli, aby podtrzymać te błędne pojęcia. Oto weźmy np. Huxleya, uważanego niewątpliwie za jednego z najzdolniejszych interpretatorów teorii rozwoju, a dowiemy się z pracy pt. "Walka o byt i jej znaczenie dla człowieka", że: "z punktu widzenia moralisty świat zwierzęcy wygląda niemal jak zapasy gladiatorów. Istoty żywe są odżywiane i zmuszane do walki, z której zwycięzcami wychodzą najsilniejsi, najbystrzejsi i najprzebieglejsi po to, aby nazajutrz znowu stanąć do walki. Widz nie potrzebuje opuszczać palca w dół na znak dobicia pokonanych, ponieważ tu i tak nikogo nie oszczędzają".

Lub niżej w tym samym artykule opowiada on, że pomiędzy zwierzętami tak samo jak pomiędzy ludźmi pierwotnymi "najsłabsi i najgłupszy stawiani są pod ścianę na śmierć, gdy tymczasem najprzebieglejsi, ci którzy najpomyślniej mogą zmagać się z okolicznościami, choć może bynajmniej nie najlepsi, pozostają przy życiu. Życie było powszechną i nieustan-

ną walką; poza ograniczonymi i przemijającymi stosunkami rodzinnymi normalnym stanem bytowania była walka wszystkich przeciw wszystkim w znaczeniu przyjętym przez Hobbesa”.

W jakiej mierze ten pogląd odpowiada rzeczywistości, zobaczymy na stronach następnym, gdzie opiszemy świat zwierzęcy i człowieka pierwotnego. Można tu zauważyć, że huxleyowski pogląd na przyrodę może być usprawiedliwiony jako przeciwstawienie się poglądom Rousseau, który widział w przyrodzie tylko miłość, pokój i harmonię, zakłócone przez wmiśzanie się człowieka. W rzeczywistości wystarczy przechadzka po lesie, wystarczy kilka spostrzeżeń dokonanych nad społeczeństwem zwierzęcym lub choćby przerzucenia jakiegokolwiek poważnego dzieła o życiu zwierzęcym (d'Orbigny, Audubon, Le Vaillant), aby zwrócić myśl przyrodnika ku ocenie dążeń społecznych w życiu zwierzęcym i aby ujawnić, że przyroda jest czymś innym niż tylko polem walki i mordy; jednocześnie jednak nie może on widzieć w przyrodzie wyłącznie harmonii i pokoju. Rousseau popełnił błąd wprost przeciwny; jednak ani optymizm Rousseau, ani pesymizm Huxleya nie może być uważany za bezstronne wyjaśnienie tego, co dzieje się w przyrodzie.

Gdy badamy zwierzęta - nie tylko w pracowni naukowej lub muzeum, lecz w lasach, na stepach i w górach - od razu dostrzegamy, że jakkolwiek istnieje olbrzymia walka pomiędzy różnymi gatunkami, a szczególnie pomiędzy różnymi rodzajami zwierząt, to spotykamy również - i to bodaj w rozmiarach jeszcze większych - pomoc wzajemną i wzajemną obronę. Dzieje się to wśród zwierząt należących do tego samego gatunku. Uspołecznienie jest takim samym prawem przyrody jak walka. Byłoby zresztą nadzwyczaj trudno ocenić, choćby tylko w przybliżeniu, jakie znaczenie posiada każdy z obu tych czynników. Jeśli jednak zwrócimy się do dowodu pośredniego i zapytamy przyrodę: którzy są najzdadniejsi - czy ci, którzy walczą nieustannie pomiędzy sobą, czy też ci, którzy podtrzymują się nawzajem? Zobaczymy od razu, że zwierzęta, przyzwyczajone do wzajemnego pomagania sobie, są niewątpliwie najzdadniejsze. Posiadają one więcej danych do przeżycia i wewnątrz swoich rodzajów osiagają najwyższy rozwój inteligencji i organizacji cielesnej. Gdyby wziąć pod uwagę niezliczone fakty, które można by przytoczyć na poparcie tego twierdzenia, niechybnie doszlibyśmy do wniosku, że pomoc wzajemna jest tak samo prawem przyrody jak walka wzajemna, lecz że jako czynnik rozwoju ma ona znaczenie dużo większe, ponieważ sprzyja rozwojowi takich nawyków i cech charakteru, które umożliwiają jednostce utrzymanie się i rozkwit życia przy możliwie najmniejszej stracie energii.

O ile mi wiadomo, z następców Darwina pierwszym, kto zrozumiał treść pomocy wzajemnej jako prawa przyrody i głównego czynnika rozwoju, był znany zoolog rosyjski, zmarły dziekan uniwersytetu w Petersburgu, prof. Kessler. Poglądy swoje wyłożył w odczycie, ogłoszonym w styczniu roku 1880, na parę miesięcy przed śmiercią, na zjeździe przyrodników rosyjskich. Niestety jednak, jak wiele innych rzeczy ogłoszonych tylko w języku rosyjskim odczyt ten pozostał zupełnie nieznanym.

”Jako stary zoolog” czuł się on zobowiązany do protestowania przeciwko nadużyciu terminu - walka o byt, zapożyczonemu z zoologii, lub co najmniej przeciwko przecenianiu jego znaczenia. Zoologia, mówił on, i nauki zajmujące się człowiekiem, nieustannie kładą nacisk na to, co nazywają bezlitosnym prawem walki o byt. Zapominają jednak o istnieniu

innego prawa, które może być nazwane prawem pomocy wzajemnej. Prawo to, przynajmniej dla zwierząt, posiada znaczenie dużo większe, niż to pierwsze. Wskazał on, że chęć pozostawienia potomstwa gromadzi zwierzęta i "im więcej jednostek zbierze się razem, im bardziej pomagają sobie nawzajem, tym większe dane posiada gatunek dla utrzymania się przy życiu i tym korzystniejsze są jego widoki rozwoju umysłowego".

"Wszystkie rodzaje zwierząt - mówi dalej - a szczególnie wyższe, uprawiają pomoc wzajemną".

Myśl swoją ilustrował Kessler przykładami, zaczerpniętymi z życia żuków-grabarzy, z życia ptaków i niektórych ssących. Przykłady były nieliczne, jak tego można było się spodziewać w krótkim przemówieniu, lecz główne punkty postawione były wyraźnie; i po zaznaczeniu, że w rozwoju ludzkości pomoc wzajemna była czynnikiem jeszcze bardziej wybitnym, prof. Kessler doszedł do wniosku następującego:

"Oczywiście, bynajmniej nie zaprzeczam istnienia walki o byt; twierdzą tylko, że rozwój świata zwierzęcego a szczególnie ludzkości więcej zawdzięcza współdziałaniu niż walce. Wszystkie istoty organiczne posiadają dwie cechy zasadnicze: odżywiania się i rozmnażania. Pierwsza z nich zmusza je do walki i do wzajemnego wyniszczania się, jednocześnie jednak dążenie do utrzymania gatunku zbliża jednostki wzajemnie i doprowadza je do współdziałania. Skłonny jednak jestem do mniemania, że rozwój świata organicznego - zmiany postępowe istot organicznych - więcej zawdzięcza pomocy wzajemnej pomiędzy jednostkami niż walce".

Słuszność tego poglądu uderzyła większość rosyjskich zoologów współczesnych, a Siewiercow, którego dzieło dobrze jest znane ornitologom i geografom, podtrzymał go i oświetlił jeszcze kilkoma przykładami. Opowiedział on o kilku gatunkach sokołów, które jakkolwiek przystosowane są do grabieży, chylą się do upadku, gdy jednocześnie inne gatunki sokołów, które jakkolwiek przystosowane są do grabieży, chylą się do upadku, podczas gdy inne gatunki sokołów, uprawiające pomoc wzajemną, mnożą się.

"Albo weźcie - mówi on - tak uspołecznionego ptaka, jak np. kaczka; przez naturę jest ona obdarzona bardzo ubogo, dzięki jednak pomocy wzajemnej ptaki te zalewają niemal całą ziemię i posiadają niezliczone mnóstwo odmian i gatunków".

Skłonność zoologów rosyjskich do przyjmowania poglądów Kesslera jest naturalna, ponieważ niemal wszyscy oni mają możliwość studiowania świata zwierzęcego na olbrzymich niezamieszanych przestrzeniach Azji północnej i Rosji wschodniej; studia te zaś muszą doprowadzić do wyłożonych właśnie poglądów. Przypominam sobie wrażenia, jakie odniosłem w zetknięciu się z syberyjskim światem zwierzęcym, kiedy poznałem pogórze Witimskie w towarzystwie tak głębokiego zoologa, jak mój przyjaciel Polakow. Obydwaj byliśmy właśnie pod świeżym wrażeniem "Pochodzenia gatunków"; na próżno jednak szukaliśmy

zapowiadanego przez Darwina współzawodnictwa pomiędzy zwierzętami tego samego gatunku. Widzieliśmy niezmiernie dużo przystosowań do walki wspólnej, lecz była to walka z klimatem lub z różnymi nieprzyjaciółmi; Polakow napisał niejedną piękną stronicę o wzajemnej zależności mięsożernych, przeżuwających i gryzoni na jednym i tym samym terytorium. Stwierdziliśmy liczne fakty pomocy wzajemnej - szczególnie podczas wędrówek ptaków lub przeżuwających. Nawet w okolicach Amuru i Ussuri, gdzie spotyka się olbrzymie bogactwo życia zwierzęcego, rzeczywiste współzawodnictwo i walkę pomiędzy zwierzętami wyższymi tego samego gatunku znajdowałem bardzo rzadko, jakkolwiek starannie ich poszukiwałem.

Gdy tylko przystąpiliśmy do badania walki o byt, zarówno w jej znaczeniu bezpośrednim jak przenośnym, byliśmy przede wszystkim zdumieni mnóstwem faktów pomocy wzajemnej, i to organizowanej nie tylko w celu wychowania potomstwa, co stwierdza większość ewolucjonistów, lecz również w celu zapewnienia bezpieczeństwa jednostce lub w celu zaopatrzenia jej w żywność, śmiało możemy powiedzieć, że w świecie zwierzęcym pomoc wzajemna jest regułą powszechną. Spotykamy ją nawet pomiędzy zwierzętami najniższymi i należy się spodziewać, że badacze życia mikroskopowego naszych stawów odsłonią nam kiedyś fakty nieświadomego współdziałania nawet między mikroorganizmami. Prawdę mówiąc, nasza znajomość życia bezkręgowych - z wyjątkiem termitów, pszczoł i mrówek - jest bardzo ograniczona; a przecie nawet jeśli chodzi o zwierzęta niższe zebrać możemy sporo faktów współdziałania zupełnie niewątpliwego. Olbrzymie zrzeszenia szarańczy, różnych motyli, żuczków, koników itd. są zupełnie niezbadane; sam jednak fakt ich istnienia wskazuje, że muszą być założone na zasadach podobnych, jak czasowe organizacje pszczoł i mrówek, tworzone podczas wędrówek. Co się tyczy żuków, posiadamy należycie zaobserwowane fakty pomocy wzajemnej pomiędzy grabarzami (*Necrophorus*). Żuki te muszą rozporządzać jakimiś rozkładającymi się szczątkami organicznymi, aby złożyć w nich jajka i w ten sposób zapewnić pożywienie gąsienicom; szczątki te jednak nie mogą rozkładać się zbyt szybko. Toteż żuki mają zwyczaj zagrzebywania w ziemię ciała najrozmaitszych drobnych zwierzątek, które w wędrówkach swych przypadkowo napotykają. Grabarze żyją zwykle pojedynczo, skoro jednak któryś z nich znajdzie ciało myszy lub ptaka, którego sam nie zdołałby pochować, zwołuje 4, 6 lub 10 innych grabarzy w celu dokonania pogrzebu wspólnymi siłami; w razie potrzeby przenoszą ciało na miękki grunt i chowają je w pewien szczególny sposób, nie walcząc przy tym specjalnie o to, któremu z nich należy się przywilej złożenia jajek w tej zdobyczy. Kiedy Gleditsch przywiązywał ptaszka do krzyżyka zrobionego z dwóch patyków lub zawieszał martwą żabę na patyku, wbitym w ziemię, żuki wspólnymi siłami zdołały pokonać zabieg człowieka. Takie samo łączenie wysiłków stwierdzono pomiędzy żukami gnojowymi.

Nawet pomiędzy zwierzętami stojącymi na nieco niższym poziomie rozwoju organicznego spotkać możemy podobne przykłady. Niektóre kraby w Indiach Zachodnich i Ameryce Północnej łączą się w wielkie gromady w celu dojścia do morza i złożenia tam ikry; a każda wędrówka wymaga zgody, współdziałania i pomocy wzajemnej. W roku 1881 w akwarium w Brighton miałem możliwość obserwowania wielkiego kraba (*limulus*). Jest rzeczą zdumiewającą, do jak daleko posuniętej pomocy wzajemnej zdolne są te niezgrabne zwierzęta.

Jeden z nich upadł na wznak w kącie akwarium, a jego ciężka, podobna do miski skorupa nie pozwoliła mu powrócić do pozycji naturalnej; trudność powiększała jeszcze przecinająca w tym miejscu akwarium sztaba żelazna, pod którą właśnie znalazł się krab. Towarzy-sze przyszedli mu z pomocą i w ciągu godziny przyglądałem się, jak usiłowali go oswobodzić. Przychodzili po dwóch, podpierali go od tyłu i po szeregu wielkich wysiłków zdołali posta-wić go na boku; wówczas oparł się on o sztabę żelazną i znowu upadł na wznak. Po szeregu prób jeden z ratujących udał się w głąb akwarium i sprowadził jeszcze dwa kraby, które ze świeżymi siłami natychmiast zabrały się do ratowania towarzysza. Przyglądaliśmy się temu w ciągu dwóch godzin i kiedy wreszcie znudzeni odchodziliśmy, sprawa ratowania wciąż jeszcze trwała. To przekonało mnie, że nie mogę odmawiać wiary spostrzeżeniom Darwina, który powiada, że:

”zwykły krab podczas lenienia rozstawia dookoła warty z krabów nielenięją-cych, lub posiadających już skorupę dość twardą, a to w celu uchronienia przed wrogami morskimi tych jednostek, które właśnie lenieją i przez to są szczegól-nie bezbronne”.

Przykłady ilustrujące pomoc wzajemną wśród termitów, mrówek i pszczoł są tak znane, szczególnie dzięki dziełom Romanesa, L. Büchnera i Johna Lubbocka, że mogę ograniczyć się tu do przypomnienia tylko paru spostrzeżeń. Jeśli przyjrzymy się gniazdu mrówek, wi-dzimy, że nie tylko każdy rodzaj pracy - wychowanie potomstwa, budownictwo, hodowla mszyc - jest wykonywany według zasad dobrowolnej pomocy wzajemnej, lecz musimy rów-nież przyznać wraz z Forelem, że podstawowym znamieniem życia wielu gatunków mró-wek jest ciężący na każdej mrówce obowiązek dzielenia się z innymi pokarmem zebrany a nawet częściowo strawionym; do udziału dopuszczony jest każdy członek wielkiej wspól-noty mrówczej. Gdy spotkają się dwie mrówki należące do dwóch odrębnych gatunków lub dwóch wrogich gniazd wzajemnie siebie unikają. Natomiast dwie mrówki należące do tego samego gniazda lub do tej samej kolonii gniazd zbliżają się jedna do drugiej, porozumie-wają się z sobą za pomocą dotknięcia różkami i jeśli jedna z nich jest głodna lub spragnio-na, szczególnie zaś gdy jednocześnie druga ma pełne wole, głodna natychmiast domaga się pożywienia. Jednostka nagabnięta nigdy nie odmawia; natychmiast rozstawia szczęki, przyjmuje pozycję właściwą i oddaje z siebie kroplę płynu przejrzystego, chwytaną przez zgłodniałą mrówkę. Oddawanie pożywienia na rzecz innych mrówek jest tak wyraźnym znamieniem życia tych owadów (na wolności) i znajduje tak częste zastosowanie, zarówno gdy trzeba nakarmić głodnych towarzyszy jak przy odżywianiu gąsienic, iż Forel twierdzi, że narząd trawienia mrówek składa się z dwóch różnych części: z części tylnej, przeznaczo-nej do użytku jednostki i z części przedniej, służącej głównie na rzecz wspólnoty. Gdyby mrówka posiadająca pełne wole była dość samolubna, aby odmówić pożywienia towarzy-sze, zostałaby natychmiast potraktowana jako wróg lub jeszcze gorzej. Jeśli taka odmowa zdarzy się podczas walki całego plemienia z inną grupą, wszystkie współtowarzyszki rzu-cają się na zbuntowaną jednostkę z namiętnością jeszcze większą niż na nieprzyjaciół. Je-śli zaś mrówka nie odmawia pokarmu członkom gatunku wrogiego, natychmiast uważana

jest przez gatunek ten za swojaka i przyjaciela - są to fakty potwierdzone przez badania najbardziej ściśle i doświadczenia zupełnie decydujące.

W tej olbrzymiej grupie, która nazywa się mrówkami, a która obejmuje więcej niż tysiąc gatunków i która jest tak liczna, że Brazylijczycy twierdzą, jakoby Brazylia należała nie do ludzi, lecz do mrówek, współzawodnictwo pomiędzy członkami tego samego mrowiska lub tej samej kolonii mrowisk jest rzeczą nieznaną. Wojna pomiędzy dwoma oddzielnymi gatunkami mrówek jest wprawdzie bardzo zacięta i okrutna, jednocześnie jednak pomoc wzajemna i oddanie się jednostki na rzecz wspólnoty jest prawem obowiązującym powszechnie. Mrówki i termity wyrzekły się walki wzajemnej, o której mówi Hobbes, i jest im z tym dobrze. Ich zadziwiające budowle są stosunkowo znacznie większe niż budowle ludzkie; znane są ich wspaniałe brukowane drogi i galerie sklepione; ich hale obszerne i spichlerze; ich pola uprawne, na których zbierają i młócą zboże; ich racjonalne metody hodowania jaj i gąsienic, budowania specjalnych zakładów do hodowli mszyc - obrazowo zwanych przez Lineusza krowami mrówek; i wreszcie ich odwaga, przedsiębiorczość i nieustępliwie wyższa inteligencja. Wszystko to rezultaty, osiągnięte dzięki pomocy wzajemnej.

Gdybyśmy nawet ze świata zwierzęcego znali tylko mrówki i termity, mielibyśmy prawo twierdzić, że pomoc wzajemna (prowadząca do zaufania wzajemnego - tej podstawy odwagi) i inicjatywa jednostkowa (zasadniczy warunek rozwoju intelektualnego) są dużo poważniejszymi czynnikami rozwoju niż walka wzajemna. Rzeczywiście - mrówka rozmnaża się obficie, mimo że nie posiada żadnej z tych właściwości ochronnych, bez których się nie mogą obejść zwierzęta żyjące w pojedynkę. Jej barwa zdradza ją wobec nieprzyjaciół, a wyniosłe mrowiska widoczne są z daleka w lasach i na łąkach. Nie posiada ona twardego pancerza, a jej narządy jadowite są wprawdzie niebezpieczne, gdy tysiące mrówek obsiadą zwierzę, nie posiadają jednak wielkiego znaczenia, gdy działa tylko jednostka. Jednocześnie zaś jajka i gąsienice mrówek są smakołykiem dla bardzo wielu mieszkańców lasu. A jednak mrówki więcej strachu wzbudzają w swoich nieprzyjaciółach, często znacznie silniejszych od nich, niż same muszą go doznawać. Gdy Forel wysypał worek mrówek na łąkę, zobaczył, że świerszcze uciekają pośpiesznie, porzucając swe nory na pastwę rabujących mrówek; pająki i żuki natychmiast opuszczały swą zdobycz bojąc się, że same staną się zdobyczą. Nawet osy porzucają swe gniazda wobec napaści mrówek, które giną licznie w tych walkach na rzecz dobra całego mrowiska. Przed pościgiem mrówek nie mogą uciec nawet najbardziej zwinne owady; Forel widział komary, muchy, itp. chwytane i zabijane przez mrówki. Siła ich tkwi w pomocy wzajemnej i we wzajemnej ufności. Jeśli mrówka - pomijając szczególnie wysoce rozwinięte termity - pod względem zdolności intelektualnych stoi na czele wszystkich gatunków owadów, jeśli jej odwaga równać się może tylko z odwagą najdzielniejszych kręgowców, jeśli jej mózg - jak mówi Darwin - "jest jednym z najcudniejszych atomów świata, być może cudowniejszym niż mózg ludzki" - dzieje się to dzięki temu, że pomoc wzajemna wśród mrówek wyparła całkowicie wzajemną walkę.

To samo powiedzieć można o pszczołach. Ich miód wzbudza pożądlivość wszystkich rodzajów istot - od żuków do niedźwiedzi - przy czym są one pozbawione takich środków obrony jak np. mimikry itp., bez których owady żyjące w pojedynkę nie uniknęłyby zupeł-

nego wytepienia; same ptaki łatwo mogłyby wytepić pszczoły. A jednak pszczoły dzięki pomocy wzajemnej osiągnęły znaną nam olbrzymią liczebność i zdumiewającą inteligencję. Pracując wspólnie pomnażają siły jednostkowe; uciekając się do chwilowego podziału pracy, połączonego ze zdolnością każdej pszczoły do wykonywania w razie potrzeby wszystkich robót, osiągają taki stopień dobrobytu i bezpieczeństwa, jaki jest niedostępny żadnemu samotnemu choćby najlepiej uzbrojonemu i najwyżej rozwiniętemu zwierzęciu. W pracy swej osiągają nieraz wyniki lepsze niż człowiek, gdy zaniedba pomocy wzajemnej. Tak np. gdy nowy rój ma zamiar odlecieć z ula w poszukiwaniu miejsca na osiedle, kilka pszczół udaje się na wywiady w okolice i skoro znajdą miejsce zdatne do zamieszkania - przypuśćmy stary kosz lub coś w tym rodzaju - zajmują je, czyszczą, pilnują, niekiedy w ciągu całego tygodnia, dopóki rój nie przyleci i nie osiedli się. Jak wielu ludzkich osadników ginie w nowych krajach jedynie z tego powodu, że nie umieli oni współdziałać solidarnie! Łącząc swe inteligencje jednostkowe, pszczoły walczą pomyślnie z przeciwnościami nawet wówczas, gdy te przeciwności są niezwykle i nieznanne; (jak to np. zdarzyło się na wystawie paryskiej (1889), gdzie pszczoły umieszczono w ulu zaopatrzonym w szklaną płytę, aby publiczność mogła oglądać wnętrze, otwierając lufcik w tej płycie. Pszczoły, które widocznie raz było światło wpadające przy otwieraniu lufcika, po pewnym czasie zalepiły ten otwór swoim woskiem). Przy tym wszystkim nie ujawniają one bynajmniej skłonności krwiożerczych i zgoła nie uprawiają walki dla samej walki, jak to o zwierzętach pisze wielu autorów. Placówki, broniące wejścia do ula, zabijają bezlitośnie rabusiów; jednocześnie nie robią nic złego tym obcym pszczołom, które zalecą tam przez pomyłkę, szczególnie zaś, gdy przylatują obładowane pyłkiem lub gdy są to osobniki młode, łatwo mogące się zabłąkać. Wojny znajdujemy tam tylko tyle, ile koniecznie potrzeba. Społeczne skłonności pszczół są tym bardziej godne uwagi, że instynkty grabieżcze i lenistwo również istnieją między pszczołami i natychmiast ujawniają się, gdy okoliczności temu sprzyjają. Jest rzeczą wiadomą, że pewna liczba pszczół przekłada zawsze grabież nad życie pracowite; wiadomo także, że rozwojowi skłonności grabieżczych sprzyjają jednak okresy głodu jak okresy nadmiernej obfitości. Gdy żniwa są już ukończone i łąki skoszone, słowem, gdy nic już dla pszczół nie pozostaje, rabusie wśród pszczół trafiają się znacznie częściej niż w lecie; z drugiej strony - na plantacjach trzciny cukrowej w Indiach Zachodnich i w sąsiedztwie europejskich rafinerii cukru zauważyć można rozwijającą się wśród pszczół grabieżczość, lenistwo a często i pijaństwo. Widzimy z tego, że antyspołeczne skłonności istnieją i między pszczołami; lecz dobór naturalny nieustannie je usuwa, ponieważ panowanie solidarności zapewnia gatunkowi dużo więcej korzyści niż rozwój jednostek o skłonnościach rabusiów. Najprzebieglejsi i najsprytniejsi są tu usuwani na rzecz najbardziej uspołecznionych.

Oczywiście, ani mrówki, ani pszczoły, ani nawet termity nie podniosły się do pojęcia solidarności wyższej, obejmującej całość gatunku. Pod tym względem nie osiągnęły one jeszcze tego stopnia rozwoju, którego zresztą nie znajdujemy nawet wśród naszych kierowników życia politycznego, naukowego lub religijnego. Ich instynkty społeczne ograniczają się do ula lub mrowiska. Zaznaczyć jednak należy, że obserwowano kolonie składające się z niemniej niż dwunastu mrowisk należących do różnych gatunków (*Formicaexsectai* F. *pressilabris*). Forel twierdzi, że każdy członek takiej kolonii rozpoznaje każdego członka

swojej kolonii i, w razie potrzeby, walczy u jego boku. W Pensylwanii Mac Cook widział cały naród mrówczy, złożony z 1600 do 1700 mrowisk; Bates zaś opisuje wżórki termitów pokrywające ogromne przestrzenie na "kampach" - przy czym niektóre z tych mrowisk służą za schronienie dwóm lub trzem gatunkom i znaczna liczba tych mrowisk jest połączona galeriami i arkadami. Widzimy więc, że nawet wśród bezkręgowych występują zrzeszenia wielkich mas osobników w celu ochrony wzajemnej.

Jeśli przejdziemy do zwierząt wyższych, niewątpliwie znajdziemy liczne przykłady pomocy wzajemnej, organizowanej w najrozmaitszych celach - jakkolwiek przyznać musimy, że nasza znajomość życia zwierząt wyższych jest wciąż jeszcze bardzo niedoskonała. Pierwszorzędni badacze zgromadzili bardzo liczne fakty, wciąż jednak stoimy wobec całych dziedzin świata zwierzęcego, o których niemal nic nie wiemy. Tak np. nadzwyczajnie skąpe są nasze wiadomości dotyczące ryb; wynika to z jednej strony z trudności dokonywania w tej dziedzinie spostrzeżeń, z drugiej zaś strony z powodu zbyt małego zainteresowania tym przedmiotem. Co się tyczy ssaków, to już Kessler zwrócił uwagę, że dziwnie mało wiemy o ich zwyczajach. Część z nich prowadzi nocny tryb życia, inne kryją się pod ziemią, przezuwające zaś, których zwyczaje i wędrówki budzą największe zainteresowanie, nie pozwalają zbliżyć się do swoich stad. Najwięcej wiadomości posiadamy o ptakach; i tutaj jednak bardzo wiele gatunków jest nam zupełnie nieznanymi. Jednak na brak faktów nie budzących wątpliwości nie możemy się uskarżać - jak to zobaczymy w dalszej części tej pracy.

Nie będą kładł nacisku na zrzeszenia samca z samicą, mające na celu wychowanie potomstwa, zapewnienie mu żywności w pierwszych chwilach życia lub wspólne polowanie; jakkolwiek zaznaczyć trzeba, że tego rodzaju zrzeszenia spotkać możemy wśród najmniej uspołecznionych drapieżców i wśród ptaków mięsożernych; zrzeszenia te zasługują na uwagę szczególną jako podłoże, na którym rozwijają się tkliwe uczucia nawet wśród najokrutniejszych zwykle zwierząt. Dodać tu musimy, że względna rzadkość zrzeszeń szerszych niż rodzina pomiędzy ssakami i ptakami drapieżnymi, w pierwszej linii wynika ze sposobu ich odżywiania się, jednak może być również wytłumaczona - przynajmniej w pewnej mierze - jako rezultat zmian wywołanych w świecie zwierzęcym przez szybki rozwój ludzkości. Tak czy inaczej, warto pamiętać, że zwierzęta żyją niemal w pojedynkę w miejscowościach zaludnionych gęsto, gdy jednocześnie te same gatunki - lub ich najbliżsi krewniacy - występują stadnie w krajach nie zaludnionych. Jako przykład mogą tu służyć wilki, lisy i niektóre ptaki drapieżne.

Zrzeszenia nie przekraczające granic rodziny posiadają znaczenie względnie mniejsze tym bardziej, że znamy dużo zrzeszeń mających na celu polowanie, obronę wzajemną lub nawet prostą zabawę. Audubon powiada, że orły przygodnie zrzeszają się w celach myśliwskich, a jego opis dwóch orłów łysych, samca i samicy, polujących na Missisipi, znany jest dzięki swej sile artystycznej. Ale najbardziej przekonujące spostrzeżenia pochodzą od Siewiercowa. Badając faunę stepów rosyjskich zobaczył on pewnego razu orła, należącego do gatunku żyjącego zwykle w stadzie, jak unosił się wysoko w powietrzu; w ciągu pół godziny orzeł opisywał w górze wielkie koła, gdy nagle wydał ostry krzyk. Krzyk ten powtórzył natychmiast inny orzeł, który nadleciał, za nim ukazał się trzeci, potem czwarty, itd., aż zebrało się dziesięć orłów, które następnie razem znikły. Popołudniu Siewiercow udał się w

tę stronę, dokąd poleciały orły; ukryty za wzgórzem zbliżył się do nich i zobaczył, że zgromadziły się wokół padłego konia. Stare, które zgodnie ze zwyczajem rozpoczynają ucztę, siedziały już na okolicznych stogach siana i wartowały, młode zaś pożywiały się jeszcze otoczone stadem wron. Z takich i tym podobnych spostrzeżeń Siewiercow wywnioskował, że orły białogony (*Haliaeetus albicilla*) łączą się w celu polowania. Gdy wzniosą się na tak znaczną wysokość, że mogą objąć okiem przestrzeń jakichś 25 kilometrów kwadratowych i gdy dostrzegą zdobycz, natychmiast zawiadamiają swych towarzyszy. Można by tu wprawdzie powiedzieć, że pierwszy instynktowny krzyk orła, który zobaczył zdobycz, lub może nawet jego ruchy mają ten skutek, że sprowadzają inne orły do zdobyczy. Jednak w przytoczonym przez nas przypadku na rzecz pomocy wzajemnej przemawia to, że owe 10 orłów najpierw zgromadziły się a dopiero później poleciały ku zdobyczy. Siewiercow później miał niejednokrotnie sposobność stwierdzenia, że orzeł białogon zawsze gromadnie obsiada zdobycz i zawsze, gdy jedno jedzą, drugie (najpierw młodsze) trzymają straż. W rzeczywistości orzeł ten jest jednym z najdzielniejszych i najlepszych myśliwych, a jednocześnie jest to ptak stadny i Brehm powiada, że gdy trzymać go w niewoli, rychło przywiązuje się do swego opiekuna.

Towarzyskość jest pospolitą cechą wielu innych ptaków drapieżnych. Kania brazylijska, jeden z najbezpieczniejszych rabusiów, jest jednak ptakiem najbardziej towarzyskim. Jej zrzeszenia myśliwskie były opisywane przez Darwina i przez innych przyrodników, i jest rzeczą wiadomą, że gdy chwyci zdobycz zbyt wielką, przywołuje pięciu lub sześciu towarzyszy, aby ją wspólnie unieść. Gdy kanie te po pracowitym dniu udają się na spoczynek nocny pomiędzy gałęzie jakiegoś drzewa lub w krzaki, zawsze gromadzą się w stada, których członkowie przylatują nieraz z odległości kilkunastu kilometrów. Często przyłączają się do nich inne gatunki sępów, a szczególnie ich wierny przyjaciel, jak powiada d'Orbigny, percnopterus. W innej części świata, w stepach Zakaspijskich, jak powiada Zarudnyj, kanie mają ten sam zwyczaj gnieźdzenia się towarzysko. Sęp towarzyski, jeden z najsilniejszych sępów, otrzymał nazwę od swych zwyczajów. Sępy te żyją w stadach bardzo licznych i niewątpliwie lubują się w towarzystwie. Liczne spośród nich przedsięwzięją wycieczki powietrzne jedynie w celu spaceru. "Żyją one w wielkiej przyjaźni - powiada Le Vaillant - i w jednej i tej samej pieczarze znajdowałem nieraz po trzy gniazda położone blisko jedno drugiego". Brazylijski sęp urubu jest zapewne jednym z najbardziej towarzyskich ptaków, jest, zdaje się, nawet bardziej towarzyski niż gawron. Podobnie - małe sępy egipskie żyją towarzysko. Stadami całymi igrają w powietrzu, wspólnie spędzają noc i rankiem wspólnie udają się na poszukiwanie pożywienia; nigdy nie zauważono pomiędzy nimi najmniejszej kłótni; tak przynajmniej twierdzi Brehm, który miał niemało okazji do obserwowania ich życia. Sokół o szyi czerwonej (red - throated falcon) również spotyka się w stadach bardzo licznych, a pustułka (*Tinnunculus scencris*), gdy opuści Europę i osiągnie w zimie stepów azjatyckich, zbiera się w liczne gromady. W stepach Rosji południowej żyje (lub raczej żyła) pustułka tak towarzysko, że Nordmann spotkał spotykał ten gatunek w stadach bardzo licznych; pomieszane razem z innymi sokołami (*Falco tinnunculus*, *F. subbuteo*, *F. aesalon*) codziennie po południu około godziny 4 latały razem i igrały aż do późna w nocy. Rzucają się one do lotu wszystkie od razu, lecą prawie po linii prostej, ku jakiemuś z góry określo-

nemu punktowi i, osiągnąwszy go, natychmiast tą samą drogą wracają; powtarza się to raz po raz.

Latanie stadem dla samej przyjemności latania należy do zwyczajów bardzo wielu ptaków.

Nie byłbym w stanie tu wyliczyć najrozmaitszych ptasich zrzeżeń myśliwskich; powiem tylko parę słów o rybackich zrzesczeniach pelikanów, niewątpliwie zasługujących na wyróżnienie dla wielkiego porządku i inteligencji, ujawnionych przez te niezgrabne ptaki. Udają się one na połów zawsze liczną gromadą: wybrawszy odpowiednią zatokę tworzą półkole otwarte ku brzegowi i płynąc w stronę lądu, zacieśniają koło coraz bardziej, aby otoczyć w ten sposób jak gdyby siecią wszystkie ryby i przypędzić je do brzegu. Na rzekach wąskich lub kanałach ptaki te rozdzielają się na dwie grupy; każda z nich ustawia się w półkole i obie płyną ku sobie, zupełnie tak samo, jak gdyby dwie grupy ludzi ciągnęły ku sobie dwie sieci w celu zgarnięcia wszystkich ryb. Za zbliżeniem się nocy ptaki odlatują do swoich miejsc spoczynku - a miejsca te są zawsze te same dla całego stada, i nigdy nie widziano, aby walczyły o zatokę lub o nocleg. W Ameryce Południowej zbierają się one w stada, liczące po 40 i 50 tysięcy sztuk. Gdy jedna część takiej gromady śpi, inna czuwa, a jeszcze inna udaje się na połów ryb. Byłbym wreszcie niesprawiedliwy względem tak obmawianego zwykle wróbla domowego, gdybym nie wspomniał, jak uczciwie każdy z nich dzieli się znalezionym pożywieniem ze wszystkimi członkami stowarzyszenia, do którego należy. Fakt ten znany był już Grekom i przeszedł do potomności jako okrzyk mówcy (przytaczam z pamięci): "...w chwili gdy mówię do was, jeden z wróbla opowiedział towarzyszom, że niewolnik wysypał na ziemię worek zboża i natychmiast wszystkie przyleciały do ziarna". To stare spostrzeżenie znajdujemy w małej książeczce współczesnej, napisanej przez Gurneya, który bynajmniej nie wątpi, że wróble zawsze powiadają się wzajemnie o tym, co jest gdzie do ściągnięcia. Mówi on: "za każdym razem gdy wymłócono stertę zboża, położoną dość daleko od podwórza, przekonywałem się, że wróble na podwórzu miały wola pełne ziarna". Z drugiej jednak strony wróble nadzwyczaj dbają o to, aby terytorium należące do jakiejś grupy nie było zajmowane przez obce wróble; tak np. wróble ogrodu Luksemburskiego w Paryżu zawzięcie zwalczają wszystkie inne wróble, które chciałyby korzystać z tego ogrodu. Natomiast wewnątrz własnej gminy uprawiają pomoc wzajemną, przerywaną tylko od czasu do czasu drobnymi sprzeczkami, jakie zdarzyć się mogą nawet najlepszym przyjaciółom.

Wspólne polowanie i żywienie się jest rzeczą tak powszechną w świecie ptasim, że liczniejsze przykłady są bodaj niepotrzebne: musimy to uznać za fakt ustalony. Rozumie się samo przez się, że tego rodzaju zrzesczenia wyzwalają dużą ilość sił: najsilniejsze ptaki drapieżne zmuszone są nieraz ustępować wobec zrzeżeń ptasiego drobiazgu. Nawet orły - potężny i straszny orzeł mogilnik lub orzeł cesarski, dość silne by unieść w pazurach zając lub młodą antylozę, bywają zmuszone do porzucenia zdobyczy, jeśli na nie napadną kanie walczące z orłami zawzięcie i rzucające się na nie, gdy tylko zauważą zdobycz w ich pazurach. Kanie zwalczają również orła rybołowa i odbierają mu złowione ryby; nikt jednak nie widział, aby walczyły między sobą o zdobycz w ten sposób porwaną. Na wyspach Kerguelen dr Coues widział, jak Buphagus zwana przez marynarzy kurą morską, goniła

mewę i zmusiła ją do oddania zdobyczy, którą ta miała już w gardle; z drugiej strony mewę łączą się w celu odpędzenia kury morskiej, gdy ta tylko zbliży się do miejsc przez nie zajmowanych, szczególnie miejsc przeznaczonych do wysiadywania jaj. Maleńka, lecz nadzwyczajnie zwinna czajka (*Vanelluscristatus*) śmiało napada na ptaki drapieżne. Do najbardziej zajmujących widowisk należy atak czajek na myszołowa, kanię, wronę lub orła. Czuje się, że czajki są pewne zwycięstwa i widoczne jest przerażenie ptaka drapieżnego. W takich okolicznościach małe ptaki pomagają sobie nawzajem i odwaga ich wzrasta wraz z liczbą. Czajka zasłużyła na dane jej przez Greków miano "dobrej matki", ponieważ nigdy nie omija sposobności obronienia innych ptaków wodnych przed napaścią nieprzyjaciół. Lecz nawet maleńka biaława pliszka (*Motacilla alba*), tak dobrze nam znana z ogrodów i nie przerastająca kilku centymetrów, umie zmusić krogulca do odwrotu. "Nieraz podziwiałem ich odwagę i zręczność - pisał stary Brehm - i jestem przekonany, że tylko sokół zdolny jest uchwycić pliszkę... Gdy gromada przepędzi drapieżnika, podnoszą one wielki krzyk triumfu, po czym rozlatują się każda w swoją stronę." Widzimy więc, że schodzą się one umyślnie w celu obrony przed nieprzyjacielem. Zupełnie w ten sam sposób zachowuje się cała ptasia ludność lasu, gdy poruszy ją wieść, że ptak nocny pojawił się w ciągu dnia; wówczas wszystkie razem - zarówno drapieżniki jak drobne niewinne śpiewaki - łączą się w celu wygnania intruza i zmuszenia go, aby wrócił do swej kryjówki.

Jaka olbrzymia różnica sił zachodzi pomiędzy kanią, myszołowem i jastrzębiem z jednej strony a tak drobnymi ptaszkami jak pliszka - z drugiej; a przecież te małe ptaszki, dzięki działaniu łącznemu i odwadze odnoszą zwycięstwo nad potężnymi rabusiami o olbrzymich skrzydłach, o mocnych dziobach i pazurach. W Europie pliszka nie tylko przepędza niebezpieczne dla siebie ptaki drapieżne, lecz umie także zabawić się napaścią na orła rybołowa. W Indiach, jak opowiada dr Jerdon, kawka jedynie dla zabawy rzuca się gromadnie na kanię gowinda. Książę Wied widział brazylijskiego orła urubitinga, otoczonego przez niezliczone gromady tukanów i kassików (ptak spokrewniony z naszym gawronem), które się z niego naigrywały. "Orzeł - dodaje on - zwykle znosi te zniewagi bardzo spokojnie, od czasu do czasu usiłuje jednak schwytać któregoś z psotników". We wszystkich tych przypadkach drobne ptaki odnoszą zwycięstwo nad drapieżnikiem dzięki działaniu skoordynowanemu.

Jednak najbardziej zdumiewające przykłady zrzeszania się w celu zapewnienia bezpieczeństwa jednostce, umożliwienia jej pełni życia i rozwoju zdolności intelektualnych spotykamy w dwóch wielkich rodzinach ptasich, a mianowicie żurawi i papug. Żurawie są zazwyczaj towarzyskie i żyją w najlepszych stosunkach nie tylko ze swoimi krewniakami, lecz również z większą częścią ptaków wodnych. Ich rozwaga i inteligencja jest wprost zdumiewająca: do nowych warunków przystosowują się natychmiastowo i podejmują właściwe czynności. Rozstawiają warty wokół pasącego się lub odpoczywającego stada i myśliwi dobrze wiedzą, jak trudno jest je podejść. Jeśli człowiekowi uda się zmylić ich czujność, nie powrócą już na to samo miejsce, nie wysławszy wcześniej wywiadowcy, za którym idzie cała grupa wywiadowców; dopiero gdy wszyscy ci wywiadowcy wrócą z wieścią, że nie ma niebezpieczeństwa, udaje się tam część stada, a za nią cała reszta. Z gatunkami pokrewnymi zawierają żurawie prawdziwe związki przyjaźni; w niewoli zaś żuraw jest ptakiem przywiązującym się bardzo do człowieka i pod tym względem współzawodniczyć może

tylko z bardzo towarzyską i inteligentną papugą. "W człowieku widzi on nie władcę, lecz przyjaciela i stara się to mu okazać" - do takiego wniosku dochodzi Brehm po długim szeregu doświadczeń. Żuraw jest nieustannie zajęty, od wczesnego poranka do późnej nocy; lecz tylko parę rannych godzin poświęca szukaniu pożywienia, głównie roślinnemu, oddając całą resztę dnia życiu towarzyskiemu. "Zbiera małe kawałki drzewa lub kamyki, rzuca je w górę i usiłuje je złapać; przekrzywia dziób, rozpościera skrzydła, tańczy, podskakuje, biega dookoła i najrozmaitszymi sposobami stara się ujawnić swoją wesołość, przy czym zawsze jest piękny i pełen wdzięku". Żyjąc towarzysko, nie ma on niemal nieprzyjaciół i Brehm twierdzi, że jedynym jego nieprzyjacielem jest krokodyl, któremu z rzadka udaje się schwycić żurawia. Żurawie, dzięki swej przysłowiowej ostrożności, unikają niebezpieczeństw i osiągają wieku bardzo podeszłego. Toteż dla utrzymania gatunku żuraw bynajmniej nie jest zmuszony posiadać liczne potomstwo i zwykle znosi tylko dwa jaja. Co się tyczy jego wyższej inteligencji, dość będzie powiedzieć, że prawie wszyscy badacze przypisują mu zdolności umysłowe bardzo przypominające umysłowość ludzką.

Inny bardzo towarzyski ptak, papuga, stoi, jak wiadomo, na szczycie rozwoju umysłowego w całym królestwie ptasim. Brehm tak doskonale scharakteryzował obyczaje papugi, że nie pozostaje mi nic innego, jak przetłumaczyć odnośny ustęp:

"Z wyjątkiem okresu godowego, żyją one w bardzo licznych towarzystwach czy stadach. Na stały pobyt obierają sobie w lesie jakieś miejsce i stąd co rano udają się na żer. Członkowie całego takiego stada są sobie nawzajem wierni i po bratersku dzielą dobrą i złą wolę. Wszystkie razem udają się z rana na pole uprawne, do ogrodu lub do upatrzonego drzewa owocowego. Dla zapewnienia bezpieczeństwa rozstawiają warty i pilnie patrzą na ich ostrzeżenia. W razie niebezpieczeństwa uciekają wszystkie razem pomagając sobie wzajemnie; razem również wracają na miejsce stałego pobytu. Słowem - żyją zawsze w ścisłym zjednoczeniu".

Umieją one również zawierać stosunki towarzyskie z innymi ptakami. W Indiach sroki i wrony zlatują się z okolicy w promieniu kilku kilometrów, aby łącznie z papugami spędzić noc w bambusowej gęstwinie. Podczas wyprawy na żer papugi rozwijają pomysłowość wprost zdumiewającą i ujawniają zdolność zmagania się z przeciwnościami. Oto np. stado białych, australijskich kakadu. Zanim udadzą się na rabunek pola uprawnego, wysyłają wywiadowców, siadających na najwyższych drzewach w sąsiedztwie pola; jednocześnie zaś inni wywiadowcy przelatują pomiędzy drzewami pola i dają sygnały. Jeśli okaże się, że wszystko jest w porządku, od stada odrywa się kilkanaście sztuk i leci na pole w bliskości już obsadzonych drzew. Te znowu badają wszystko dookoła i dopiero po pewnym czasie dają sygnał; potem całe stado w jednej chwili rzuca się na pole i pustoszy je doszczętnie. Osadnicy australijscy tylko z wielkim trudem potrafią podejść ostrożność papug. Gdy jednak człowiekowi przy użyciu całego szeregu podstępów uda się zabić kilka ptaków, papugi stają się tak ostrożne, że odtąd unikają wszystkich zasadzek.

Jest rzeczą niewątpliwą, że ten niemal ludzki poziom inteligencji zdobyły papugi dzięki życiu towarzyskiemu. To doprowadziło niektórych przyrodników do nazywania papug,

szczególnie zaś papug zielonych, człękoptakiem. Znane jest także ich nadzwyczajne przywiązanie wzajemne: gdy myśliwy zabije papugę, inne latają dookoła ciała nieżyjącej towarzyszki wznosząc krzyki rozpacz i, jak mówi Audubon, nieraz same stają się ofiarami przyjaźni. Hodowcy papug opowiadają, że gdy zaprzyjaźnią się ze sobą dwie papugi, choćby należące do różnych gatunków, i gdy jedna z nich przypadkowo zdechnie, druga tak to odczuwa, że również zdycha ze zmartwienia. Jest rzeczą niewątpliwą, że w zrzesczeniach swoich znajdują one dużo więcej opieki i bezpieczeństwa, niż mogłyby im zapewnić najlepiej rozwinięte dzioby i pazury. Tylko bardzo nieliczne ptaki drapieżne lub zwierzęta ssące ośmielają się napastować choćby najmniejsze papugi, i Brehm ma zupełną słuszność, gdy mówi, że papugi, tak samo jak żurawie i mały towarzyskie, poza człowiekiem prawie nie mają wrogów. I dodaje: "według wszelkiego prawdopodobieństwa największe papugi kończą życie raczej ze starości niż od ciosów, zadanych przez nieprzyjaciół". Pokonać je udaje się tylko człowiekowi, posiadającemu jeszcze wyższą inteligencję oraz broń, co także zawdzięcza on życiu społecznemu. Ich długowieczność byłaby więc wynikiem ich obyczajów społecznych. To samo powiedzieć byśmy mogli o ich zadziwiającej pamięci, której rozwojowi sprzyja towarzyskość i długie życie w pełnym zdrowiu.

Rozdział 2. Pomoc wzajemna w świecie zwierząt (2)

Gdy tylko w strefie umiarkowanej nadchodzi wiosna, miliardy ptaków zgromadzonych w stronach południowych powracają niezliczonymi stadami i pełne zapału i radości śpieszą na północ, aby odchowić potomstwo. Wówczas każdy żywopłot, każdy gaj, każda skała na morzu, każde jezioro lub staw w Ameryce Północnej, w północnej Europie lub Azji opowiada nam o tym, czym jest pomoc wzajemna dla ptaków. Widzimy tam żywe przykłady, ile siły i energii ona wyzwala, ile opieki zapewnia nawet najsłabszym i najbardziej bezbronnym istotom. Weźmy np. jedno z niezliczonych jezior ma stepach rosyjskich lub syberyjskich. Jego wybrzeża zaludnione są nieprzeliczonym mnóstwem ptaków wodnych, należących do kilkunastu różnych gatunków, żyjących jednak w zupełnej zgodzie i pomagających sobie nawzajem.

”Wyrzwały czarne plamy wody spośród piasków żółtawych i trzcin ciemnozielonych... roi się tu od ptactwa... w powietrzu unoszą się rybitwy, wydające ostre krzyki. Tysiące kulików snują się po brzegi i pogwizdują... a dalej niemal na każdej fali kołysze się kwacząca kaczka. W górę ciągną stada dzikich gęsi, gdy niżej, dzwonniki (*Aquila clanga*) spadają na jezioro, a z nimi kobusy (*Falcorsticolus*, *Falcobuteo*), na które natychmiast rzuca się wrzaskliwa gromada rybitw... Zdumiony widz gubi się w tym wszystkim” (Siewiercow).

Oto mamy przed sobą rabusiów – najsilniejszych, najprzebieglejszych, idealnie przystosowanych do grabieży. Ale zamiast okrzyków triumfu słyszymy ich rozpaczliwe wołania: godzinami całymi wyczekują, one na sposobność schwytania bodaj jednego jakiegoś nieochronionego osobnika. Wystarcza jednak, aby rabusie się zbliżyły, a natychmiast dają się słyszeć ostrzeżenia i setki mew i jaskółek morskich rzucają, się na napastnika. Oszalały z głodu rabuś wyrzeka się zwykłych środków ostrożności i gwałtownie rzuca się w żywe rojowisko; napadnięty jednak ze wszystkich stron, rychło musi uciekać. Zrozpaczony napada na dzikie kaczki, lecz te rozumne ptaki towarzyskie od razu zbierają się w stado i uciekają, jeśli napastnik jest orłem, lub dają nurka, jeśli to sokół, lub wreszcie wznoszą całą chmurę pyłu wodnego i oślepiają napastnika, jeśli to kania. I oto życie trwa dalej na jeziorze, rabuś zaś ucieka wydając gniewne okrzyki i szuka padliny lub też zadowala się pisklęciem lub myszą polną, która jeszcze nie nauczyła się słuchać ostrzeżeń swych towarzyszy. W obliczu nadzwyczaj rozwiniętego życia społecznego doskonale uzbrojony rozbójnik musi się zadowalać odpadkami tego życia.

Udajmy się dalej na północ, na archipelagi Arktyczne.

”Możemy płynąć dziesiątki kilometrów wzdłuż wybrzeży i widzieć, jak wszystkie występy, załamy i szczeliny skalne, wszystkie zbocza gór aż do wysokości 200 do 500 stóp dosłownie są pokryte ptakami morskimi, których białe piersi, odbijające od ciemnych skał, czynią wrażenie, jakby góry obryzgane były wapnem. Powietrze nad takimi wybrzeżami jest, że tak powiem, pełne ptactwa”.

(A.E.Nordenskjold).

Każda z takich ”gór ptasich” jest żywym przykładem pomocy wzajemnej a także przykładem wielkiej różnorodności charakterów, wielkiej różnorodności usposobień indywidualnych rozwijających się w życiu społecznym. Ostrygojad (*Haematopus*) znany jest ze swej gotowości atakowania ptaków drapieżnych. Nabłotnik (*Limosa*) wyróżnia się czujnością i staje się wodzem innych spokojniejszych ptaków. Tłumacz (*Streptopelia*) w otoczeniu towarzyszy należących do gatunków energiczniejszych jest ptakiem raczej lęklwym; staje się jednali przedsiębiorczym i zabiega o bezpieczeństwo ogólne z chwilą, gdy jest otoczony przez mniejsze ptaki. W okolicach tych można obserwować żadne władzy łabędzie; nadzwyczaj towarzyskie mewy kitiwake, pomiędzy którymi sprzeczki zdarzają się nadzwyczaj rzadko; dalej miłe nurzyki polarne (*Uria lomvia*), które nieustannie pieszczą się wzajemnie. Są tu egoistyczne gęsi, które odpędziły od siebie sieroty po zabitej towarzysce, a obok nich inne samice tego samego gatunku, które przyjęły sieroty i oto pływają, otoczone przez 50 lub 60 piskląt, traktowanych zupełnie na równi z własnymi dziećmi.

Obok pingwinów kradnących jajka swym sąsiadom mamy nurzyki, których stosunki rodzinne są tak pełne tkliwości i uczucia, że nawet najbardziej zapaleni myśliwi wzdragają się przed zabijaniem samicy otoczonej przez młode; lub znowu widzimy kaczkę edredonową, razem wysiadującą jaja w tym samym gnieździe. To samo wspólne wysiadanie potomstwa widzimy u nurzyków. Przyroda jest samą różnorodnością; spotykamy w niej wszystkie możliwości charakteru, od najniższych do najwyższych. Oto dlaczego nie może być ona objęta żadnym zbyt ogólnym twierdzeniem. Tym bardziej nie może być przyroda sądzona z punktu widzenia moralisty: poglądy, bowiem moralisty są same wynikiem – zwykle nieświadomym – obserwacji przyrody.

Gromadzenie się ptaków w porze wysiadania jaj jest zjawiskiem tak powszechnym, że przykłady byłyby bodaj zbyt liczne. Drzewa nasze są pełne wronich gniazd; w żywopłotach świergoce drobne ptactwo; zabudowania gospodarskie dają schronisko całym koloniom jaskółek, stare mury są schroniskiem setek ptaków nocnych; i można by wypełnić liczne strony wdzięcznymi opisami tego spokoju i harmonii, jakie zwykle panują w owych zrzeszeniach ptasich. Niewątpliwą jest przy tym rzeczą, że w zrzeszeniach tych słabsze ptaki znajdują pomoc i opiekę. Doskonale obserwator, dr Coues widział np. gniazda małej jaskółki skalnej założone w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby sokoła stepowego (*Falco sparverius*). Sokół gnieździł się na szczycie jednego z tych minaretów glinianych, które tak liczne są w Kolorado, gdy kolonia jaskółek założyła swe gniazda bezpośrednio pod nim. Małe spokojne ptaszki zupełnie nie obawiały się swego drapieżnego sąsiada: nigdy nie pozwalały mu zbliżyć się do swej kolonii. Natychmiast otaczały i odpędzały go tak uporczywie, że musiał jak najszybciej uciekać.

Życie towarzyskie u ptaków bynajmniej nie przerywa się z chwilą zakończenia okresu wysiadywania jaj; przybiera wówczas tylko nową postać. Młodzież zbiera się w liczne gromady, zwykle zawierające po kilka gatunków. Ptaki gromadzą się wówczas głównie dla towarzystwa – częściowo także dla bezpieczeństwa, przede wszystkim jednak dla samej przyjemności przebywania w gromadzie. Tak np. po lasach naszych widzimy towarzystwa, złożone z bargielów (*Sittacoesia*), z którymi razem przebywają sikory, zięby, mysikróliki, różne dzięcioły itd. W Hiszpanii spotyka się jaskółki razem z pustułkami, muchołówkami, a nawet gołębiami. Na dalekim zachodzie amerykańskim skowronek kudłaty (*hornedlark*) żyje w licznych gromadach łącznie z dwoma czy z trzema odmianami skowronków, z wróblem stepowym (*Savannah sparrow*) i z paru gatunkami ogrodników i trznadli. Prawdę mówiąc, łatwiej byłoby opisać te gatunki, które żyją oddzielnie, aniżeli tylko wymienić te, które w jesieni tworzą liczne towarzystwa młodzieży – towarzystwa związane nie w celu polowania ani wysiadywania jaj, lecz po prostu aby zażywać radości życia gromadzkiego i przepędzać czas na zabawach, poświęcając zaledwie parę godzin dziennie na wyszukanie pożywienia. Przejdźmy wreszcie do tej wielkiej dziedziny życia ptasiego, w której pomoc wzajemna jest czynnikiem szczególnie ważnym i rzucającym się w oczy – a mianowicie do przelotów. Wystarczy powiedzieć, że ptaki, które przez szereg miesięcy żyły w gromadkach nielicznych, rozrzuconych po wielkim obszarze, zbierają się teraz tysiącami; zlatują się dniami całymi na określone miejsce, zanim puszczą się w podróż, i najwidoczniej narażają się nad szczegółami tej podróży. Niektóre gatunki codziennie po południu przedsiębiorą loty przygotowawcze – ćwiczenia do wielkiej podróży. Wszyscy czekają na spóźniających się towarzyszy; wreszcie odlatują w kierunku starannie wybranym; ten kierunek – to nagromadzony rezultat doświadczeń wspólnych; najsilniejsze lecą na czele stada, luzując się nawzajem w tym trudnym zadaniu. Przez morza przelatują w olbrzymich stadach, złożonych zarówno z ptaków małych jak wielkich; a gdy wracają na wiosnę, przylatują na stare miejsca i bardzo często odbudowują te same gniazda, które opuściły w zeszłym roku.

Jest to przedmiot nadzwyczaj obszerny a jednak zbadany jeszcze tak niedostatecznie; moglibyśmy zaczerpnąć stąd niejedną przykład pomocy wzajemnej; byłoby ich jednak tak dużo, że trzeba by temu poświęcić całą książkę. Musimy, więc ograniczyć się do tych przytoczonych ogólnikowo. Przypomnę tylko jeszcze o tych licznych i ożywionych zgromadzeniach ptasich, które odbywają się zawsze na tym samym miejscu przed udaniem się w podróż na północ lub na południe; a także o tych zgromadzeniach, które widzimy na północy, gdy ptaki powrócą do swych gniazd na wybrzeżach Jenisieju lub w północnych hrabstwach angielskich. Przez szereg dni z rzędu – niekiedy przez całe miesiące – zbierają się one codziennie z rana na godzinę, zanim rozlecą się w poszukiwaniu pożywienia; być może na zebraniach tych obradują nad wyborem miejsca na budowę gniazd. Jeśli zaś podczas przelotu stado ptasie napotka burzę, ptaki najrozmaitszych gatunków gromadzą się razem. Ptaki nie będące ptakami przelotnymi w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz tylko odbywające ograniczone wędrówki z północy na południe i z powrotem, do wędrówek tych również przystępują gromadnie. Widzimy więc, że przeloty bodaj nigdy nie odbywają się w pojedynkę, gromada bowiem zapewnia jednostce łatwiejsze zdobycie pożywienia i większe bezpieczeństwo.

Jeśli przejdziemy teraz do ssaków, pierwszą rzeczą, która nas uderza, jest znakomita przewaga liczebna gatunków towarzyskich nad tymi nielicznymi drapieżcami, które się nie zrzeszają. Płaskowzgórza i stepy starego i nowego świata pełne są stad jeleni, antylop, gazel, danieli, bawołów, dzikich kóz i owiec – a wszystko to są zwierzęta towarzyskie. Kiedy Europejczycy poczuli osiedlać się w Ameryce, napotkali tam tak liczne stada bawołów, że musieli przy spotkaniu się z bawołami zatrzymać swój pochód, a przejście takiej kolumny bawołów trwało niekiedy dwa i trzy dni. Podobnie, gdy Rosjanie zajmowali Syberię, spotkali tam taką masę jeleni, antylop, wiewiórek i innych zwierząt towarzyskich, że podbicie Syberii uważać można za wyprawę myśliwską trwającą dwieście lat; stepy trawiaste Afryki wschodniej do dzisiejszego dnia pokryte są stadami zebr i najrozmaitszych gatunków antylop.

Nie tak dawne to czasy, kiedy potoki Ameryki Północnej i północnej Syberii były pokryte koloniami bobrów; kolonie takie spotkać można było w Rosji północnej aż do XVII wieku. Równiny czterech wielkich kontynentów wciąż jeszcze są pokryte niezliczonymi koloniami myszy, chomików i innych gryzoni. W lasach podzwrotnikowych części Azji i Afryki mieszkają liczne rodziny słoni, nosorożców i nieprzeliczone gromady małp. Na dalekiej północy renifer tworzy olbrzymie stada, a jeszcze dalej na północ znajdujemy stada wołów piżmowych i lisów polarnych. Wybrzeża oceanu wciąż jeszcze roją się od fok i morsów, wody morskie zaś od stad najrozmaitszych gatunków należących do rodziny wielorybów towarzyskich; nawet w głębi wielkiego płaskowzgórza Azji środkowej znajdujemy stada dzikich koni, dzikich osłów, wielbłądów i owiec. Wszystkie te zwierzęta żyją w "społeczeństwach" i "narodach", liczących niekiedy wiele setek tysięcy jednostek; jakkolwiek obecnie, po trzech stuleciach cywilizacji europejskiej opartej na prochu, znajdujemy już tylko szczątki tego, co było dawniej. Jakże znikoma w porównaniu z tym jest liczebność mięsożernych! Jak błędny jest pogląd tych, którzy nie widzą w świecie zwierzęcym nic więcej oprócz lwów i hien zatapiających zęby w ciele ofiar! Równie słusznie można by patrzeć na życie ludzkie jedynie jako na szereg wojen i rzezi.

Zrzeszanie się i pomoc wzajemna panują z reguły w świecie zwierząt ssących. Obyczaje towarzyskie znajdujemy nawet między mięsożernymi i zaledwie jedną rodzinę kotów (lwy, tygrysy, lamparty itd.) możemy wymienić jako tę grupę, zwierząt, w której obyczajnie indywidualne stanowczo przeważają nad towarzyskimi i w której z rzadka tylko spotykamy grupy i to nieliczne. A przecie nawet lwy zwykle polują gromadami. Dwie rodziny łośowatych i łasicowatych (Viverridae - Mustelidae) również wyróżniają się życiem nietowarskim, wiemy jednak, że przed stu laty łasica pospolita była bardziej towarzyska niż obecnie; spotykano ją wówczas w licznych grupach w Szkocji i w szwajcarskim kantonie Unterwalden. Do grup wybitnie towarzyskich należy wielka rodzina psów, a szczególnie wyróżniającym je znamię są zrzeszenia myśliwskie. Powszechnie wiadomo, że wilki gromadzą się w liczne bandy myśliwskie i Tschuldi pozostawił bardzo ciekawy opis, jak wilki tworzą półkole, otaczają krowę pasącą się na pochyłości góry, potem nagle wyskakują a głośnym szczekaniem i zmuszają ją do rzucenia się w przepaść. W latach trzydziestych Audubon obserwował na Labradorze wilki polujące gromadnie; jedna z takich gromad wilczych napadła na osiedle ludzkie i wymordowała psy. Podczas ostrych zim stada wilcze

bywają tak liczne, że stają się poważnym niebezpieczeństwem dla ludzi, jak to np. było we Francji w połowie ubiegłego stulecia. W stepach rosyjskich wilki nigdy nie atakują koni inaczej jak gromadnie; a muszą pokonywać tu opór bardzo poważny (jak o tym świadczy Kohl), konie bowiem bronią się zawzięcie, wilki jednak również łatwo nie ustępują, choć grozi im otoczenie przez konie i zatrutowanie kopytami. Amerykańskie wilki z prerii (*Canis latrans*) znane są z tego, że gromadzą się w bandy, złożone z 20 do 30 sztuk i gromadnie napadają na bawoły przypadkowo oddzielone od stada. Szakale, które słusznie uważać możemy za najinteligentniejsze i najodważniejsze z całej rodziny psów, zawsze polują gromadnie; tak zrzeszone mogą nie obawiać się nawet największych drapieżców. Williamson obserwował dzikie psy azjatyckie (*Cholzuny* lub *Dole*), jak pokonywały wszystkie wielkie zwierzęta, nie wyłączając niedźwiedzi i tygrysów; nie są one w stanie pokonać tylko słonia i nosorożca. Hieny również żyją towarzysko i polują gromadnie; organizacje myśliwskie hieny plamistej są bardzo chwalone przez Cumminga. Nawet lisy, które w naszych krajach cywilizowanych żyją zwykle samotnie, tworzą niekiedy zrzeszenia myśliwskie. Co się tyczy lisa polarnego, to jest on – lub raczej był w czasach Stellera – jednym ze zwierząt najbardziej towarzyskich; i gdy czytamy opis tego autora, jak nieszczęsna załoga Beringa musiała walczyć przeciwko tym rozumnym, drobnym zwierzętom, nie wiemy, co bardziej podziwiać: czy nadzwyczajną, pomysłowość lisów i ich udoskonaloną pomoc wzajemną, umiały bowiem wydobywać pożywienie spod kamieni lub zrzucić je ze szczytu słupa (jeden z lisów wdrapywał się na słupek i zrzucił jadalny towarzyszczyk stojącym na dole), czy okrucieństwo człowieka doprowadzonego do rozpaczki przez liczne gromady lisów. Nawet niektóre niedźwiedzie żyją towarzysko w tych miejscowościach, gdzie nie są niepokojone przez człowieka. Tak np. Steller spotykał czarnego niedźwiedzia w stadach licznych, niedźwiedzie polarne zaś były tu i ówdzie spotykane w grupach. Nawet mało inteligentne zwierzęta owadożerne niekiedy się zrzeszają.

Jednak szczególnie rozwiniętą towarzyskość i pomoc wzajemną spotykamy wśród gryzoni, wśród kopytnych i przeżuwających. Wiewiórki zwykle pędzą życie nietowarzystkie. Każda z nich buduje sobie wygodne gniazdo i gromadzi w nim własne zapasy. Mają jednak skłonność do życia rodzinnego i Brehm doszedł do wniosku, że są najszcześliwsze wtedy, gdy dwa lub trzy pomioty z tego samego roku zbiorą się razem, w jakimś odległym zakątku lasu. Wówczas utrzymują pomiędzy sobą stosunki towarzyskie; mieszkańcy poszczególnych gniazd komunikują się ze sobą i gdy szyszek jest już mało, cała gromada wynosi się w inne strony. Co się tyczy amerykańskich wiewiórek czarnych, to są one wybitnie towarzyskie. Poza paru godzinami, poświęconymi na zdobywanie pożywienia, spędzają cały dzień na zabawach w wielkich gromadach. Gdy rozmnożą się zbyt w jakiejś okolicy, zbierają się w stada, niemal tak liczne jak szarańcza, i idą na południe pustosząc lasy, pola i ogrody; za takim pochodem wiewiórek idą lisy, sępy i inne drapieżniki, czyhające na jednostki oderwane od stada. Pręgowiec syberyjski (wiewiórka) jest jeszcze bardziej towarzyski. Jest to gospodarz zapobiegliwy i w swych pomieszczeniach podziemnych gromadzi wielkie zapasy korzonków jadalnych i orzechów, odbieranych im przez człowieka na jesieni. Jak twierdzą niektórzy badacze, musi pręgowiec odczuwać coś z radości skąpca. A jednak wciąż jeszcze pozostaje zwierzęciem towarzyskim i zawsze żyje wielkimi osiedlami. Audu-

bon, który zbadał w zimie kilka gniazd wiewiórki pokrewnej, znalazł po kilka osobników w tym samym pomieszczeniu; zapewne nagromadzone tam zapasy były owocem wspólnej pracy.

U świstaków, nieświszczów i susłów spotykamy towarzyskość jeszcze bardziej rozwiniętą i inteligencję jeszcze wyższą. Mamy tu również mieszkania oddzielne, położone jednak blisko siebie i tworzące jakby wielkie osiedla. Suseł, ten straszny wróg rolnika południoworosyjskiego milionami całymi tępiony corocznie, żyje w koloniach bardzo licznych i podczas gdy chłopcy rosyjscy poważnie zastanawiają się nad sposobami uwolnienia się od niego, zwierzątko całymi tysiącami zażywa radości życia. Ich zabawy są tak pełne wdzięku, że można im się przyglądać z największym zainteresowaniem; nad polami gdzie gromadzą się susły unoszą się szczególne koncerty, powstające z ostrych gwizdnięć samców i melancholijnych świstów samiczek. W walce z nimi człowiek uciekał się do pomocy wszystkich zwierząt i ptaków drapieżnych, najnowszym zaś wynalazkiem w tym kierunku jest szczepienie im cholery! Do widoków niezmiernie interesujących należą również osiedla piesków ziemnych w Ameryce. Jak okiem sięgnąć, widać zwierzątka stojące na pagórkach i zajęte porozumiewaniem się za pomocą krótkich szczęknięć. Gdy tylko rozlegnie się sygnał ostrzegający przed zbliżaniem się człowieka, wszystkie niktą w norach. Gdy niebezpieczeństwo minęło, zwierzątka ukazują się znowu i bawią się. Młodzież goni się, zмага się i oddaje się najrozmaitszym zabawom; starsze zaś, stojąc dookoła, pełnią rolę wartowników. Odwiedzają się one nawzajem i ścieżki wydeptane pomiędzy osiedlami świadczą o liczbie tych odwiedzin. Niejeden naturalista zawdzięcza swe najlepsze stronicie opisom zrzeszeń amerykańskich piesków ziemnych, chomików i świstaków alpejskich. Ale teraz muszę tu zrobić tę samą uwagę w stosunku do chomików, jaką zrobiłem, gdy mówiłem o pszczołach. – Instynkty walki nie zaginęły w nich i zjawiają się natychmiast, gdy zwierzę jest w niewoli. Natomiast w wielkich zrzeszeniach i wobec wolnej przyrody instynkty antyspołeczne nie mają okazji do rozwoju, dzięki czemu jako wynik ogólny otrzymujemy pokój i harmonię.

Nawet tak kłótniwe zwierzęta jak szczury, które nieustannie walczą po naszych piwnicach, mają dość rozumu na to, aby zaniechać waśni w chwili plądrowania spiżarni; a podczas wędrówek nie tylko pomagają sobie nawzajem, lecz nawet żywią swych inwalidów. Szczur bobrowy i kanadyjski szczur piżmowy są towarzyskie w stopniu najwyższym. Audubon mógł podziwiać ich gminy, którym należy tylko nie przeszkadzać, aby żyły szczęśliwie. Jak wszystkie zwierzęta towarzyskie są one żywe i wesołe; łatwo łączą się z innymi gatunkami i osiągnęły wysoki poziom rozwoju umysłowego. W swych osadach, położonych nad brzegami rzek i jezior, zawsze uwzględniają zmienny poziom wody; siedziby ich, zbudowane w postaci domów, mają ściany robione z gliny i sitowia i zaopatrzone są w oddzielne miejsca na odpadki organiczne; są tam hale należycie wytynkowane i zabezpieczone od zimna, jakkolwiek dobrze przewietrzane. Co się tyczy bobrów, posiadają one, jak wiadomo, usposobienie nadzwyczaj przyjemne i znane są ich zadziwiające groble i osady, w których żyją całe szeregi pokoleń, nie znając innych wrogów niż wydra i człowiek; osiedla te wymownie świadczą o tym, co zdziałać może pomoc wzajemna, rozwój przyzwyczajzeń społecznych oraz inteligencji. Należy tutaj zaznaczyć, że u szczurów piżmowych i bobrów a

także u niektórych innych gryzoni spotykamy się już z tym, co stanowi cechą wyróżniającą społeczeństwo ludzkie – a mianowicie ze wspólną pracą.

Możliwą zupełnie jest rzeczą, że w wielu przypadkach zwierzęta schodzą się wprost dla przyjemności życia towarzyskiego. Tak, właśnie dla przyjemności! Bo istotnie trudno byłoby powiedzieć, co w wielu przypadkach sprowadza razem zwierzęta i czy chodzi tu o pomoc wzajemną, czy też po prostu o przyjemność, wypływającą z poczucia, że jest się otoczonym przez swych krewniaków. Nasze zające pospolite, niepędzące bynajmniej życia społecznego, a nawet pozbawione wysoko rozwiniętych uczuć rodzicielskich, nie mogą żyć bez zbierania się dla zabawy. Dietrich de Winckell, którego możemy uważać za jednego z najlepszych znawców życia zające, opisuje je jako namiętnych sportowców, niekiedy tak zapalających się podczas zabawy, że znany jest przykład zająca, który przez pomyłkę lisa wziął za towarzysza gry. Co się tyczy królików, to żyją one towarzysko i rodziny ich są całkowicie zbudowane na wzór starej rodziny patriarchalnej; młodzież trzymana jest w bezwzględnym posłuszeństwie wobec ojca, a nawet wobec dziadka. W zającach i królikach mamy przykład dwóch blisko spokrewnionych gatunków wzajemnie się nie znoszących; pochodzi to bynajmniej nie z tego powodu, że żywią się tym samym pokarmem – a zjawisko to bywa w ten sposób tłumaczone – lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodzi to stąd, że wybitnie indywidualny zając, nie może się zaprzyjaźnić z istotą tak spokojną i uległą, jaką jest królik. Ich usposobienia zbyt różnią się od siebie, aby przyjaźń mogła się tu nawiązać.

Życie towarzyskie spotykamy również z reguły w wielkiej rodzinie koni, obejmującej zarówno dzikie konie i osły azjatyckie, jak zebry, mustangi, "cimarrones" południowoamerykańskie i półdzikie konie angielskie i syberyjskie. Wszystkie one żyją w wielkich zreszeniach, złożonych z małych osad, z których każde składa się z pewnej liczby kłaczy pod przewodnictwem jednego ogiera. Ci niezliczeni mieszkańcy Starego i Nowego świata są na ogół zupełnie źle zabezpieczeni przed napaściami licznych nieprzyjaciół i przed zmianami klimatycznymi; toteż wyginęliby bardzo rychło, gdyby nie instynkt społeczny. Gdy tylko przybliży się drapieżnik, drobne stada natychmiast łączą się w wielką gromadę i wspólnymi siłami odpędzają napastnika, a niekiedy nawet puszczają się w pogoń za nim. Toteż ani wilk, ani niedźwiedź, ani nawet lew nie upoluje konia ani zebry, póki które z nich nie oddzieli się od stada. Gdy susza wypali trawy na stepach, konie zbierają się w gromady, dochodzące niekiedy do 10 000 sztuk, i emigrują. Gdy w stepach sroży się zawieja śnieżna, każde stado zbiera się w jedno miejsce i przycisnąwszy się wzajem do siebie usiłuje przetrwać klęskę. Jeśli jednak zniknie zaufanie wzajemne, jeśli gromadę ogarnie panika i jeśli gromada się rozproszy, wówczas wiele koni ginie, te zaś, które pozostały przy życiu, są rozproszone tu i ówdzie, półżywe z wycieńczenia. Zrzeszanie się jest ich główną, bronią w walce o byt, człowiek zaś jest głównym ich wrogiem. Uciekając przed ludźmi, przodkowie naszego konia domowego (tak nazwany przez Polakowa *Equus Przewalski*) wyemigrowały na najbardziej niedostępne wyżyny płaskowzgórza Tybetańskiego, gdzie żyją dotychczas w klimacie surowym, otoczone przez drapieżców, lecz niedostępne dla człowieka.

Bardzo wiele ciekawych przykładów życia społecznego mogłyby dostarczyć nawet renifery, a szczególnie ten wielki dział przeżuwiających, który obejmuje sarny, daniele, antylo-

py, gazy, gazele itd. Należy tu wspomnieć o ich ostrożności, gdy zagraża im napaść drapieżników; o tej troskliwej zapobiegliwości, rozwijanej przez wszystkich członków stada gemz w chwili przechodzenia przez niebezpieczne przejście górskie; o przygarnianiu sierot; o rozpaczliwej gazeli po stracie samca lub choćby towarzyszkę tej samej płci; o zabawach młodzieży i o wielu innych bardzo ciekawych zwyczajach. Jednakże do najbardziej zapewne uderzających przykładów pomocy wzajemnej należą wędrówki danieli, które zdarzyło mi się widzieć nad Amurem. Gdy przechodziłem przez płaskowzgórza aż do Wielkiego Chinganu, po drodze od kraju Zabajkalskiego do Mergen, miałem sposobność stwierdzić, jak wiele danieli mieszka w tych niezaludnionych krajach. Po upływie dwóch lat płynąłem po Amurze i w końcu października dostałem się do tego malowniczego miejsca, gdzie Amur przebija się przez Mały Chingan i połączywszy się z Sungari rozlewa się po równinie. W tamtejszych wsiach kozackich spotkałem ludzi w wielkim podnieceniu, ponieważ nieprzeliczone tysiące danieli przepływały właśnie przez Amur, aby dostać się na równinę. W ciągu kilku dni na przestrzeni czterdziestu kilku kilometrów szło przez rzekę stado tych zwierząt. Kozacy mordowali je masami. Codziennie zabijano tysiące, a pochód wciąż trwał. Podobne pochody spotykają się bardzo rzadko, a ten był zapewne wywołany przez wczesne i obfite śniegi na Wielkim Chinganie, które zmusiły daniela do rozpaczliwego wysiłku przedostania się na równinę, położoną na wschód od wzgórza Dus. W kilka dni później wzgórza Dus również pokryte były śniegiem na trzy stopy głębokim. Wyobraźmy sobie teraz rozległy kraj, prawie tak wielki jak Wielka Brytania, na którym są rozrzucone tu i ówdzie gromady danieli; gromady te pod naciskiem wyjątkowych okoliczności muszą się zebrać szybko i przedsięwziąć wędrówkę, aby przejść Amur w tym miejscu, gdzie jest on najwęższy. Może to być osiągnięte tylko przy bardzo wysokim rozwoju społecznym. Zjawiska podobne i nie mniej uderzające spotkać możemy wśród bawołów północno-amerykańskich. Zwykle przebywają one na olbrzymich stepach niewielkimi stadami, rozrzuconymi dość daleko jedno od drugiego i nigdy niemieszającymi się ze sobą. A jednak w razie konieczności wszystkie małe stada, bez względu na dzielącą je przestrzeń, zbierają się razem i tworzą te pochody krociove, o których już wspomniałem.

Należałoby także powiedzieć, choć kilka słów o "rodzinach złożonych" słoń, o ich rozwadze przy rozstawianiu wart, o ich silnym przywiązaniu wzajemnym i wysokim stopniu społecznym. Warto także przypomnieć o społecznych uczuciach dzików; społecznienie ich ujawnia się szczególnie wówczas, gdy są zaatakowane. Hipopotamy i nosorożce również zajmują miejsce poczesne w dziele poświęconym społeczeństwu zwierzęcemu. Nie mało tematu dostarczyłyby nam także foki i morsy; wreszcie nie należy zapominać o bardzo społecznych zwierzętach z rodziny wielorybów towarzyskich. Nie możemy jednak zatrzymać się nad tą masą szczegółów i szybko musimy przejść do małej, zwracających na siebie uwagę szczególnej, jako ta gałąź świata zwierzęcego, która zdaje się prowadzić do pierwotnego społeczeństwa ludzkiego.

Nie trzeba chyba mówić, że ssaki, stojące na szczycie świata zwierzęcego i zarówno przez swą budowę jak inteligencję najbardziej zbliżone do człowieka, są wybitnie towarzyskie. Oczywiście, musimy być przygotowani na to, że w tak wielkiej rodzinie, obejmującej setki gatunków, istnieją najrozmaitsze odmiany charakteru i obyczajów. Pomimo wszystkich

różnic jednak powiedzieć możemy, że uspołecznienie, działanie wspólne, pomoc wzajemna i wysoki rozwój wszystkich uczuć uwarunkowanych życiem społecznym – są znamiennym wyróżniającym większość małp. Od gatunków najmniejszych do największych uspołecznienie jest u nich regułą, posiadającą tylko nieliczne wyjątki. Małpy nocne wolą żyć samotnie; kapucyny (*Oebus Capucinus*) i wyjce żyją niewielkimi rodzinami; orangutan nigdy nie był widziany przez Wallacea w gromadzie i występuje bądź pojedynczo, bądź w grupach niewielkich, złożonych z dwóch do trzech jednostek; podobnie goryle nigdy nie łączą się w gromady. Wszystkie pozostałe jednak gatunki małp – szympanse, pawiany, mandryle i najrozmaitsze inne – są towarzyskie w stopniu najwyższym. Żyją one w wielkich stadach i łączą się nawet z innymi gatunkami. Większość z nich jest bardzo nieszczęśliwa, gdy pozostanie w samotności. Krzyki rozpacz, wydawane przez jednego członka gromady, natychmiast sprowadzają wszystkich towarzyszy; śmiało odpierają one napaści drapieżników i wielkich ptaków. Nawet orły nie wąż się ich napastować. Udając się na plądrowanie pól ludzkich, małpy idą zawsze gromadnie, przy czym starsze dbają o bezpieczeństwo całego towarzystwa. Małe małpy ti-ti, których dziecinne twarzyczki wywarły takie wrażenie na Humboldtzie, obejmują się wzajemnie i zasłaniają jedna drugą, gdy deszcz pada. Liczne gatunki małp ujawniają bardzo dużą troskliwość w stosunku do rannych i w ucieczce nie opuszczają rannego towarzysza, dopóki nie przekonają się, że już nie żyje i że wszelkie starania byłyby bezowocne. James Forbes opowiada w swych pamiętnikach ze Wschodu, że gromada małp ujawniła tyle zapobiegliwości, gdy chodziło o ciało rannej samicy, i rozwinęła tyle uczuciowości, że przyrzekł sobie, iż odtąd nigdy nie będzie strzelać do małp. Niektóre małpy umieją łączyć swe wysiłki w celu podniesienia kamienia, pod którym kryje się mrowisko, aby wydobyć upragnione jaja mrówcze. Hamadriady nie tylko rozstawiają wartowników, lecz umieją ustawić się w łańcuch w celu przeniesienia zdobyczy na miejsce bezpieczne; ich odwaga jest dobrze znana. Podany przez Brehma opis walki, jaką jego karawana musiała stoczyć, zanim hamadriady pozwoliły, jej posunąć się dalej w dolinie Mensy w Abisynii, stał się opisem klasycznym. Znane są również opisy wesołego usposobienia i wzajemnego przywiązania, panującego wśród małp ogoniastych. I jeśli wśród najwyższych małp znajdujemy dwa gatunki nietowarzystkie ograniczone do niewielkich przestrzeni: orangutana i goryla – jeden w Afryce Środkowej, drugi zaś na wyspach Borneo i Sumatra – mamy zupełne prawo przypuszczać, że są to resztki gatunków znacznie niegdyś liczniejszych. Szczególnie goryl wydaje się zwierzęciem niegdyś towarzyskim – jeśli małpy wymienione w Periplusach są rzeczywiście gorylami.

Z tego krótkiego przeglądu widzimy, że życie towarzyskie bynajmniej nie należy do wyjątków w świecie zwierzęcym; przeciwnie, jest ono regułą, prawem przyrody i dosięga szczytu u najwyższych kręgowców. Gatunki żyjące samotnie lub tylko w rodzinach nielicznych, są same nieliczne. Wydaje się nawet, że – z niewielkimi wyjątkami – te ptaki i ssące, które dzisiaj nie prowadzą życia stadnego, niegdyś, przed rozmnożeniem się człowieka, prowadziły życie towarzyskie. Jak słusznie powiada Espinas, "nikt nie zrzesza się dla wspólnej śmierci"; tego samego zdania o wpływie człowieka na świat zwierzęcy był Houzeau, dobrze znający świat zwierząt w niektórych częściach Ameryki.

Życie społeczne spotykamy wśród zwierząt na wszystkich stopniach rozwoju; i zgodnie z głęboką myślą Herberta Spencera, tak wspaniale rozwiniętą w dziele Perriera "Colonies animales", kolonie spotykamy już w zaraniu rozwoju świata zwierzęcego. Lecz w miarę wznoszenia się po stopniach ewolucji widać, jak zrzeczenie występuje jako zjawisko periodyczne lub wywołane przez pewne szczególne potrzeby, np. rozmnażanie się gatunku, wędrówki, wyprawy myśliwskie lub obronę; wzajemną. Występuje ono również jako zjawisko przypadkowe, gdy np. ptaki łączą się przeciwko napastnikowi lub gdy ssaki tworzą gromady pod naciskiem okoliczności wyjątkowych – w celu wędrówki. W tym ostatnim przypadku zrzeczenie jest świadomym odchyleniem od zwykłego sposobu życia. Społeczeństwo zwierzęce posiada niekiedy dwa lub więcej stopni – mamy w nim najpierw rodzinę, potem grupę rodzin i wreszcie wielki związek grup, które zwykle są rozproszone, lecz w razie potrzeby mogą się połączyć; widzimy to u bawołów i innych przeżuwających. Zrzeczenie przybiera również formy wyższe, zapewniające jednostce większą niezależność, nie pozbawiając jej przy tym korzyści życia społecznego. U większości gryzoni jednostki posiadają własne mieszkania, do których mogą się udać, gdy wolą być w samotności; mieszkania te jednak położone są blisko jedno drugiego, jakby wieś i miasta, zapewniając w ten sposób wszystkim mieszkańcom korzyści życia społecznego. Wreszcie u niektórych gatunków, jak np. szczury, chomiki, zające itd., spotykamy życie towarzyskie wyraźnie istniejące u tych zwierząt pomimo swarliwego usposobienia i egoistycznych skłonności. We wszystkich tych przypadkach życie społeczne nie jest bynajmniej czymś narzuconym przez samą fizjologiczną budowę jednostki; jest ono w celu pomocy wzajemnej oraz dla przyjemności. Występuje ono we wszystkich możliwych stopniach rozwoju i wykazuje ogromną różnorodność form indywidualnych; sama ta różnorodność form życia społecznego jest dla nas dowodem, jak powszechnym jest ono zjawiskiem.

Towarzyskość – tj. odczuwana przez zwierzę potrzeba łączenia się z sobie podobnymi – upodobanie do towarzystwa dla samego towarzystwa, dającego więcej "radości życia", dopiero w ostatnich czasach poczęła zwracać na siebie należyłą uwagę zoologów. Wiemy teraz dobrze, że wszystkie zwierzęta, poczynając od mrówek aż do ptaków i najwyższych ssaków, ogromnie lubią zabawy, gonitwy, przekomarzanie się wzajemne itp. I gdy niektóre z tych zabaw mają na celu jak gdyby przygotowanie młodzieży do tego, co czynić im wypadnie w wieku dojrzałym, inne nie posiadają żadnego wyraźnego celu i są – jak np. taniec i śpiew – prostym przejawem nadmiaru sił, "radości życia", są przejawem potrzeby łączenia się w jaki bądź sposób z innymi jednostkami tego samego gatunku; słowem, są to przejawy czystego uspołecznienia spotykanego w całym świecie zwierzęcym. Czy będzie to uczucie strachu, doznawane z powodu zbliżenia się napastnika, czy wybuch radości, gdy zwierzęta są młode i zdrowe, czy też prosta chęć dania ujścia nadmiarowi wrażeń i siły życiowej, potrzeba podzielenia się wrażeniami, potrzeba zabawy, porozumienia się lub chęć prostego odczuwania bliskości innych żywych istot pokrewnych – zawsze mamy tu do czynienia z potrzebą wszędzie spotykaną. Uspołecznienie dosięga wyższego stopnia rozwoju i przejawów szczególnie pięknych wśród ssaków, zwłaszcza wśród młodzieży, a jeszcze bardziej wśród ptaków; przenika ono jednak całą przyrodę i zostało stwierdzone przez najlepszych

przyrodników (Pierre Huber) wśród mrówek; jest to niewątpliwie ten sam instynkt, który spędza razem wspomniane dawniej gromady motyli.

Zwyczaj zbierania się na tańce i strojenia tych miejsc, w których zwykle ptaki tańczą, jest dobrze znany z darwinowskiego "Pochodzenia człowieka". Ale ten zwyczaj tańczenia jest, jak się zdaje, rozpowszechniony znacznie bardziej niż początkowo mniemano i W. Hudson w swoim dziele o La Plata daje nadzwyczaj zajmujący opis tańców złożonych, wykonywanych przez różne gatunki ptaków.

Tak rozpowszechniony między wielu gatunkami ptaków zwyczaj śpiewania wspólnego należy do tej samej kategorii instynktów społecznych. Zwyczaj ten występuje w sposób najbardziej uderzający u Chaunachavarrria. Ptaki te zbierają się niekiedy w olbrzymie stada i wówczas wspólnie śpiewają. W Hudson spotkał je kiedyś w niezliczonej gromadzie, rozmieszczonej wokół jeziora pośród pampasów; ptaki rozmieściły się grupami liczącymi mniej więcej po 500 sztuk.

"Wówczas – pisze on – grupa najbliżej mnie położona zaczęła śpiewać i śpiew ten trwał trzy do czterech minut; gdy ta grupa umilkła, śpiew podjęła grupa następna, potem dalsze itd., aż po pewnym przeciągu czasu doleciały mnie dźwięki z przeciwległego brzegu jeziora. Na chwilę wszystko ucichło, wnet jednak grupa znajdująca się obok mnie zaczęła znowu śpiewać i dalej kolejno następne".

Innym razem ten sam autor widział cały step, pokryty tymi ptakami; nie tworzyły one jednak grupy bezładnej, lecz podzielone były na pary i małe grupki. Około godziny dziewiętej wieczorem "nagle całe mnóstwo ptaków, pokrywające kilka kilometrów kwadratowych, wzniosło chóralny śpiew wieczorny... Był to koncert, dla którego wysłuchania warto było przyjechać z odległości stu mil..." Należy tu dodać, że chauna, jak wszystkie zwierzęta towarzyskie, łatwo oswaja się i przywiązuje do człowieka. "Są to ptaki o usposobieniu łagodnym i kłócą się bardzo rzadko", jakkolwiek są zaopatrzone w potężną broń. Życie społeczne czyni tę broń niepotrzebną.

Na poprzednich stronach wykazaliśmy już, że życie towarzyskie jest najpotężniejszą bronią w walce o byt pojętej w znaczeniu najszerszym; przykładów moglibyśmy w razie potrzeby podać jeszcze więcej. Życie towarzyskie umożliwia najsłabszym owadom, najsłabszym ptakom i najsłabszym ssącym obronę przed napaścią najróżniejszych drapieżników; zapewnia ono długowieczność, umożliwia wyhodowanie potomstwa przy najmniejszej stracie energii oraz utrzymanie gatunku nawet przy bardzo małej płodności; wreszcie zwierzęta stadne mają możliwość odbywania wędrówek w poszukiwaniu nowych siedzib. Wynika stąd, że jakkolwiek uznajemy to poważne znaczenie, jakie przypisywali Darwin i Wallace szybkości, barwom ochronnym, przebiegłości i wytrzymałości na głód i zimno – to jednak twierdzimy, iż towarzyskość zapewnia największe korzyści w walce o byt we wszystkich okolicznościach. Te gatunki, które dobrowolnie lub przymusowo wyrzekają się życia towarzyskiego, skazane są na zanik; gdy tymczasem zwierzęta najlepiej umiejące się łączyć posiadają najwięcej danych do utrzymania się przy życiu i do rozwoju, choćby nawet ustę-

powwały innym zwierzętom we wszystkich wyliczonych przez Darwina i Wallacea właściwościach, z wyjątkiem jedynie zdolności umysłowych. Najwymowniejszym tego dowodem są najwyższe kręgowce, przede wszystkim zaś człowiek. Co się tyczy zdolności umysłowych – jeżeli wszyscy darwiniści zgadzają się z Darwinem, iż są one najpotężniejszą; bronią w walce o byt i najpotężniejszym czynnikiem rozwoju, to uznać muszą również, że zdolności umysłowe mają charakter wybitnie społeczny. Język, naśladowanie, doświadczenie nagromadzone przez wiele jednostek – są tym czynnikiem, który znakomicie powiększa inteligencję, a którego pozbawione są zwierzęta nietowarzyskie. Toteż na szczycie rozwoju zwierzęcego znajdujemy mrówki, papugi i małpy, czyli zwierzęta, u których najwyższe uspołecznienie łączy się z najwyższym rozwojem inteligencji. Widzimy więc, że za zwierzęta najzdatniejsze uważać musimy zwierzęta najbardziej społeczne, uspołecznienie zaś musimy uważać za główny czynnik rozwoju i to zarówno bezpośrednio, jako zapewniający największą sumę dobrobytu przy najmniejszej stracie energii, jak pośrednio, ponieważ uspołecznienie przyczynia się do rozwoju zdolności umysłowych.

Widoczne jest przy tym, że życie towarzyskie byłoby zgoła niemożliwe bez współzależnego rozwoju uczuć społecznych, szczególnie zaś bez pewnego kolektywnego poczucia sprawiedliwości, które staje się nawykiem. Gdyby każda jednostka nieustannie nadużywała swych zdolności osobistych nie bacząc na to, czy szkodzi innym czy nie – życie społeczne byłoby zgoła niemożliwe. Poczucie sprawiedliwości mniej lub więcej wyraźne rozwija się u wszystkich zwierząt stadnych. Bez względu na odległość, jaką przelatują jaskółki lub żurawie, każdy z tych ptaków wraca do tego samego gniazda, które zbudował lub odnowił roku poprzedniego. Jeśli jaki leniwy wróbel spróbuje przywłaszczyć sobie gniazdo zbudowane przez towarzysza lub choćby tylko ukradnie z niego ździebełko trawy, cała gromada wróbli występuje przeciwko takiej niesprawiedliwości; jest rzeczą, niewątpliwą, że bez takiego w mieszaniu się całej gromady nie mogłaby istnieć żadna osada ptasich gniazd. Poszczególne grupy pingwinów posiadają oddzielne miejsca wypoczynku i oddzielne miejsca połowu, o które nigdy nie walczą. Każde stado bydła w Australii posiada swoje określone miejsce, dokąd przychodzi na odpoczynek i nie zdarza się, aby zachodziło do miejsc innych. Spora liczba spostrzeżeń bezpośrednich wykazuje, że w większej części osad ptasich, w osadach gryzoni oraz w stadach trawożernych panuje spokój; z drugiej jednak strony wiemy, że mało jest zwierząt towarzyskich, które by się tak nieustannie ze sobą kłóciły, jak to czynią szczury w naszych piwnicach lub morsy walczące o każde słoneczne miejsce na wybrzeżu. Towarzystwo stawia bowiem granice walce fizycznej i daje możliwość rozwoju lepszych uczuć moralnych. Dobrze znany jest wysoki rozwój uczuć rodzicielskich u wszystkich zwierząt, nawet u lwów i tygrysów. Co się tyczy młodego ptactwa i młodych ssących, które zrzeszają się nieustannie, to zrzeszenia te utrzymuje w całości pewien instynkt społeczny, nie miłość. Pomijając rzeczywiście wzruszające fakty wzajemnego przywiązania i współczucia, spotykane w życiu zwierząt domowych lub trzymanyh w niewoli, posiadamy niemałą liczbę niewątpliwych faktów współczucia wśród zwierząt dzikich żyjących na wolności. Max Perty i L. Büchner podają niemało faktów tego rodzaju. Zasługuje również na rozpowszechnienie opowiadanie J. C. Wooda o łasicy, która przyszła aby podnieść i zabrać ranną towarzyszkę. Do podobnych faktów należy przytoczone przez Darwina opo-

wiadanie kapitana Stansburyego o jego podróży do Utah; widział on tam ślepego pelikana, który był karmiony, i to dobrze karmiony, przez innego pelikana rybami przynoszonymi z odległości 50 kilometrów. H.A. Weddel widział niejednokrotnie, jak od ściganego przez myśliwych stada wigoniów boliwijskich i peruwiańskich oddzielały się rozmyślnie najsilniejsze samce i pozostawały w tyle, aby utworzyć tylną straż. Fakty współczucia i pomocy świadczonej rannym towarzyszom są przytaczane przez wielu zoologów. Fakty takie są zupełnie naturalne; współczucie jest nieuniknionym wynikiem życia społecznego. Ale współczucie oznacza również wielki postęp w ogólnym rozwoju inteligencji i wrażliwości. Jest ono pierwszym krokiem ku rozwojowi wyższych uczuć moralnych. Jest ono również poważnym czynnikiem rozwoju.

Jeśli poglądy rozwinięte na stronicach poprzednich uznamy za słuszne, powstaje pytanie: w jakiej mierze można je uzgodnić z takim pojmowaniem walki o byt, jakie rozwinął Darwin, Wallace i ich następcy? Odpowiem na to krótko. Przede wszystkim przyrodnik nie może wątpić, że pojęcie walki o byt, rozciągnięte na całą przyrodę ożywioną, jest jednym z najpotężniejszych uogólnień wieku XIX. Życie jest walką i w walce tej utrzymują się przy życiu najzdadniejsi. Jednak jeśli postawimy pytanie: "jaką bronią jest przeważnie prowadzona walka" i "kto w niej jest najzdadniejszy?", odpowiedzi będą różne, zależnie od różnych postaci walki; a mianowicie chodzić tu będzie o to, czy mamy do czynienia z bezpośrednią walką o pokarm i życie pomiędzy oddzielnymi jednostkami, czy też z tą walką, którą Darwin określał jako pojmowaną w znaczeniu metaforycznym, walką będącą często zbiorowym zmaganiem się z różnymi przeciwnościami. Nikt nie zaprzeczy, że wewnątrz gatunków istnieje w pewnej mierze rzeczywiste współzawodnictwo o pożywienie – przynajmniej w niektórych okresach. Chodzi jednak o to, czy współzawodnictwo dosięga tego napięcia, o którym mówili Darwin i Wallace, a także czy to współzawodnictwo odegrało rzeczywiście w rozwoju świata zwierzęcego przypisywaną mu rolę?

Myślą przewodnią dzieła Darwina jest niewątpliwie myśl o współzawodnictwie o pokarm i możliwość pozostawienia potomstwa; współzawodnictwo to zachodzi wewnątrz każdej grupy zwierzęcej. Darwin niejednokrotnie mówi o obszarach całkowicie nasyconych życiem zwierzęcym i z tego nasycania wnioskuje o konieczności współzawodnictwa. Jeśli jednak w dziele jego poszukamy rzeczywistych dowodów tego współzawodnictwa, będziemy musieli przyznać, że bynajmniej nie są one przekonujące. Gdy sięgniemy do rozdziału zatytułowanego

"Walka o byt jest najsilniejsza pomiędzy jednostkami odmianami tego samego gatunku", nie znajdziemy tam tej obfitości przykładów, do jakiej tak przyzwyczailiśmy się u Darwina. Walka pomiędzy jednostkami tego samego gatunku nie jest zilustrowana w tym rozdziale ani jednym przykładem. Uważa się ją za pewnik nie wymagający dowodzenia. Współzawodnictwo pomiędzy blisko spokrewnionymi gatunkami jest zilustrowane tylko kilku przykładami, z nich zaś, co najmniej jeden (dotyczący dwóch gatunków drozdów) jest teraz podawany w wątpliwość. Jeśli poszukamy więcej szczegółów, które by mogły nas przekonać, że zanikanie jednego gatunku było rzeczywiście wywołane przez rozwój

innego, Darwin ze swoją zwykłą prostotą powie nam: "Nie trudno domyślić się, dlaczego współzawodnictwo pomiędzy formami pokrewnymi, zajmującymi w przyrodzie mniej więcej to samo miejsce, musi przybierać postać najostrzejszą; lecz, jak się zdaje, nie mamy danych do powiedzenia, dlaczego jakiś gatunek został zwycięzcą w walce o byt."

Co się tyczy Wallacea, podającego te same fakty pod nieco zmienionym tytułem ("Walka o byt pomiędzy zwierzętami i roślinami spokrewnionymi często przybiera postać najostrzejszą"), czyni on uwagę rzucającą na całe zagadnienie światło nieco odmienne:

"W niektórych przypadkach niewątpliwie istnieje walka pomiędzy dwoma przeciwnikami, z których silniejszy zabija słabszego; lecz bynajmniej nie jest to konieczne i istnieją przypadki, kiedy gatunek słabszy fizycznie może zwyciężyć dzięki swej zdolności szybszego rozmnażania się, większej odporności na klimat lub dzięki większej zręczności w unikaniu wspólnych nieprzyjaciół."

W tych przypadkach to, co nazywa się współzawodnictwem, może zupełnie nim nie być. Jeden gatunek zanika nie dlatego, że nie może tak dobrze jak tamten przystosować się do nowych warunków. Termin "walka o byt" może tu być ujmowany tylko w znaczeniu metafizycznym. Co się tyczy rzeczywistego współzawodnictwa pomiędzy jednostkami tego samego gatunku, to zaznaczyć należy, że podany przykład bydła południowo-amerykańskiego podczas suszy posiada wartość wątpliwą, ponieważ zaczerpnięty jest z życia zwierząt domowych. Bawoły w takich okolicznościach emigrują i unikają współzawodnictwa. Bardzo ostra – dowiedziona niewątpliwie – walka o byt istnieje pomiędzy roślinami; ale rośliny, jak zaznacza sam Wallace, "muszą żyć wszędzie, gdzie wypadnie, gdy tymczasem zwierzęta mają w znacznej mierze możliwość wybierania sobie miejsca pobytu." I oto znowu dochodzimy do pytania, w jakich rozmiarach istnieje rzeczywiste współzawodnictwo wewnątrz każdego gatunku zwierzęcego? I na czym opiera się samo to założenie współzawodnictwa?

Ta sama uwaga dotyczy tego pośledniego argumentu na rzecz ostrej walki o byt wewnątrz gatunku, jaki może być wyprowadzony z tak często wspomnianego przez Darwina "wytępienia odmian przejściowych". Jak wiadomo, Darwin przez długi czas niepokoił się z powodu braku form przejściowych pomiędzy blisko spokrewnionymi gatunkami i rozwiązanie znalazł w przypuszczalnym wytępieniu form pośrednich. Jednak uważne przeczytanie rozdziałów, w których Darwin i Wallace mówią o tym przedmiocie, rychło doprowadza do wniosku, że wyraz wytępienie (extermination) bynajmniej nie oznacza tępienia jednych osobników przez drugie; i ta sama uwaga, jaką Darwin uczynił w stosunku do wyrażenia "walka o byt", może być zrobiona również w zastosowaniu do wyrazu "wytępienie". Znowu musimy ujmować go w znaczeniu metaforycznym.

Jeżeli wyjdziemy z przypuszczenia, że jakiś obszar jest całkowicie nasycony przez zwierzęta i że na skutek tego nasycenia panuje tam ostre współzawodnictwo o środki do życia, że każde zwierze zmuszone jest zdobywać codzienne pożywienie w zawziętej walce przeciwko wszystkim – wówczas zjawienie się nowej i mającej dane do rozwoju odmiany

mogłoby rzeczywiście oznaczać często (chęć bynajmniej nie zawsze) to samo, co zjawienie się jednostek uzdolnionych do zdobycia więcej pożywienia, niż normalnie przypaść by im mogło; wynik był taki, że te jednostki uprzywilejowane ogłodziłyby zarówno swe formy rodzicielskie jak i formy pośrednie, nieposiadające równie rozwiniętych udoskonaleń. Bardzo być może, że sam Darwin w ten właśnie sposób ujmował początkowo zjawianie się nowych odmian, w każdym bądź razie częste używanie wyrazu "wytępienie" (extermination) uprawnia do takiego przypuszczenia. Ale zarówno Darwin jak Wallace zbyt dobrze znali przyrodę, aby nie wiedzieć, że w żadnym razie nie jest to jedyny możliwy przebieg sprawy.

Gdyby na jakimś obszarze zamieszkanym przez pewien gatunek warunki fizyczne i biologiczne a także sama rozciągłość obszaru i przyzwyczajenia zwierząt pozostawały te same, w takim razie nagle pojawienie się odmiany nowej mogłoby rzeczywiście oznaczać wygłodzenie czy wytępienie tych wszystkich jednostek, które nie posiadały w dostatecznej mierze właściwości znamionujących odmianę nową. Jednak takiego zbiegu warunków bynajmniej nie widzimy w przyrodzie. Każdy gatunek nieustannie dąży do rozszerzenia miejsca swego zamieszkania; wędrówkom na miejsca nowe podlega zarówno powolny ślimak jak szybki ptak; zmiany fizyczne odbywają się nieustannie i wszędzie; toteż nowa odmiana zwierzęcia w znakomitej większości przypadków tworzy się nie dzięki zdobyciu nowej broni do wrywania pożywienia z paszczy bliźnim – pożywienie jest tylko jednym z wielu warunków życia – lecz, jak wskazuje to sam Wallace w pięknie napisanym wstępie "O zmianach charakteru (Darwinizm), dzięki nowym przyzwyczajeniom, dzięki przenoszeniu się na nowe miejsca i odżywianiu się nowym pokarmem. A we wszystkich tych przypadkach będziemy mieli do czynienia nie z tępieniem się wzajemnym ani nie z współzawodnictwem: przystosowanie się do nowych warunków jest właśnie wyzwoleniem się spod współzawodnictwa, jeśli ono kiedy bądź istniało. Jednak po pewnym przeciągu czasu spostrzeżemy nieobecność ogniwi pośrednich; a stanie się to po prostu dzięki utrzymaniu się przy życiu form lepiej przystosowanych do nowych warunków. Nie trzeba tu dodawać, że im w większej mierze uwzględnimy wraz ze Spencerem, Lamarckistami a nawet z samym Darwinem zmieniający wpływ środowiska na gatunki, tym dalsi będziemy od uważania walki za jedyny środek usuwania form pośrednich.

Wpływ wędrówek na powstawanie nowych odmian a także nowych gatunków – zaznaczony przez Moritza Wagnera – był całkowicie uznawany przez samego Darwina. Badania późniejsze uwydatniły tylko znaczenie tego czynnika i wykazały, że wielkość obszaru zajętego przez pewien gatunek – co Darwin zupełnie słusznie uważał za bardzo ważne dla wystąpienia nowych odmian – może być połączona z wyodrębnieniem się części gatunku. To wyodrębnienie się części gatunku odbywa się dzięki zmianom geologicznym lub przegrodom lokalnym. Nie możemy wchodzić tu w bardziej szczegółowe rozpatrywanie tego zagadnienia; kilka uwag wystarczy dla uprzytomnienia połączonego działania tych czynników. Jest rzeczą wiadomą, że części jakiegoś gatunku niejednokrotnie zaczynają się odżywiać nowym pokarmem. Tak np. wiewiórki, gdy zbraknie szyszek w lasach modrzewiowych, przenoszą się do lasów sosnowych i ta zmiana pożywienia wywołuje w nich dobrze znane zmiany fizjologiczne. Jeśli zmiana nie jest trwała – jeśli w roku następnym znowu

będzie obfitość szyszek w lasach modrzewiowych – wówczas nie doprowadzi to do powstania nowej odmiany wiewiórek. Jeśli jednak obszar zamieszkały przez wiewiórki zmieni swój charakter fizyczny – dajmy na to wskutek złagodnienia klimatu lub wskutek lokalnego wyschnięcia, co powoduje szybszy wzrost lasów sosnowych w porównaniu do modrzewiowych – i jeśli jakieś inne warunki zmuszą jednocześnie wiewiórki do przebywania na skraju przestrzeni wysychającej, wówczas będziemy mieli do czynienia z nową odmianą, tj. pocnie się rodzić nowy gatunek wiewiórek, jakkolwiek nie było wśród nich żadnego tępienia się wzajemnego, żadnego współzawodnictwa w znaczeniu maltuzjańskim. To właśnie widzimy na ogromnych obszarach Azji środkowej, gdzie odbywa się stopniowe wysychanie datujące się od czasu epoki lodowej.

Weźmy inny przykład. Geolodzy wykazali, że obecny koń dziki (*Equus Przewalski*) rozwinął się powoli w ostatnich okresach epoki trzeciorzędowej i w epoce czwartorzędowej, lecz, że w tym szeregu wieków jego przodkowie bynajmniej nie ograniczali się do kraju zamieszkiwanego dzisiaj przez konia dzikiego. Wędrowali oni zarówno po starym jak i po nowym świecie, powracając prawdopodobnie po pewnym czasie na te same pastwiska, które niegdyś byli opuścili. Toteż, jeśli nie znajdujemy teraz ważnych ogniw pośrednich pomiędzy dzikim koniem i jego azjatyckimi przodkami z późnej epoki trzeciorzędowej, nie oznacza to bynajmniej, że ogniwa pośrednie uległy wytępieniu. Tępienie takie nigdy zgoła się nie odbywało. Wewnątrz gatunków zaginionych nie panowała również jakaś nadzwyczajna śmiertelność i jednostki należące do odmian lub gatunków pośrednich umierały w sposób zwykły, często pośród obfitego pożywienia; ich szczątki znajdujemy rozsiane na całym globie.

Słowem, jeśli sprawę tę zbadamy starannie i jeśli raz jeszcze uważnie odczytamy to, co pisał Darwin, dojdziemy do wniosku, że wyraz wytępienie (eksterminacja) w zastosowaniu do odmian zanikających może być użyty tylko w znaczeniu metaforycznym. Co się tyczy współzawodnictwa, wyrażenie to, tak często używane przez Darwina, posiada charakter raczej pewnego sposobu wyrażania się, lecz nie ma służyć do uwydatnienia rzeczywistego współzawodnictwa o środki do życia pomiędzy częściami tego samego gatunku. W każdym razie nieistnienie form pośrednich bynajmniej nie przemawia na korzyść współzawodnictwa.

W rzeczywistości głównym argumentem, na którym wpiera się teoria współzawodnictwa, jest rozumowanie "arytmetyczne" zapożyczone od Malthusa.

Rozumowanie to jednak niczego nie dowodzi. Weźmy np. pewną liczbę wsi południowo-wschodniej Rosji, gdzie mieszkańcy posiadają obfitość pożywienia, lecz pozbawieni są wszelkich urządzeń higienicznych; przekonamy się, że chociaż w ciągu ostatnich 80 lat liczba urodzin wynosiła tam 60 na 1000, to jednak w ciągu tych 80 lat ludność wcale nie wzrosła. Czy mamy wyciągnąć stąd wniosek o istnieniu strasznego współzawodnictwa pomiędzy mieszkańcami? Wiemy dobrze, iż ludność nie rozmnażała się po prostu z tego powodu, że trzecia część niemowląt umiera przed szóstym miesiącem życia; połowa umiera przed dojściem do 4 lat, z każdej zaś setki urodzonych zaledwie 17 dochodzi do lat 20. Nowi przybysze schodzą z widowni, zanim podrosną o tyle, aby stali się współzawodnikami. A skoro takie stosunki panują pomiędzy ludźmi, to to samo w stopniu jeszcze

wyraźniejszym musi panować między zwierzętami. W świecie ptasim niszczenia jajek odbywa się w rozmiarach tak potwornych, że na wiosnę i w pierwszej połowie lata jajka są dla niektórych gatunków głównym pożywieniem; a cóż dopiero mówić o burzach lub powodziach niszczących całe miliony gniazd; co mówić o nagłych zmianach temperatury, tak zabójczych dla młodych ptaków. Każda burza, każda powódź, każde zakradzenie się szczura do gniazda ptasiego, każda nagła zmiana ciepłoty – usuwają masami tych domniemanych współzawodników, tak groźnych w ujęciu teoretycznym.

Znane są fakty nadzwyczaj szybkiego rozmnożenia się koni i bydła w Ameryce, królików w Nowej Zelandii a nawet niektórych zwierząt dzikich przywiezionych z Europy (gdzie zbyt ich rozmnażanie się zahamował człowiek, bynajmniej zaś nie współzawodnictwo). Fakty te jawnie przeczą teorii przeludnienia. Skoro konie i bydło mogły tak szybko rozmnożyć się w Ameryce, dowodzi to po prostu, że pomimo ogromnej liczby bawołów i innych przeżuujących Nowego Świata tamtejsza liczba trawożernych była znacznie niższa od tej, jaką prerie mogły wyżywić. Skoro miliony przybyszów znalazły obfitość pożywienia, bynajmniej nie doprowadzając do głodu dawniejszych mieszkańców prerii, musimy dojść do wniosku, że w Ameryce panował raczej pewien brak zwierząt, i mamy nawet dostateczne powody przypuszczać, że brak ten jest na całym świecie naturalnym stanem rzeczy, od którego odstępstwa są bardzo rzadkie i tylko przejściowe raczej. Liczbę zwierząt żyjących na pewnym obszarze określa nie maksymalna ilość pożywienia, jakiego może dostarczyć ten obszar, lecz – przeciwnie – plony lat najmniej urodzajnych. Toteż współzawodnictwa bynajmniej nie możemy uważać za stan normalny; inne czynniki wchodzą tu w grę i utrzymują zwierzostan poniżej normy. Spójrzmy np. na konie i bydło pasące się przez cały rok na stepach kraju Zabajkalskiego; przekonamy się, że zawsze pod koniec zimy są one bardzo chude i wyczerpane. Jednak pochodzi to nie z powodu braku pożywienia dla wszystkich – trawa, pokryta zaledwie cienką warstwą śniegu, znajduje się wszędzie w obfitości – lecz z powodu trudności wydobycia pokarmu spod śniegu; trudność ta zaś jest jednakowa dla wszystkich koni. Przy tym wczesną wiosną zdarzają się dni gołoledzi i jeśli kilka tego rodzaju dni nastąpi po sobie, konie jeszcze bardziej słabną. Skoro zaś potem przyjdzie zawaiewa śnieżna, konie giną masami. Wiosenne straty tych zwierząt są tak wielkie, że w latach niepomysłnych przyrost letni nie jest w stanie pokryć ubytku – tym bardziej, że wszystkie konie są wycieńczone i źrebięta rodzą się słabsze. Wskutek tego liczba koni i bydła jest zawsze niższa od tej, jaką by mógł dany obszar wyżywić. W ciągu całego roku znajduje się pasza dla pięciokrotnie lub dziesięciokrotnie większej liczby zwierząt; pomimo to zwierzostan wzrasta bardzo powoli. Dość jednak, aby właściciele tych stad, Buriaci, poczynili bardzo niewielkie zapasy siana na stepie i aby udostępnił je koniom podczas gołoledzi lub śnieżyc, a stada natychmiast się pomnażają. Niemal wszystkie trawożerne i wiele gryzoni w Azji i Ameryce znajdują się mniej więcej w tych samych warunkach; toteż możemy powiedzieć, że nie współzawodnictwo określa ich liczbę; w żadnej porze roku nie walczą one pomiędzy sobą o pożywienie i jeśli nie dochodzi nigdy do przeludnienia, to przyczyną tego jest klimat, nie zaś współzawodnictwo.

Wydaje mi się, że wpływ naturalnych tam przeludnienia, szczególnie zaś ich znaczenie dla hipotezy współzawodnictwa nigdy nie było dostatecznie wzięte pod uwagę. Sam fakt

istnienia tych tam bywał tu i ówdzie zaznaczany przez przyrodników, lecz wpływ ich nie był należycie zbadany. A przecie, jeśli porównamy działanie tam naturalnych ze współzawodnictwem, ujawni się, że w porównaniu z nimi współzawodnictwo jest czynnikiem bardzo słabym. Tak np. Bates opowiada o olbrzymich ilościach mrówek skrzydlatych, niszczonej podczas wylotu. Widział on ogromne ilości mrówek ognistych (*Myrmicasoevissima*) strąconych przez wicher i leżących na brzegu rzeki sznurem grubym na 1-2 cali i ciągnącym się na przestrzeni kilku kilometrów. Miliardy mrówek są w ten sposób niszczone przez przyrodę, która mogłaby wyżywić ich sto razy więcej niż żywi obecnie. Leśnik niemiecki, dr Altum, który napisał bardzo interesującą książkę o szkodliwych zwierzętach naszych lasów, również przytacza wiele przykładów, ujawniających olbrzymie znaczenie tam naturalnych. Mówi on, że parę dni mroźnych lub zimnych i wilgotnych w czasie wylęgnięcia się sosnówki (*Bombyx pini*) niszczy ją miliardami; na wiosnę roku 1871 sosnówki od razu znikły prawdopodobnie zabite przez kilka zimnych nocy. Podobne przykłady można by podać dla różnych owadów wielu krajów europejskich. Dr Altum wspomina również o ptakach nieprzyjaciołach sosnówki i o olbrzymich ilościach jej jajek niszczonej przez lisy; dodaje jednak, że najstraszniejszym wrogiem sosnówki są grzybki pasożytnicze, które ją od czasu do czasu zarażają. Co się tyczy różnych gatunków myszy (*Mus sylvaticus*, *Arvicola arvalis* A. *agrestis*), ten sam autor podaje długą listę jej wrogów, lecz zaznacza: "najgroźniejszym jednak wrogiem myszy są nie zwierzęta, lecz nagłe zmiany temperatury, zdarzające się niemal corocznie." Mróz następujący po ciepłym dniu zabija niezliczone ilości myszy; "jedna gwałtowna zmiana temperatury jest w stanie do kilku jednostek zredukować tysiące myszy". Z drugiej strony łagodna lub powoli nadchodząca zima sprzyja nadzwyczajnemu ich rozmnażaniu się; zaszło to np. w latach 1876 i 1877. Widzimy więc, że współzawodnictwo jest czynnikiem bardzo słabym w porównaniu ze zmianami pogody. Podobne fakty znane są również, gdy chodzi o wiewiórki.

Jest rzeczą wiadomą, jak bardzo cierpią ptaki z powodu zmian pogody. Śnieżyce są również zabójcze dla ptaków w dzikich miejscowościach Anglii jak w Syberii; Ch. Dixon widział, jak cietrzewie czerwone (*Lagopus scoticus*) podczas ostrej zimy opuszczały swoje osiedla i podchodziły do samych ulic miast Sheffield. Długotrwałe deszcze są dla nich niemal tak samo zabójcze.

Z drugiej strony choroby zaraźliwe, nieustannie szerzące się pomiędzy zwierzętami, niszczą je w takiej liczbie, że powstałych stąd strat często nie mogą wynagrodzić następne lata nawet u zwierząt rozmnażających się specjalnie szybko. Tak np. mniej więcej przed 60 laty nagle zniknęły susły w okolicach Sarepty, w Rosji południowo-wschodniej; stało się to wskutek epidemii. I potrzeba było kilku lat, zanim pojawiły się w ilości dawniejszej. Takich faktów, ujawniających mały wpływ współzawodnictwa moglibyśmy podać bardzo dużo. Można by tu wprowadzić powiedziec wraz z Darwinem, że każda istota organiczna w pewnym okresie swego życia i w pewnej porze roku, w ciągu życia każdej generacji lub też z przerwami zmuszona jest do walki o byt i musi ponosić wielkie straty i że przez okresy te przechodzą zwycięsko tylko jednostki najzdarniejsze. Jednak gdyby rozwój świata zwierzęcego był oparty wyłącznie lub choćby tylko przeważnie na utrzymaniu się przy życiu jednostek najwytrzymalszych w okresach klęski, gdyby dobór naturalny, ograniczał się do

okresów wyjątkowej suszy lub do nagłych zmian temperatury czy do powodzi – w świecie zwierzęcym panowałoby raczej cofanie się niż postęp. Widzimy, że w świecie ludzkim ci, którzy przejdą głód, ostrą epidemię cholery, ospy lub dyfterytu – jak to się zdarza w krajach niecywilizowanych – bynajmniej nie należą do najsilniejszych ani najinteligentniejszych. Żaden postęp nie może być na nich oparty; tym bardziej, że ci przetrzymujący klęskę wychodzą z niej zwykle ze zdrowiem zrujnowanym, podobnie jak owe konie zabajkalskie lub załoga fortecy, zmuszona do utrzymywania się przy życiu przez dłuższy czas połową racji żywnościowej, wychodzi z tego doświadczenia ze zdrowiem zrujnowanym i ujawnia potem nadmierną śmiertelność. Wszystko, co dobór naturalny w czasach klęski zdziałać może, to chronienie jednostek, przystosowanych szczególnie do znoszenia wszelkiego rodzaju braków. Tak dzieje się wśród syberyjskich koni i bydła. Są one wytrzymałe i w razie potrzeby mogą żywić się choćby brzozą polarną; wytrzymałe są na zimno i głód. Ale żaden koń syberyjski nie pociągnie nawet połowy tego, co bez trudu ciągnie koń europejski; syberyjska krowa nie daje nawet połowy mleka krowy europejskiej i żaden mieszkaniec krajów dzikich nie może być w wydajności swej pracy porównany z Europejczykiem. Lepiej znoszą głód i zimno, lecz ich siły fizyczne są znacznie niższe od sił dobrze odżywionego Europejczyka, ich postęp umysłowy zaś jest rozpaczliwie powolny. ”Zło nie może zrodzić dobra”, jak powiedział Czernyszewski w swej pracy o darwinizmie.

Na szczęście współzawodnictwo bynajmniej nie jest prawem w świecie zwierzęcym i ludzkim. Ograniczone jest ono pomiędzy zwierzętami do okresów wyjątkowych i dobór naturalny odbywa się na innym polu. Lepsze warunki życia stwarzane są przez usunięcie współzawodnictwa dzięki pomocy wzajemnej. W wielkiej walce byt – w wielkiej walce o możliwie największą pełnię i intensywność życia przy jak najmniejszej stracie energii – dobór naturalny nieustannie szuka sposobów uniknięcia współzawodnictwa. Mrówki łączą się w mrowiska i całe ”narody”; zapełniają swoje piwnice, hodują sobie bydło – i w ten sposób unikają współzawodnictwa, a dobór naturalny wyróżnia spośród rodziny mrówek te gatunki, które zdolne są najlepiej uniknąć współzawodnictwa i jego zabójczych następstw. Większa część naszych ptaków z chwilą zbliżania się zimy posuwa się na południe, zbiera się w nieprzeliczone gromady i podejmuje długie podróże – wszystko w celu uniknięcia współzawodnictwa. Niektóre gryzonie usypiają na czas, kiedy musiałyby stanąć wobec współzawodnictwa; jednocześnie inne gryzonie gromadzą żywność na zimę i łączą się w wielkie osiedla, aby pomagać sobie i bronić się wzajemnie. Renifer, gdy braknie mu mchów, przenosi się ku morzu. Bawoły przechodzą całe kontynenty w poszukiwaniu obfitego pożywienia. Bobry zaś, gdy staną się zbyt liczne na jakiej rzece, rozdzielają się na dwie grupy i starsze udają się w dół rzeki, młodsze zaś idą w górę – znowu dla uniknięcia współzawodnictwa. Gdy zwierzęta nie mogą ani usnąć, ani wywędrować, ani nagromadzić zapasów, ani same wyhodować pożywienia, jak to czynią mrówki, uciekają się do tego, co tak interesująco opisuje Wallace, jako zwyczaj drozda: zabierają się do nowego pożywienia – i w ten sposób unikają współzawodnictwa.

”Nie walczcie ze sobą wzajemnie; współzawodnictwo jest zawsze szkodliwe dla gatunku, posiadacie masę sposobów uniknięcia go!” Oto dążenie przyrody; nie

zawsze wprawdzie urzeczywistniają się w pełni, niewątpliwie jednak zawsze istniejące. Oto jest ostrzeżenie, płynące ku nam od zarośli, lasów, rzek, mórz.
”Łączcie się – stosujcie pomoc wzajemną! To są najbardziej niezawodne środki zapewnienia każdemu najwyższego bezpieczeństwa, to najpewniejsza gwarancja postępu zarówno fizycznego jak umysłowego i moralnego”

Taką lekcję dają nam przyroda i tego trzymają się te wszystkie zwierzęta, które osiągnęły najwyższy poziom. Nie inaczej też postępował człowiek – człowiek najbardziej pierwotny. I dzięki temu właśnie osiągnął on to stanowisko, jakie obecnie zajmuje – jak to zobaczymy z rozdziałów następnym poświęconych pomocy wzajemnej w społeczeństwie ludzkim.

Rozdział 3. Pomoc wzajemna wśród dzikich

W rozdziałach poprzednich rozpatrzyliśmy pokrótce olbrzymią rolę pomocy wzajemnej w rozwoju świata zwierzęcego. Należy teraz spojrzeć na rolę tego czynnika w rozwoju ludzkości. Widzieliśmy, że gatunki zwierzęce żyjące samotnie są bardzo nieliczne i, przeciwnie, gatunki towarzyskie, zrzeszające się bądź dla obrony, bądź w celach myśliwskich, dla gromadzenia pokarmów, wychowywania potomstwa lub po prostu dla samej przyjemności przebywania w gromadzie – są niezliczone. Widzieliśmy również, że jakkolwiek pomiędzy różnymi grupami zwierząt i różnymi gatunkami a nawet pomiędzy oddzielnymi plemionami tego samego gatunku zachodzi walka, przyjąć jednak możemy, że prawem panującym wewnątrz plemienia czy gatunku jest pokój i pomoc wzajemna, a także, że te gatunki, które najlepiej umieją się łączyć w celu uniknięcia współzawodnictwa, posiadają najwięcej danych do utrzymania się przy życiu i do dalszego rozwoju. Gatunki towarzyskie rozwijają się, gdy, przeciwnie, nietowarzystkie zanikają.

Było by czymś przeciwnym wszelkim prawom natury, gdyby człowiek stanowił tu jakiś wyjątek: gdyby istota tak bezbronna jak człowiek w początkach swego istnienia, nie znajdowała oparcia w pomocy wzajemnej, jak inne zwierzęta, i gdyby oddając się nierozsądnemu współzawodnictwu o korzyści osobiste, nie dbała zupełnie o interesy gatunku. Tego rodzaju przypuszczenie jest nie do przyjęcia dla umysłu zżytego z ideą jedności przyrody. A jednak pomimo niefilozoficzności i nieprawdopodobieństwa takiego przypuszczenia, mniemaniu temu nigdy nie brakło obrońców. Po wsze czasy istnieli pisarze wypowiadający poglądy pesymistyczne na ludzkość. Znali oni życie ludzkie powierzchownie lub tylko z własnego ograniczonego doświadczenia; z historii wiedzieli tylko tyle, ile podali im kronikarze, zawsze wyławiający wojny, okrucieństwa i prześladowania; toteż dochodzili oni do wniosku, że ludzkość jest luźnym zbiorowiskiem istot zawsze gotowych do walki wzajemnej i ograniczanych w swych dążeniach jedynie przez zakazy władz.

Takiego zdania był Hobbes. I gdy niektórzy z jego następców w wieku XVIII usiłowali dowieść, że w żadnej epoce dziejów ludzkich – nawet w czasach najbardziej pierwotnych – ludzie nie żyli w stanie ciągłej walki; że ludzie byli uspołecznieni nawet w "stanie przyrody", że wreszcie raczej nieuświadomienie niż naturalne złe skłonności doprowadzają człowieka do wszystkich okropności późniejszego życia historycznego – sam on, wprost przeciwnie, był zdania, że tzw. "stan przyrody" był tylko nieustanną walką jednostek przygodnie spędzonych razem przez jakiś przypadek ich zwierzęcego bytowania. Nauka wprawdzie od czasu Hobbesa znacznie się posunęła naprzód i dzisiaj możemy się opierać na przesłankach pewniejszych niż spekulacje Hobbesa lub Rousseaua. Filozofia Hobbesa jednak wciąż

ma jeszcze swych zwolenników; i oto w ostatnich czasach mieliśmy niemal całą szkołę pisarzy, która przejąwszy się raczej terminologią Darwina niż jego przewodnimi myślami, oparła się na jego poglądach, jako na argumentach na korzyść Hobbesa. Pisarzom tym udało się nawet nadać temu wszystkiemu pozory naukowości. Jak wiadomo, na czele tej szkoły stał Huxley i w pracy napisanej w roku 1888 przedstawił człowieka pierwotnego jakby jakiegoś tygrysa czy lwa zupełnie pozbawionego pojęć etycznych, nieustannie walczącego o byt i pędzącego życie w ciągłym zmaganiu się; jak sam powiada – ”poza czasowymi i ograniczonymi stosunkami rodzinnymi walka wszystkich, taka, jaką pojmował Hobbes, była wówczas normalnym stanem życia”.

Mówiliśmy już, że głównym błędem Hobbesa i filozofów wieku XVIII były złudzenia, jakoby ludzkość zaczęła swe istnienie w postaci rodzin wędrownych; te rodziny ludzkie przypominać miały ”ograniczoną i czasową” rodzinę wielkich drapieżców; w rzeczywistości nie znajdujemy nic podobnego. W ogóle nie posiadamy żadnych świadectw bezpośrednich, w jaki sposób żyły pierwsze istoty ludzkie. Nie wiemy nawet na pewno, kiedy istoty te zjawily się po raz pierwszy; geologowie skłaniają się do uznawania ich śladów w plioceńskich a nawet w mioceneńskich warstwach epoki trzeciorzędowej. Jeśli jednak sięgniemy do metody pośredniej, możemy rzucić nieco światła na tę odległą starożytność. W ciągu ostatnich 40 lat przeprowadzono bardzo staranne badania instytucji społecznych ras najniższych i wykazano, że pomiędzy współczesnymi instytucjami ludzi dzikich znajdujemy ślady instytucji o wiele starszych, od dawna zaginionych, które jednak pozostawiły niewątpliwie ślady. Rozwinęła się cała embriologia instytucji ludzkich, i mamy ją w dziełach Bachofena, Mac Lennana, Edwarda B. Tylora, Mainea, Posta, Kowalewskiego, Lubocka i wielu innych. Nauka ta ustaliła, że ludzkość bynajmniej nie zaczęła życia w postaci małych rodzin oddzielnych. Rodzina nie tylko nie jest najpierwotniejszą formą organizacji, lecz przeciwnie, jest to bardzo późny wytwór rozwoju ludzkiego. Jak daleko możemy sięgnąć w paleoetnologię, znajdujemy człowieka żyjącego towarzysko – w plemionach podobnych do plemion ssaków; i trzeba było bardzo długiego rozwoju, aby gromady te doprowadzić do stanu organizacji rodowej lub klanowej, od której znowu długa droga wiedzie do zaczątków rodziny, poligamicznej lub monogamicznej. Społeczeństwa, hordy, plemiona, lecz bynajmniej nie rodziny – oto najpierwotniejsze formy współżycia naszych przodków. Do takiego wniosku doszła etnologia po szeregu pracowitych poszukiwań. Jest to wniosek, który mógł być z góry przewidziany przez zoologa. Żaden z ssaków wyższych z wyjątkiem nielicznych mięsożerców i paru niewątpliwie zanikających gatunków małp (orangutan, goryl) nie żyje w drobnych rodzinach, oddzielnie błądzących po lesie. Wszędzie spotykamy życie społeczne. Darwin dobrze rozumiał, że żyjące pojedynczo małpy nigdy nie mogłyby rozwinąć się w istoty człekopodobne, toteż skłaniał się ku mniemaniu, iż człowiek pochodzi raczej od względnie słabszych lecz społecznych gatunków jak np. szympan, niż od gatunków silniejszych, lecz niespołecznych jak goryl. Widzimy, więc iż zoologia i paleoetnologia zgadzają się, widząc w gromadzie a nie w rodzinie najwcześniejszą formę życia społecznego. Pierwsze społeczeństwa ludzkie były po prostu dalszym rozwojem tych społeczeństw, które spotykamy u zwierząt wyższych.

Jeśli teraz przejdziemy do dowodów bezpośrednich, przekonamy się, iż najwcześniejsze ślady ludzkie, pochodzące z epoki lodowej lub wczesnej polodowej wykazują niezbicie, że już wówczas człowiek żył w społeczeństwach. Narzędzi kamiennych prawie nigdy nie znajdujemy pojedynczo; gdzie tylko znajdujemy, jakkolwiek obrobiony krzemień, na pewno w bliskości znajdziemy inne, nieraz w ilościach bardzo znacznych. W czasach, kiedy ludzie mieszkali w jaskiniach lub pod wystającymi skałami, w towarzystwie ssaków dzisiaj zaginionych, i kiedy zaledwie potrafili wyrabiać najprostsze topory krzemienne, niewątpliwie znali już korzyści życia społecznego. W dolinach dopływu rzeki Dordogne we Francji powierzchnia skał jest gdzieśgdzie całkowicie pokryta zagłębieniami, w których niegdyś mieszkał człowiek paleolityczny. Niekiedy te mieszkania skalne wznoszą się piętrami jedne nad drugimi i niewątpliwie o wiele bardziej przypominają kolonie gniazd jaskółczych, niż jamy mięsożernych, co się zaś tyczy znajdujących w tych jaskiniach narzędzi krzemiennych, to – jak mówi Lubbock – "są one wprost niezliczone". To samo powiedziec można o innych stacjach paleolitycznych. Z badań Larteta, prowadzonych w Aurignac we Francji południowej, wynika niewątpliwie, że mieszkańcy tamtych okolic urządzali uczty plemienne podczas pogrzebów. Widzimy więc, że już w tych odległych epokach ludzie żyli towarzysko i że zarysowywały się już wtedy zaczątki kultu plemiennego. To samo ujawnia się jeszcze wyraźniej, gdy przechodzimy do późniejszej epoki kamiennej. Ślady człowieka neolitycznego są niezliczone, dzięki czemu możemy niemal odtworzyć sposób jego życia. Gdy powłoka lodowa (która rozciągała się od krajów polarnych do Francji środkowej, środkowych Niemiec i Rosji środkowej, pokrywając całą Kanadę i część Stanów Zjednoczonych) poczęła topnieć i cofać się, przestrzenie uwolnione od lodów pokryły się najpierw błotami i trzęsawiskami, później zaś niezliczonymi jeziorami. Wszystkie doliny zalane wodą tworzyły jeziora, nie było bowiem jeszcze tych trwałych kanałów, które powstały w epokach późniejszych i które stanowią nasze współczesne rzeki. Gdy badamy w Europie, Azji i Ameryce wybrzeża niezliczonych jezior ówczesnych – epoka owa winna nazywać się raczej epoką jezior – wszędzie znajdujemy ślady człowieka neolitycznego. Ślady te są tak liczne, że zadziwiać nas musi gęstość ówczesnego zaludnienia. "Stacje" człowieka neolitycznego położone są blisko jedna drugiej na tarasach, śladach wybrzeży dawniejszych jezior. I na każdej z tych stacji narzędzia kamienne występują tak obficie, iż nie ulega kwestii, że mieszkają tam liczne plemiona w ciągu bardzo długiego czasu. Archeologowie odnaleźli całe warsztaty narzędzi kamiennych, dowodzące znacznej liczby robotników gromadzących się przy pracy.

W okresie późniejszym, który charakteryzują naczynia gliniane, znajdujemy liczne odpadki kuchenne; najbardziej znane spośród nich są w Danii. Jak wiadomo, występują one w postaci wałów wysokich na 5 do 10 stóp, szerokich od stu do dwustu stóp i 1000 stóp długich; w niektórych miejscach nad brzegiem morza są one tak pospolite, że przez długi czas uważano je za twory naturalne. Nie zawierają jednak nic innego prócz odpadków rzeczy, którymi niegdyś posiłkował się człowiek; są one tak przepełnione wytworami rąk ludzkich, że Lubbock w ciągu dwudniowego pobytu w Milgaard wykopał nie mniej niż 191 sztuk narzędzi kamiennych i 4 kawałki garnków. Same rozmiary tych wałów odpadków kuchennych dowodzą, że setki drobnych plemion żyły tutaj razem równie pokojowo jak

mieszkańcy Ziemi Ognistej, wytwarzający w naszych czasach takie same wały odpadków kuchennych. Szwajcarskie mieszkania nawodne, będące krokiem dalszym w pochodzie cywilizacji, są jeszcze wymowniejszym dowodem życia i pracy społecznej. Jak wiadomo, nawet w epoce kamiennej wybrzeża jezior szwajcarskich obsadzone były szeregami wsi, z których każda składała się z kilku chat, zbudowanych na platformie opartej o liczne słupy wbite w dno jeziora. Nad jeziorem Lemańskim odkryto nie mniej niż 24 wsie pochodzące z epoki kamiennej; nad jeziorem Konstancja znaleziono 32 wsie, nad Neuchatel 46 itd. Każda z takich wsi jest niewątpliwie dowodem pracy wykonanej wspólnie przez całe plemię a nie przez rodzinę. Stwierdzono nawet, że życie w tych mieszkaniach nawodnych musiało płynąć szczególnie pokojowo. Również pokojowe życie spotykamy u tych ludów pierwotnych, które do dnia dzisiejszego żyją we wsiach podobnych, zbudowanych na wybrzeżach morskich.

Widzimy, więc z tych paru pobieżnych spostrzeżeń, że nasza znajomość człowieka pierwotnego ostatecznie nie jest znowu tak uboga i że raczej sprzeciwia się ona wywodom Hobbesa niż je potwierdza. Przypuszczenia te mogą być w znacznej mierze potwierdzone przez spostrzeżenia bezpośrednie, czynione na plemionach pierwotnych, które do dnia dzisiejszego znajdują się na poziomie tym samym co Europejczycy w czasach przedhistorycznych.

To, że pierwotne plemiona współczesne bynajmniej nie są zwyrodniałymi gałęziami rodzaju ludzkiego, posiadającego dawniej cywilizację wyższą, jak to twierdzili niektórzy, zostało dostatecznie udowodnione przez E. Tylora i Lubbocka. Do argumentów zwalczających teorię degeneracji dodać możemy następujące: z wyjątkiem nielicznych plemion, zgromadzonych na niedostępnych wyżynach, współcześni "dzicy" tworzą pierścień otaczający mniej lub więcej cywilizowane narody i zajmują krańce naszych kontynentów; krańce te w mniejszym lub większym stopniu zachowały charakter wczesnej epoki polodowej. Tacy są Eskimosi i ich krewniacy grenlandzcy w Ameryce arktycznej i Syberii północnej; na półkuli południowej zaś Australijczycy, Papuasi, mieszkańcy Ziemi Ognistej i częściowo Buszmeni; wewnątrz zaś obszaru cywilizowanego ludy równie pierwotne spotykamy tylko w Himalajach, na wyżynach Australazji i na płaskowzgórzu Brazylijskim. Należy przy tym pamiętać, że epoka lodowa bynajmniej nie od razu skończyła się na całej powierzchni ziemi. Do dzisiejszego dnia trwa ona w Grenlandii. Toteż w czasach kiedy wybrzeża oceanu Indyjskiego, morza Śródziemnego i zatoki Meksykańskiej cieszyły się już klimatem ciepłym i mogły stać się siedzibą wyższej cywilizacji, olbrzymie przestrzenie Europy środkowej, Syberii i Ameryki Południowej, a także Patagonii, Afryki południowej i południowej Australazji pozostawały jeszcze pod działaniem wczesnego okresu polodowego, co czyniło je niedostępnymi dla narodów strefy ciepłej i umiarkowanej. W krajach tych mieszkali ludzie podobni do współczesnych strasznych urmanów z północno-wschodniej Syberii i posiadali wszystkie znamiona wczesnego człowieka z epoki polodowej. Dopiero później, gdy wysychanie udostępniło te ziemie dla rolnictwa, zaludnili je imigranci bardziej cywilizowani; i gdy część dawnych mieszkańców została zasymilowana przez przybyszów, pozostali posunęli się dalej i zajęli kraje dotychczas nie zaludnione. Miejscowości zamieszkałe przez nich do dnia dzisiejszego posiadają lub posiadały do niedawna znamiona epoki polodowej;

ludy te posiadają narzędzia z epoki neolitycznej i pomimo wszystkich różnic rasowych i pomimo olbrzymich oddzielających ich przestrzeni, ich obyczaje i instytucje społeczne są zadziwiająco do siebie podobne. Toteż musimy patrzeć na nich jako na pozostałości ludów wczesnej epoki polodowej, zamieszkujących dzisiejszy obszar cywilizacyjny.

Gdy przystępujemy do badań ludów pierwotnych, uderza nas przede wszystkim złożoność organizacji małżeńskich, w których one żyją. Rodziny w tym znaczeniu, jakie dzisiaj przypisujemy temu terminowi, tam raczej nie znajdujemy. Nie są to jednak bynajmniej luźne zbiorowiska mężczyzn i kobiet, łączących się bezładnie pod wpływem chwilowego kaprysu. Wszyscy oni podlegają pewnej organizacji, którą starannie opisał Morgan i którą nazwał organizacją rodową lub klanową.

Wyrażając się możliwie najkrócej powiedzieć możemy, że niewątpliwie w zaraniu dziejów ludzkość przeszła okres, który możemy nazwać "małżeństwem komunalnym"; znaczy to, że całe plemię posiadało wspólnie mężów i żony bez jakiegokolwiek względu na pokrewieństwo. Niewątpliwą jednak rzeczą jest i to także, że już bardzo wcześnie pojawiają się ograniczenia tych zupełnie swobodnych stosunków. Bardzo wcześnie pojawia się zakaz małżeństwa pomiędzy synami jednej matki i jej siostrami, jej wnuczkami i ciotkami. Później występuje zakaz małżeństw pomiędzy synami i córkami tej samej matki, potem następują dalsze ograniczenia. Rozwinęło się pojęcie rodu lub klanu, obejmującego wszystkich domniemanych potomków wspólnego pnia (lub raczej tych wszystkich, którzy zgromadzeni byli w jedną grupę) i pojawił się zakaz bezwzględny małżeństwa wewnątrz klanu. Małżeństwo wciąż jeszcze było "komunalne", lecz żona lub mąż musiał być wzięty z innego klanu. Gdy potem ród zbytnio się rozmnożył i podzielił się na kilka podrodów, wówczas każdy z nich dzielił się na klasy (zwykle 4) i małżeństwo dozwolone było tylko między niektórymi ściśle określonymi klasami. Stan ten spotykamy i dziś jeszcze wśród Australijczyków posługujących się językiem kamilarojskim. Pierwsze zaczątki rodziny spotykamy w organizacji klanowej. Kobieta wzięta do niewoli podczas walki z innym klanem, która przedtem byłaby należała do całego rodu, w czasie późniejszym mogła być zatrzymana przez tego, kto ją porwał, pod warunkiem spełnienia pewnych zobowiązań wobec plemienia. Mężczyzna mógł ją zabrać do oddzielnej chaty po zapłaceniu klanowi pewnego okupu; w ten sposób powstała wewnątrz rodu oddzielna rodzina. Jest to niewątpliwie zaczątek nowego okresu cywilizacyjnego.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że ta skomplikowana organizacja rozwinęła się wśród ludzi stojących na bardzo niskim stopniu i że utrzymywała się w społeczeństwach nie znających innej władzy oprócz opinii publicznej, musimy dojść do wniosku o nadzwyczaj głębokim zakorzenieniu się instynktów społecznych w naturze ludzkiej. Człowiek dziki, zdolny żyć w tego rodzaju organizacji i dobrowolnie poddający się prawom, nieustannie sprzeciwiającym się jego pożądaniam osobistym, bynajmniej nie jest zwierzęciem pozbawionym zasad etycznych i nieznającym żadnych granic dla swych namiętności. Sprawa jednak staje się jeszcze bardziej zadziwiająca, gdy przypomnimy sobie, jak niezmiernie dawną rzeczą jest organizacja klanowa. Wiadomo jest obecnie, że pierwotni Semici, Grecy Homera, Rzymianie przedhistoryczni, Germanie Tacyty, pierwotni Celtowie i Słowianie – posiadali swój okres organizacji klanowej, ściśle odpowiadający współczesnemu okresowi Australijczy-

ków, Indian czerwonoskórych, Eskimosów i innych mieszkańców "dzikiego pierścienia". Możemy więc przypuścić, że albo rozwój praw o małżeństwie poszedł tymi samymi drogami we wszystkich rasach ludzkich albo że zaczątki praw klanowych rozwinęły się pośród wspólnych przodków Semitów, Aryjczyków, Polinezyjczyków, itd., zanim podzielili się oni na oddzielne rasy, i że prawa te utrzymały się do dnia dzisiejszego pośród ras od dawna oddzielonych od pnia wspólnego. Tak czy inaczej, przyjąć musimy wielką trwałość instytucji, trwałość, której nie mogły naruszyć ataki jednostek, podejmowane przez dziesiątki tysięcy lat istnienia ludzkiego. Sama trwałość organizacji klanowej wykazuje, jak błędne jest mniemanie, jakoby ludność pierwotna była bezładnym zbiorowiskiem jednostek, posłusznych jedynie namiętnościom własnym i posiłkujących się jedynie własną przebiegłością i siłą przeciwko wszystkim swym bliźnim. Indywidualizm nieokiełznany jest zjawiskiem współczesnym, lecz bynajmniej nie znamieniem człowieka pierwotnego.

Przechodząc teraz do dzikich współczesnych, zaczniemy od Buszmenów, stojących na tak niskim stopniu rozwoju, że nie mają żadnych mieszkań i nocują bądź w jamach wykopanych w ziemi, bądź w szałasach sporządzonych z kilku gałęzi. Jest rzeczą wiadomą, że gdy Europejczycy zaczęli się osiedlać na ich ziemiach, Buszmeni kradli bydło; wywołało to chęć wytępienia Buszmenów. Szczegóły tego tępienia zbyt są okropne, abyśmy mogli je tu opowiedzieć. W roku 1774 zabito 500 Buszmenów, w roku 1808 i 1809 – 3000, itd. Byli oni truci jak szczury; mordowani przez myśliwców ukrytych za ciałem zabitego zwierzęcia; zabijano ich wszędzie, gdzie tylko spotkano. Nasze wiadomości o życiu Buszmenów pochodzące najczęściej od tych samych ludzi, którzy ich tępiłi, są nader ograniczone. Mimo to wiemy, że w chwili przyjscia Europejczyków Buszmeni żyli małymi plemionami (lub klanami), niekiedy sfederowanymi pomiędzy sobą; wiemy także, że prowadzili oni łowy wspólnie i zgodnie dzielili się zdobyczą, że nigdy nie porzucali swoich rannych i ujawniali żywą uczuciowość w stosunku do towarzyszy. Lichtenstein opowiada wzruszającą historię o Buszmenie wyratowanym z rzeki przez towarzyszy. Zdjęli oni skóry, którymi byli okryci i okryli go nimi, jakkolwiek sami drżeli z zimna; osuszyli go, nacierali przed ogniem, mocno namaścili jego ciało gorącym tłuszczem; zabiegi te wymagające niemałego nakładu pracy stosowali dopóty, dopóki nie przywrócili go do życia. Gdy w Johanie van der Valt spotkali Buszmeni człowieka odnoszącego się do nich dobrze, wszelkimi sposobami wyrażali mu swoje przywiązanie. Burchell i Moffat opisują Buszmenów jako obdarzonych dobrym sercem, bezinteresownych, dotrzymujących obietnic i wdzięcznych – a jak wiemy, wszystkie te właściwości mogą się rozwinąć tylko w społecznym życiu plemiennym. Co się tyczy ich przywiązania do dzieci, wystarczy powiedzieć, że gdy Europejczyk chce zapewnić sobie posiadanie niewolnicy Buszmenki, porywa jej dziecko: matka na pewno sama odda się w niewolę, aby dzielić los dziecka.

Takie same zwyczaje charakteryzują Hotentotów którzy są zaledwie nieco wyżej rozwinięci niż Buszmeni. Lubbock opisuje ich "jako najbrudniejsze zwierzęta", i są oni rzeczywiście brudni. Skóra zwierzęcia zawieszona na szyi i noszona dopóty, dopóki się nie rozpadnie – oto całe ich odzienie; ich chaty – to, kilka kijków zestawionych i pokrytych matami, bez jakichkolwiek sprzętów wewnątrz. Co prawda hodują oni bydło i owce i znali, jak się wydaje, żelazo przed przybyciem Europejczyków, zajmują jeden z najniższych stop-

ni w drabinie rozwoju ludzkiego. A przecie wszyscy, którzy ich znają, wysoko chwalą ich uspołecznienie i gotowość wzajemnego sobie pomagania. Gdy damy cokolwiek Hotentotowi, natychmiast rozdziela on to pomiędzy obecnych; jak wiadomo, zwyczaj podobny bardzo zadziwił Darwina u mieszkańców Ziemi Ognistej. Hotentot nie może jeść sam i choćby był najbardziej głodny, zaprasza przechodniów do posiłku. Gdy Kolben wyraził swoje zdziwienie z tego powodu, otrzymał za całą odpowiedź: "Taki jest zwyczaj hotentocki". Nie jest to zwyczaj wyłącznie hotentocki, lecz bardzo rozpowszechniony wśród "dzikich" w ogóle. Kolben znający dobrze Hotentotów i bynajmniej nie przemilczający ich stron ujemnych, nie mógł się dość nachwalić ich moralności plemiennej.

"Ich słowo jest święte – pisał on. Zupełnie nie znają oni europejskiego zepsucia i wiarołomstwa. Żyją bardzo spokojnie i rzadko kiedy walczą z sąsiadami. Można by o nich powiedzieć, że są uosobieniem przychylności i uprzejmości... Jedną z największych przyjemności dla Hotentota jest rozdawanie podarków i świadczenie usług swoim bliskim. Uczciwość Hotentotów, ich sumienność, szybkie wymierzanie sprawiedliwości – wszystko to są cechy wyróżniające ich spośród wszystkich narodowości świata".

Tachart, Barrow i Moodie potwierdzają w zupełności te poglądy Kolbena. Zaznaczyć przy tym należy, że zdanie Kolbena o Hotentotach, jako o "najbardziej przyjacielskim i najbardziej uprzejmym narodzie na ziemi" jest zdaniem powtarzającym się nieustannie w opisach ludów dzikich. Przy pierwszym spotkaniu się z ludami pierwotnymi Europejczycy, opisują ich życie zwykle w sposób karykaturalny; gdy jednak jakiś człowiek inteligentny przemieszkał z nimi dłuższy czas, opisuje ich jako najuprzejmiejszą i najbardziej przyjacielską rasę na ziemi. Takie same wyrażenia znajdujemy w opisach Ostiaków, Samojedów, Eskimosów, Dajaków, Aleutów, Papuasów itd. Przypominam sobie również, że znajdowałem je zastosowane do Tunguzów, Czukczów, Siouxów i innych. Sama częstość tych wysokich pochwał oddawanych dzikim, mówi więcej niż całe tomy.

Autochtoni australijscy nie stoją na wyższym poziomie rozwoju niż ich bracia południowo-afrykańscy. Ich chaty są tego samego rodzaju; często są to proste szałaszy z gałęzi, zaledwie ochraniające przed wiatrem. Jedzą byle co i gotowi są zjadać ohydne zgniłe ciała, niekiedy nawet – w razie głodu – uciekają się do kanibalizmu. W czasie, gdy zostali odkryci przez Europejczyków, posiadali narzędzia tylko z kamienia lub kości – i to w postaci najpierwotniejszej. Niektóre z plemion australijskich nie posiadają nawet łódek i nie znają handlu wymiennego. A przecież, gdy poznano bliżej ich obyczaje, ujawniło się, że żyją oni w ramach wyrobionej organizacji klanowej – takiej o jakiej mówiłem poprzednio.

Obszar, zamieszkiwany przez nich, jest zwykle podzielony pomiędzy oddzielne rody lub klany; każdy jednak klan posiada wspólne tereny myśliwskie i wody dla rybołówstwa; rezultat łowów należy do całego klanu; posiłki są wspólnie spożywane. Jak wiele innych dzikich ludów, ściśle przestrzegają oni prawideł w stosunku do pory roku, kiedy mogą być zbierane pewne żywice i zioła. Co się tyczy ich etyki, nie możemy zrobić nic lepszego jak

przepisać odpowiedź daną przez Lumholtza, misjonarza w północnym Queenslandzie, na kwestionariusz Paryskiego Towarzystwa Antropologicznego:

”Znane im jest uczucie przyjaźni; jest ono silnie rozwinięte. Jednostkom słabym zwykle przychodzą z pomocą; pomagają również chorym, których nigdy nie porzucają ani nie zabijają. Plemiona te uprawiają ludożerstwo, lecz bardzo rzadko zdarza się, aby zjadali członków własnego plemienia (zdaje się, że zdarza się to tylko jako obrządek religijny); ofiarą ich ludożerstwa padają wyłącznie obcy. Rodzice bardzo kochają dzieci, bawią się z nimi i pieścą je. Dzieciobójstwo stosowane bywa tylko za zgodą ogólną. Ze starcami obchodzą się bardzo dobrze i nigdy ich nie zabijają. Nie posiadają religii ani bałwanów – znają tylko strach śmierci. Małżeństwo jest poligamiczne. Waśnie powstające wewnątrz plemienia rozstrzygane są przez pojedynki, do których strony zwaśnione stają z mieczami i tarczami z drzewa. Niewolników nie ma; nie ma również żadnej kultury; nie znają garncarstwa; brak jakiejkolwiek odzieży – jedynie kobiety noszą niekiedy mały fartuszek. Klan składa się z 200 jednostek podzielonych na 4 klasy mężczyzn i 4 klasy kobiet; małżeństwo dozwolone jest tylko pomiędzy uświęconymi przez obyczaj klasami, lecz nigdy nie wewnątrz rodu.”

Co się tyczy pokrewnych im Papuasów, posiadamy świadectwo G. L. Binka, który przebywał w Nowej Gwinei od roku 1861 do 1883. Oto treść jego odpowiedzi przesłanej Towarzystwu Antropologicznemu:

”Są oni towarzyscy i uprzejmi; śmieją się bardzo dużo. Raczej lękliwi niż odważni. Przyjaźń jest dość silna pomiędzy osobnikami z różnych plemion i oczywiście jeszcze silniejsza wewnątrz plemienia. Przyjaciel niejednokrotnie płaci długi swego przyjaciela, z tym warunkiem, że będą one zwrócone (bez procentu) jego dzieciom. Dbają oni o starców i chorych; starców nigdy nie porzucają ani nie zabijają – chyba, że jest to niewolnik chorujący przez długi czas. Jeńców wojennych niekiedy zjadają. Dzieci są bardzo kochane i pieśczone. Starcy lub słabi jeńcy wojenni są zabijani, inni zaś sprzedawani w niewolę. Nie posiadają żadnej religii ani bałwanów; nie znają żadnej władzy; najstarszy człowiek w rodzinie jest sędzią. W wypadkach wiarołomstwa małżeńskiego płaci się grzywnę, której część idzie na rzecz negorii (gmina). Ziemia jest własnością wspólną, lecz plody należą do tego, kto uprawia ziemię. Posiadają garnki i znają handel wymienny – handel ten odbywa się w ten sposób, że kupiec powierza im towary, z którymi wracają do domu, i przynoszą ze sobą to, czego on żądał; jeśli nie mogli znaleźć tego, czego domagał się Europejczyk, to zwracają mu towar. Są myśliwymi polującymi na głowy i uprawiają zwyczaj krwawej zemsty. Niekiedy – jak powiada Finsch – sprawa przedkładana jest do rozpatrzenia radzy z Namototte, który sprawę rozstrzyga nakładając grzywny.”

Gdy obchodzić się z Papuasami dobrze, są oni bardzo uprzejmi. Kiklukho-Maclay wyładował na wschodnim wybrzeżu Nowej Gwinei z jednym tylko towarzyszem; przez dwa lata przebywał pomiędzy plemionami, o których mówiono, że są ludożercze, i z żalem je opuszczał; później wrócił do nich jeszcze na rok i nigdy nie miał z nimi żadnego zatargu. Pamiętać jednak należy, że zasadą jego było nie mówić nigdy, w żadnych okolicznościach, nieprawdy i nie robić żadnych obietnic, których nie mógłby dotrzymać. Te biedne istoty, nieumiejące nawet krzesać ognia i starannie podtrzymujące go w swych chatkach, żeby mu nie dać wygasnąć - żyją w komunizmie pierwotnym bez jakiejkolwiek władzy. W osadach Papuasów prawie że nie ma poważniejszych kłótni. Pracują wspólnie i tylko tyle, aby zdobyć pożywienie dzienne; dzieci wychowują wspólnie; wieczorami stroją się jak mogą najpiękniej - i tańczą. Jak wszyscy dzicy niezmiernie lubią tańczyć. Każda osada ma barłai lub balai - "długi dom" lub "duży dom" - przeznaczony dla mężczyzn nieżonatych, na zebrania towarzyskie i dla omawiania spraw wspólnych; taki dom wspólny spotykamy również u wyspiarzy Oceanu Spokojnego, u Eskimosów, Czerwonoskórych itd. Całe grupy osad znajdują się nieraz w stosunkach przyjaznych i odwiedzają się nawzajem gremialnie.

Niestety, właśnie nie należą do rzadkości - nie są one wynikiem "przeludnienia" lub "ostrego współzawodnictwa" - tych wynalazków wieku handlowego - lecz głównie wynikiem przesądów. Gdy tylko kto zachoruje, jego krewni i przyjaciele zbierają się i poważnie zastanawiają się nad pytaniem, kto może być przyczyną choroby. Wyszukuje się wszystkich możliwych nieprzyjaciół, każdy wyznaje swoje drobne kłótnie - i wreszcie przyczyna rzeczywista zostaje znaleziona. Chorobę sprowadził nieprzyjaciel ze wsi sąsiedniej - i najazd na tę wieś zostaje zdecydowany. Na skutek tego zdarzają się dość często walki pomiędzy ludożerczymi góralami, uważanymi za czarowników i prawdziwych wrogów - jakkolwiek przy bliższym poznaniu okazują się oni takimi samymi ludźmi tego samego pokroju co ich sąsiedzi z wybrzeża.

Niejedną stronicę można zapełnić opisem wzruszającej harmonii, jaką spotykamy wśród wyspiarzy Oceanu Spokojnego. Należą oni jednak do wyższego stadium cywilizacji, toteż po przykłady sięgniemy teraz na daleką północ. Zanim jednak porzucimy półkulę południową, zaznaczyć musimy, że nawet mieszkańcy Ziemi Ognistej, posiadający tak bardzo złą opinię znacznie zyskują przy bliższym poznaniu. Nieliczni misjonarze francuscy, którzy przebywali pośród nich, "nie mogą przytoczyć przykładu ani jednej krzywdy, jaką by im wyrządzono". Wewnątrz klanów, składających się ze 120 do 150 osobników, stosują oni ten sam komunizm pierwotny, jaki widzieliśmy u Papuasów: wszystkim dzielą się pomiędzy sobą i ze starcami obchodzą się bardzo dobrze. Wśród plemion tych panuje pokój.

U Eskimosów i u ich najbliższych krewniaków: Tlinketów, Kolosów i Aleutów, znajdujemy przykłady tego, czym był człowiek w epoce lodowej. Ich narzędzia bardzo niewiele różnią się od narzędzi człowieka paleolitycznego; niektóre plemiona do dnia dzisiejszego nie znają właściwego rybołówstwa i polują na ryby przy pomocy pewnego rodzaju harpuna lub dzidy. Umieją obchodzić się z żelazem, które otrzymują od Europejczyków lub znajdują na rozbitych okrętach. Ich organizacja społeczna jest bardzo pierwotna, jakkolwiek wyszli już ze stadium "małżeństwa komunalnego". Żyją rodzinami, lecz więzy rodzinne są często zrywane: mężowie i żony niejednokrotnie bywają zmieniani. Mimo to rodziny połą-

czone są w klany – i nie mogłoby być inaczej. Jakże zdołaliby oni wytrzymać ciężką walkę o byt, gdyby nie łączyli ściśle swoich sił? Czynią też tak – i widzimy, że więzy plemienne są tym silniejsze, im cięższa jest walka o byt, szczególnie w północno-wschodniej Grenlandii. ”Długi dom” jest ich mieszkaniem zwykłym; mieszkają tam liczne rodziny, poprzedzielane jedna od drugiej zasłonami z podartych futer. Środkiem takiego domu ciągnie się korytarz. Niekiedy dom ma kształt krzyża, a w takim razie w środkowym punkcie utrzymywany jest wspólny ogień. Ekspedycja niemiecka, która spędziła całą zimę w bliskości jednego z takich ”długich domów” zapewnia, że ”żadna waśń nie przerwała spokoju, żadna kłótnia nie powstała w tym ciasnym mieszkaniu” – i to przez całą długą zimę północną.

”Wymyślenia lub po prostu słowa niegrzeczne uważane są za coś bardzo naganego i jeśli zdarzają się, to tylko w formie legalnej, jako pieśń nith (pieśń urągliwa), śpiewana chórem przez kobiety. Wspólne mieszkanie i ścisła zależność wzajemna wystarczyły do utrzymania przez długi szereg wieków głębokiego poszanowania dla interesów wspólnoty, poszanowania tak znamiennego dla życia Eskimosów. Nawet w większych gminach eskimoskich ”opinia publiczna była jedynym trybunałem, kara zaś polegała na zawstydzaniu przestępcy wobec całego zgromadzenia.”

Życie Eskimosów oparte jest na komunizmie. Cała zdobycz z polowania lub rybołówstwa należy do klanu. Ale w poszczególnych plemionach, głównie na zachodzie, pod wpływem Duńczyków, własność prywatna powoli się przyjmuje. Posiadają oni jednak szczególne sposoby unikania niedogodności powstających na skutek nagromadzenia bogactwa w rękach jednostki, co musiałoby doprowadzić do zniszczenia jedności plemiennej. Gdy jakiś człowiek wzbogaci się, zwołuje wszystkich członków swego klanu na wielką ucztę i, nakarmiwszy ich obficie, dzieli pomiędzy obecnych cały swój majątek. Nad brzegami Yukonu widział Dali rodzinę aleucką rozdzielającą w ten sposób 10 strzelb, dziesięć całkowitych ubrań futrzanych, dwieście sznurków paciorków, wiele kołder, dziesięć skór wilczych, dwieście bobrowych i pięćset gronostajowych. Po tym podziale gospodarze zdjęli swe odświętne szaty i również je oddali, sami zaś ubrali się w stare zniszczone futra i wygłosili do obecnych przemowę, której treścią było stwierdzenie, że jakkolwiek są teraz biedniejsi niż byli przed tym, ale zjednali sobie przyjaciół. Takie podziały majątku są obyczajem zwykłym u Eskimosów, a zdarzają się w określonych porach roku, po wystawieniu na widok publiczny tego wszystkiego, co w ciągu całego roku udało się zdobyć. Wydaje mi się, że jest to zwyczaj ogromnie stary i uważać go możemy za współczesny z pierwszym pojawieniem się bogactwa osobistego; według wszelkiego prawdopodobieństwa był to sposób przywracania równości wewnątrz klanu, gdy ją naruszyło wzbogacenie się nielicznych jego członków. Periodyczny podział ziemi i periodyczne umarzanie wszystkich długów znane jest w dziejach ras najrozmaitszych (spotykamy je u Semitów, Aryjczyków i innych); jest to zapewne przeżytek tego bardzo dawnego zwyczaju. Tego samego pochodzenia jest zapewne zwyczaj grzebania wraz ze zmarłym lub niszczenia na jego grobie tego wszystkiego, co należało doń osobiście; zwyczaj ten spotykamy u wszystkich ludów pierwotnych. I rzeczywiście – podczas gdy jest

niszczone na grobie wszystko to, co należało do zmarłego osobiście, nie niszczy się nic z własności plemiennej – jak np. łodzie lub wspólne przybory do rybołówstwa. Niszczenie obejmuje tu wyłącznie własność osobistą. W epokach późniejszych zwyczaj ten staje się ceremonią religijną: otrzymuje podkład mistyczny i jest narzucany przez religię, gdy opinia publiczna nie jest dość silna, aby go wszystkim narzucić. Wreszcie zamiast tego zwyczaj zjawia się zwyczaj bądź spalania tylko papierowych modeli własności zmarłego (jak to jest praktykowane w Chinach), bądź też zanoszenia do grobu różnych przedmiotów, które po pogrzebie są odnoszone do domu. W tej ostatniej formie zwyczaj ów zachował się i w Europie w postaci niesienia podczas pogrzebu mieczy, orderów i innych dystynkcji.

W literaturze niejednokrotnie podkreślano wysoki poziom etyki klanowej Eskimosów. Mimo to przytoczę tu opowiadanie o obyczajach Aleutów, blisko spokrewnionych z Eskimosami. Opowiadanie to powstało po dziesięcioletnim pobycie między Aleutami, autorem zaś jego jest misjonarz rosyjski Wenjaminow.

”Wytrzymałość – pisał on – jest rzeczywiście ich znamieniem szczególnymi, doprowadzili ją do stopnia bardzo wysokiego. Codziennie rano chodzą kąpać się do morza pokrytego lodem, stoją potem nadzy na brzegu, wdychając mroźne powietrze; wytrzymali są również bardzo na długotrwałą i ciężką pracę przy niedostatecznym pożywieniu. W razie braku pożywienia Aleuta myśli przede wszystkim o dzieciach, oddaje im wszystko, co posiada, a sam głoduje. Do kradzieży nie są bynajmniej skłonni; zwrócili na to uwagę wszyscy emigranci rosyjscy. Nie można wprawdzie powiedzieć, aby nigdy nie kradli; każdy Aleuta przyzna się, że coś kiedyś ściągnął, zawsze są to jednak drobiazgi i wszystko posiada charakter dziecinny. Przywiązanie rodziców do dzieci jest bardzo wzruszające, jakkolwiek nigdy nie wyraża się w pieśczołach i czułych słowach. Aleuta nie łatwo daje obietnice, lecz skoro raz obieca coś, dotrzyma na pewno.”

Pewien Aleuta podarował raz Wenjaminowi suszone ryby; ale w pośpiechu odjazdu zapomniano o rybach i Aleuta zabrał je z powrotem do domu. Aż do stycznia nie było okazji wysłania tych ryb Wenjaminowi; tymczasem w listopadzie i grudniu Aleuci cierpieli na brak żywności. Mimo to nie dotknęli podarowanych ryb i w styczniu wysłali je właścicielowi.

”Ich kodeks moralny jest surowy i wielostronny. Tak np. następujące rzeczy uważa się za naganne: bać się śmierci nieuniknionej; prosić wroga o darowanie życia; zejść z tego świata nie zgładziwszy ani jednego wroga; pozwolić się złapać na gorącym uczynku kradzieży; wypaść z łódki w porcie; bać się wyjazdu na pełne morze podczas wiatru; osłabnąć przed innymi towarzyszami, gdy zabraknie pożywienia podczas długiej podróży; ujawnić chciwość podczas podziału zdobyczy myśliwskiej, przy czym dla zawstydzenia chciwca wszyscy oddają mu swoje części. Za naganne uważa się również: wypaplanie przed żoną tajemnicy publicznej; nie zaofiarowanie towarzyszowi polowania najlepszej

części zdobyczy; chwalenie się swymi czynami, szczególnie jeśli są one zmysłowe; robienie zarzutów tonem pogardliwym; proszenie o jałmużnę; pieszczenie żony wobec innych i tańczenie z nią; targowanie się osobiste – sprzedaż zawsze winna być dokonywana za pośrednictwem osoby trzeciej, która również określa cenę. Dla kobiety uważa się za naganne: nie umieć szyć i w ogóle niezręcznie wykonywać wszelkie prace kobiece; nie umieć tańczyć; pieścić męża i dzieci lub rozmawiać z mężem wobec obcych.”

Taka jest etyka aleucka, której dalszą ilustracją mogłyby służyć podania i legendy. Dodam do tego, że wówczas właśnie gdy pisał Wenjaminow (w roku 1840), zdarzyło się wśród Aleutów jedno jedyne morderstwo w ciągu całego stulecia, wśród ludności liczącej 60.000 mieszkańców. Nie będzie to nas dziwiło, jeśli zwrócimy uwagę na to, że kłótnie, wymyślania a nawet użycie ostrych słów są zupełnie nieznanymi pośród Aleutów. Nawet ich dzieci nigdy się nie biją pomiędzy sobą i nigdy sobie nie wymyślają. Najgorsza obelga, do której się posuwają, to powiedzenie: ”twoja matka nie umie szyć” lub ”twój ojciec jest ślepy na jedno oko”.

A jednak niejedynym zwyczajem ludów dzikich wprowadza w zakłopotanie Europejczyków. Wysoki poziom solidarności i uczuć przychylności wzajemnej stwierdzony jest pośród dzikich; nie mniej jednak jest stwierdzone, że te same dzikie ludy uprawiają dzieciobójstwo, w niektórych wypadkach porzucają swych starców i ślepo poddają się prawu zemsty krwawej. Musimy więc jakoś wyjaśnić sobie współistnienie takich faktów, które na pierwszy rzut oka są dla Europejczyka sprzeczne z sobą. Wspomniałem o ojcu Aleucie, który głodził się przez szereg dni i tygodni, oddając całe pożywienie dziecku; wiemy, że matka Buszmenka gotowa jest zostać niewolnicą z miłości ku dziecku; i mógłbym całe stronicę wypełnić przykładami rzeczywistych stosunków pomiędzy dzikimi rodzicami i ich dziećmi. Podróżnicy nieustannie o tym opowiadają. Czytamy o głębokiej miłości macierzyńskiej; to znowu widzimy ojca biegnącego przez las i niosącego na rękach dziecko, które ugryzł wąż; to znowu jakiś misjonarz opowiada nam o rozpaczach rodziców z powodu straty tego samego dziecka, które mu się udało przed kilku laty, zaraz po urodzeniu, uratować od zamordowania; gdzie indziej znowu czytamy, że ”dzikie” matki karmią zwykle swe dzieci aż do lat czterech i że na Nowych Hebrydach zdarza się, że matki lub ciotki odbierają sobie życie z powodu śmierci dziecka, aby opiekować się nim na tamtym świecie. Przykładów takich można by przytoczyć bardzo dużo.

A jednak liczni spośród tych kochających rodziców uprawiają dzieciobójstwo. Zwyczaj ten (bez względu na formy, jakie przybrał w latach późniejszych) powstał zapewne pod ostrym naciskiem konieczności gospodarczych; był to jedyny sposób utrzymania przy życiu dzieci już odchowanych. Dzicy w ogóle nie rozmnażają się bynajmniej nieogłędnie. Przeciwnie, używają sposobów najrozmaitszych w celu zmniejszenia liczby urodzeń i stosują cały szereg ograniczeń, które dla Europejczyków wydałyby się czymś dziwnym. Mimo to nie są w stanie wyżywić wszystkich dzieci urodzonych. Zauważono jednak, że skoro tylko rozporządzają oni większymi zasobami żywności, natychmiast odstępują od zwyczaju dzieciobójstwa. W ogóle rodzice poddają się temu odrażającemu obowiązki

bardzo niechętnie i uciekają się do najrozmaitszych wybiegów, byle tylko uratować dzieci. Jak to zauważył mój przyjaciel, Elie Reclus, wynaleźli w tym celu szczęśliwe i nieszczęśliwe dni narodzin: dzieci urodzone w dni szczęśliwe nie mogą być zabijane; rodzice usiłują odsunąć wyrok choćby o kilka godzin, aby potem powiedzieć, że skoro dziecko już przeżyło tyle czasu, to ma prawo pozostać przy życiu. Gdy słyszą krzyki dzieci, dochodzące z lasu, utrzymują, że krzyk taki przynosi nieszczęście całemu plemieniu. Chociaż nie posiadają europejskich domów dla podrzutków, przy których pomocy można by się było wyzbywać dzieci, każdy jednak cofa się przed koniecznością wykonania okrutnego wyroku. Wolą też porzucić dziecię w lesie niż je zamordować. Dzieciobójstwo jest podtrzymywane raczej przez ciemnotę, a nie przez okrucieństwo. Toteż dla usunięcia go nie potrzeba moralistów – i misjonarze lepiej by zrobili, gdyby poszli za przykładem Wenjaminowa, który co rok aż do późnej starości przepływał na nędznej łódce morze Ochockie lub podróżował saniami, ciągniętymi przez psy, przez kraj Czukczów, obdzielając ich chlebem i przyrzadami do rybołówstwa. Tak czyniąc, rzeczywiście wypełnił zwyczaj dzieciobójstwa.

To samo dotyczy ojcobójstwa, tak efektownie opisywanego przez powierzchniowych badaczy. Przekonaliśmy się, że zwyczaj porzucania starców bynajmniej nie jest tak rozpowszechniony, jak to się wydaje niektórym pisarzom. O rozpowszechnieniu tego zwyczaju doszły do nas wiadomości przesadzone; spotykamy go jednak niemal wśród wszystkich dzikich. I ma on to samo pochodzenie, co dzieciobójstwo. Gdy dziki starzec czuje, że jest już ciężarem dla swego plemienia, gdy co rano jego porcja żywności musi być odejmowana od ust dzieciom, które nie są tak stoicko usposobione jak ojcowie i krzyczą, gdy są głodne; gdy codziennie musi być przenoszony przez kamieniste wybrzeże lub przez las dziewiczy na rękach ludzi młodszych (bo przecie nie ma tam ani wózków dla paralityków ani ludzi do ich wożenia) – wówczas zaczyna on powtarzać to samo, co chłop rosyjski mówi do dnia dzisiejszego, "czużoj wiek zajedaju, pora na pokoj". I starzec usuwa się. Czyni to samo, co czyni żołnierz w podobnym przypadku. Gdy uratowanie się oddziału zależy od szybkiego posuwania się naprzód, gdy żołnierz iść nie może a wie, że pozostanie w tyle równa się śmierci, prosi najbliższego przyjaciela o oddanie mu ostatniej przysługi. I przyjaciel drżącymi rękami zwraca broń w stronę przyjaciela. Dzicy czynią to samo. Starzec sam domaga się śmierci; sam domaga się, aby pozwolono mu spełnić ten ostatni obowiązek względem plemienia, i otrzymuje przyzwolenie; sam kopie sobie grób i zaprasza krewniaków na własną stypę. Jego ojciec czynił to samo, teraz przyszła na niego kolej; i serdecznie rozstaje się z krewniakami. Dziki tak dalece uważa śmierć za jeden ze swych obowiązków względem wspólnoty, że odmawia, gdy się chce go wyratować (jak to opowiada Moffat). Gdy pewna niewiasta, którą miano zabić na grobie męża, została wyratowana przez misjonarzy i wywieziona na wyspę, uciekła w nocy, przepłynęła szeroką zatokę, połączyła się ze swym plemieniem, aby umrzeć na grobie. Stało się to dla niej zagadnieniem religii. W ogóle jednak dzicy wzdragają się przed zabiciem kogoś inaczej niż w walce i nikt z nich nie chce wziąć na siebie krwi ludzkiej; w tym celu wymyślono cały szereg wybiegów, zwykle tak niewłaściwie pojmowanych przez Europejczyków. Najczęściej porzucają starców w lesie pozostawiając przy nich większą niż zwykłą porcję żywności. Europejskie wyprawy polar-

ne czyniły to samo, gdy nie mogły już nieść dalej swych chorych towarzyszy. "Żyj jeszcze dni parę, a być może znajdzie się jakiś niespodziewany ratunek!"

Uczeni zachodnioeuropejscy, gdy spotykają się z tymi faktami, zupełnie nie wiedząc co począć. Nie umieją pogodzić ich z wysokim rozwojem etyki plemiennej i wolą podać w wątpliwość ścisłość zupełnie wiarygodnych spostrzeżeń, zamiast usiłować wyjaśnić istnienie równoległe dwóch szeregów faktów: wysokiej moralności plemiennej z jednej strony i porzucania starców i dzieciobójstwa z drugiej. Gdyby jednak ten sam Europejczyk opowiedział dzikiemu, że ludzie bardzo dobrze wychowani i uprzejmi, bardzo kochający swoje dzieci i tak wrażliwi, że się głęboko wzruszają na widok nieszczęścia odgrywanego na scenie, żyją w Europie o kilkanaście kroków od nas, w których umierają dzieci po prostu z braku pożywienia – dziki również nie mógłby ich zrozumieć. Przypominam sobie, jak daremne były moje wysiłki, aby wytłumaczyć moim przyjaciółom Tunguzom podstawy naszej cywilizacji indywidualistycznej; nic zrozumieć nie mogli i wpadali na pomysły najbardziej fantastyczne. Sprawa polega na tym, że dziki, przyzwyczajony do solidarności plemiennej zarówno w złym jak w dobrym, zupełnie nie może zrozumieć "etycznego" Europejczyka, któremu zupełnie obca jest ta solidarność; tak samo Europejczyk nie może zrozumieć dzikiego. Gdyby jednak uczonego europejskiego spędził jakiś czas pośród plemienia przymierającego głodem i często nie posiadającego zapasu żywności, która by wystarczała dla jednego człowieka na przeciąg tygodnia, wówczas zapewne zrozumiałby ich pobudki. Podobnie człowiek dziki, gdyby zamieszkał pomiędzy nami i otrzymał nasze wychowanie, doszedłby zapewne do pojmowania naszej europejskiej obojętności względem sąsiadów i naszych towarzystw dobroczynności. "Domy z kamienia tworzą serca z kamienia" – mówią, chłopcy rosyjscy. Ale aby to zrozumieć, trzeba najpierw mieszkać w domu kamiennym.

Niemal to samo powiedzieć możemy o ludożerstwie. Biorąc pod uwagę wszystko, co w tej sprawie było powiedziane przez Paryskie Towarzystwo Antropologiczne, a także liczne spostrzeżenia, nagromadzone w literaturze dotyczącej ludów dzikich, uznać musimy, że zwyczaj ten został wprowadzony przez surową konieczność; później zaś pod wpływem przesądów i religii rozwinął się do tych okropnych rozmiarów, jakie widzimy na wyspach Fidżi i w Meksyku. Jest rzeczą stwierdzoną, że dzicy do dnia dzisiejszego bywają niekiedy zmuszeni zjadać ciała w stanie rozkładu. W niektórych wypadkach, w czasie absolutnego głodu, są oni doprowadzeni do odgrzebywania ciał ludzkich nawet podczas epidemii. Są to fakty zupełnie niewątpliwe. Jeśli jednak przeniesiemy się w warunki, w jakich żył człowiek w czasie epoki lodowej, w klimacie wilgotnym i zimnym, mając do rozporządzenia tylko bardzo niewiele pożywienia roślinnego; jeśli weźmiemy pod uwagę te straszliwe spustoszenia, jakie pomiędzy źle odżywionymi ludźmi dzikimi czyni szkorbut, i jeśli przypomnimy sobie, że mięso i świeża krew – to jedyne znane przez nich środki odżywiania się, przyjąć musimy, że człowiek, który początkowo był zwierzęciem roślinożernym, stał się podczas epoki lodowej mięsożercą. Było wówczas dużo jeleni, lecz w krajach arktycznych jelenie często emigrują i zdarza się, że w ciągu całych lat nie ma ich zupełnie. W takich czasach traci człowiek ostatni sposób utrzymania się przy życiu. Wówczas też ucieka się do ludożerstwa. Nie zapominajmy, że tego samego środka chwytały się również Europejczycy, gdy znajdowali się w podobnych warunkach. Dzicy arktyczni i w czasach obecnych

zjadają niekiedy ciała swych własnych zmarłych; niegdyś musieli zjadać ciała tych, którzy i tak mieli umrzeć. Starcy umierali w tym przekonaniu, że śmiercią swoją oddają ostatnią przysługę plemieniu. Oto dlaczego niektóre plemiona przypisują ludożerstwu pochodzenie boskie, niekiedy zaś mówią, że zostało to im nakazane przez posłannika, który zstąpił z nieba. W ostatnich czasach ludożerstwo przestało być koniecznością i jest tylko przeżytkiem i przesądem. Wrogów zwykle zjada się w celu odziedziczenia ich odwagi; w czasach późniejszych w tym samym celu zjadano oko lub serce wroga; jednocześnie zaś u innych plemion, posiadających licznych kapłanów i rozwiniętą mitologię, spotykamy złych bogów spragnionych krwi ludzkiej, i kapłani wynaleźli ofiary ludzkie w celu uspokojenia bogów. W tym religijnym stadium istnienia, kanibalizm osiągnął znamiona najbardziej odrażające. Znane są przykłady meksykańskie; podobnie na wyspach Fidzi, gdzie król może zjeść każdego ze swych poddanych, znajdujemy potężną kastę kapłańską, skomplikowaną teologię i samowładztwo w pełnym rozwoju. Zrodzony przez konieczność, kanibalizm stał się później instytucją religijną i w tej formie przetrwał długo u tych plemion, które niegdyś niewątpliwie praktykowały go w formie pierwotnej.

Te same uwagi dotyczą dzieciobójstwa i porzucenia starców. W niektórych wypadkach zwyczaje te utrzymały się jako przeżytek czasów dawnych, jako tradycyjny zwyczaj religijny.

Na zakończenie należy jeszcze powiedzieć parę słów o zwyczaju dającym również powód do bardzo błędnych wniosków. Mianowicie o zemście krwawej. Wszyscy dzicy są przekonani, że przelana krew musi być krwią pomszczona. Jeśli kogoś zabito, morderca musi umrzeć; jeśli był ktoś ranny, krew napastnika musi być przelana. Prawo to nie zna wyjątków, nawet zwierzęta mu podlegają; zgodnie z tym musi być przelana krew myśliwego, gdy wraca on do wsi po przelaniu krwi zwierzęcej. W taki sposób dzicy pojmują sprawiedliwość, w taki sani sposób jest ona pojmowana również w Europie Zachodniej w stosunku do morderców. Jeśli zarówno krzywdziciel jak pokrzywdzony należą do tego samego plemienia, plemię załatwia całą sprawę. Jeśli jednak krzywdziciel należy do innego plemienia i tamto plemię dla takich czy innych powodów odmawia zadośćuczynienia, wówczas plemię pokrzywdzone samo decyduje i podejmuje się zemsty. Człowiek pierwotny do tego stopnia zapatruje się na czyny każdej jednostki jako na sprawę plemienną, zależną od aprobaty plemiennej, że bardzo łatwo przenosi odpowiedzialność za czyny jednostki na całe plemię. Zgodnie z tym za czyny członka plemienia można mścić się na całym plemieniu lub na każdym krewnym winowajcy. Oczywiście zdarza się nieraz, że odwet posunie się dalej niż obraza. Usiłując zadać ranę, można zabić winowajcę lub zranić go mocniej, niż się miało zamiar; to zaś daje powód do nowych waśni. Toteż prawodawcy pierwotni usilnie zabiegali, aby zemsta była ściśle ograniczona – oko za oko, ząb za ząb, krew za krew.

Zauważyć jednak należy, że u większości ludów pierwotnych tego rodzaju waśnie i targi są znacznie rzadsze niż moglibyśmy się spodziewać; jakkolwiek tu i ówdzie dochodzą do rozmiarów nadzwyczajnych. Szczególnie zauważyć to można pomiędzy góralami, odepchniętymi w góry przez obcych najeźdźców; dotyczy to np. górali kaukaskich, szczególnie zaś górali z Borneo – Dajaków. Mówią, że między Dajakami waśnie i zemsty zaszły tak daleko, że nikt nie może ożenić się ani być uznanym za dorosłego, dopóki nie zdo-

będzie głowy nieprzyjaciela. Wydaje się jednak, że jest w tym znaczna przesada. Tak czy inaczej, uprawiane przez Dajaków "polowanie na głowy" nabierze znaczenia odmiennego, gdy uprzytomnimy sobie, że czyniąc to człowiek nie działa pod wpływem namiętności osobistej. Czyny jego są wynikiem pobudek, które uważa on za moralny obowiązek względem swego plemienia, zupełnie jak sędzia europejski – poddając się tej samej błędnej zasadzie, że krew musi być przelana za krew – skazuje na śmierć mordercę. Zarówno Dajak, jak i sędzia europejski mieliby wyrzuty sumienia, gdyby kierując się współczuciem oszczędzili mordercę. Toteż Dajakowie poza morderstwami, które spełniają zgodnie z własnym pojęciem sprawiedliwości, opisywani są jako ludzie bardzo sympatyczni. Tak np. Carl Bock, który dał tak straszny opis polowania na głowy, pisze:

"Jeśli chodzi o moralność, muszę powiedzieć, że Dajakowie zajmują stopień wysoki na szczeblach cywilizacji... Grabieże i złodziejstwa zupełnie są pośród nich nieznanne; są oni również bardzo prawdomówni... i jeśli nie zawsze udawało mi się wydobyć z nich "całą prawdę", nie mówili mi nic innego prócz prawdy. Chciałbym to samo móc powiedzieć o Malajczykach."

Świadczenie Bocka jest najzupełniej potwierdzone przez Idę Pfeiffer, "Przyznaję – pisze ona – że chętnie pozostawałabym dłużej pośród nich. Na ogół są uczciwi, czynni i bynajmniej nienarzucający się... nie znam narodu, który mogłabym pod tym względem postawić na równi z nimi." Tego samego zdania był Stoltze. Dajakowie posiadają zwykle jedną żonę i obchodzą się z nią dobrze. Są oni bardzo towarzyscy i co rano licznymi gromadami udają się na połów ryb, na polowanie lub do pracy na roli. Ich wsie składają się z wielkich chat, w których mieszkają po kilkanaście rodzin; w chacie takiej znajduje się niekiedy po 100 osób zgodnie żyjących ze sobą. Są pełni szacunku dla swych żon i kochają dzieci; gdy które zachoruje kobiety kolejno je pielęgnują. Z reguły są oni bardzo umiarkowani w jedzeniu i picciu. Taki jest Dajak w swym prawdziwym życiu codziennym.

Nie chcę nużyć czytelnika przytaczaniem dalszych przykładów z życia ludzi dzikich. Dokąd bądź się udamy, wszędzie spotkamy te same zwyczaje społeczne, panowanie tego samego ducha solidarności. A jeśli zapijemy się w mroki wieków ubiegłych, znajdziemy to samo życie plemienne, te same zrzeczenia pomocy wzajemnej. Toteż zupełną słuszość miał Darwin, gdy w społecznych właściwościach człowieka dopatrywał się głównego czynnika rozwoju; natomiast w zupełnym błędzie są popularyzatorzy Darwina wygłaszający zdania przeciwne.

"Słabość fizyczna i niezdolność do szybkiego biegania a także brak broni naturalnej – pisze Darwin – są u człowieka więcej niż zrównoważone po pierwsze przez jego zdolności umysłowe (które, jak zaznaczył on gdzie indziej, rozwinęły się głównie, lub bodaj wyłącznie w życiu społecznym), i po wtóre przez ludzkie właściwości społeczne zapewniające człowiekowi pomoc towarzyszy."

W wieku XVIII idealizowano człowieka "dzikiego" i jego "życie w stanie przyrody". W ostatnich czasach jednak uczeni przerzucili się do krańcowości przeciwnej; szczególnie od

czasu, gdy niektórzy spośród nich zabiegając usilnie o udowodnienie zwierzęcego pochodzenia człowieka, lecz nie znając społecznych stron życia zwierzęcego, poczęli obciążać dzikiego wszystkimi możliwymi znamionami "bestialstwa". Ta przesada jest niewątpliwie jeszcze bardziej nienaukowa niż idealizowanie Rousseau. Dzikie nie jest ani ideałem cnoty, ani ideałem "dzikości". Wyrobił on w sobie natomiast i rozwinął jedną właściwość szczególną – mianowicie utożsamianie życia indywidualnego z życiem plemienia, bez tej zaś właściwości ludzkość nie osiągnęłaby nigdy swego dzisiejszego poziomu.

Jak już mówiliśmy, ludzie pierwotni tak dalece utożsamiają swoje życie z życiem plemienia, że każdy ich czyn, choćby najdrobniejszy, uważany jest za sprawę plemienną. Całe ich postępowanie jest regulowane przez szereg niepisanych praw, będących owocem długiego doświadczenia wspólnego; prawa te określają, co jest złe a co dobre, to znaczy, co jest korzystne a co szkodliwe dla plemienia. Wprowadzanie rozumowania, na których opierają się te prawa, bywają nierzadko krańcowo absurdalne. Wiele z tych wywodów opiera się na przesądach i w ogóle cokolwiek dziki czyni, zawsze widzi tylko bezpośrednie następstwa swojego czynu: niezdolny jest do przewidywania wyników pośrednich i dalszych. Pod tym względem potęguje on jeszcze ten brak, który Bentham zarzuca prawodawcom cywilizowanym. Ale bez względu na to, czy przepisy prawa obyczajowego są głupie czy nie, dziki się im poddaje, choćby były nawet najbardziej niedogodne. Prawom tym jest on bodaj bardziej posłuszny niż człowiek cywilizowany prawom pisanim. Prawo obyczajowe jest jego religią, jego sposobem życia. Idea klanu jest nieustannie obecna w jego umyśle i poświęcanie się na rzecz klanu jest faktem codziennym. Gdy dziki przekroczy, którekolwiek z praw plemiennych, staje się urąganiem kobiet. Jeśli popełnione przestępstwo jest ciężkie, wówczas dniem i nocą mężczyzna obawia się, że ściągnął nieszczęście na swe plemię. Jeśli przypadkowo zranił kogo bądź ze swego plemienia, to znaczy, jeśli popełnił najgorsze z przestępstw, jest unieszczęśliwiony: ucieka w lasy i gotów jest popełnić samobójstwo, chyba że plemię mu przebaczy skazując go na cierpienia fizyczne lub przelewając nieco jego krwi. Wewnątrz plemienia wszystko idzie do wspólnego podziału; każdy kęs jadła dzielony jest pomiędzy wszystkich obecnych; jeśli dziki jest sam w lesie, nie zacznie jeść, dopóki trzykrotnie nie zaprosi głośno każdego, kto mógłby znajdować się w pobliżu i wołanie jego usłyszeć.

Słowem – wewnątrz plemienia niepodzielnie panuje zasada "każdy dla wszystkich", dopóki rodzina oddzielna nie złamała jeszcze jedności plemienną. Zasada ta jednak bynajmniej nie obejmuje klanów lub plemion sąsiednich, nawet wówczas, gdy "nasze" plemię jest z nimi połączone w celu obrony wzajemnej. Każde plemię lub klan stanowi jednostkę oddzielną. Zupełnie tak samo jak u ssaków i ptaków, ziemia jest podzielona pomiędzy poszczególne plemiona i – z wyjątkiem czasu wojny – granice są przestrzegane. Wchodząc na terytorium sąsiadów należy wykazać, że się nie ma złych zamiarów. Im głośniejsze oznajmia się swoje przybycie, tym więcej zdobywa się zaufania; wchodząc zaś do domu należy złożyć topór przy wejściu. Żadne plemię nie jest obowiązane do dzielenia się pożywieniem z innymi plemionami: może to uczynić lub nie, jak mu się podoba. Na skutek tego życie człowieka dzikiego jest podzielone jak gdyby na dwa szeregi czynów i występuje pod dwiema różnymi postaciami etycznymi: pod postacią stosunków wewnątrz-plemiennych i stosunków zewnętrznych. Jak nasze prawo międzynarodowe, prawo międzyplemienne znacznie

się różni od wewnętrznego prawa obyczajowego. Toteż gdy dojdzie do wojny – największe okrucieństwa mogą być uważane za czyny godne pochwały i stawiane za wzór całemu ple-
mieniu. Ta podwójna moralność ciągnie się przez cały rozwój ludzkości i utrzymuje się aż
do dnia dzisiejszego. My, Europejczycy, osiągnęliśmy wprawdzie pewien postępek w wyko-
rzeniu tej podwójnej moralności, lecz postępek ten nie jest znaczny. Musimy przyznać, że
gdy rozszerzyliśmy nieco nasze pojęcie solidarności poza granice narodu, przynajmniej w
teorii, jednocześnie rozluźniliśmy tę solidarność wewnątrz własnego narodu, a nawet we-
wnątrz własnej rodziny.

Zjawienie się wewnątrz klanu rodziny oddzielnej z konieczności burzy dawną jedność
plemienną. Rodzina oddzielna oznacza niemal to samo, co własność oddzielna i nagroma-
dzenie bogactw w rękach jednostek. Widzieliśmy, w jaki sposób Eskimosi unikają tego na-
gromadzenia. Podobne wysiłki spotykamy również w różnych wiekach, ujawniające się w
najrozmaitszych urządzeniach (wspólnoty wiejskie, gildie itp.), przy których pomocy ma-
sy usiłowały utrzymać jedność plemienną wbrew czynnikom ją rozsadzającym. Z drugiej
strony widzieliśmy zaczątki wiedzy, występujące w epoce pradawnej a utożsamiające się
z czarodziejstwem i stające się siłą w rękach jednostki, która w ten sposób mogła zapa-
nować nad plemieniem. Wiedza ta trzymana była w tajemnicy, przekazywana wyłącznie
wtajemniczonym za pośrednictwem tajnych związków czarodziei, szamanów i kapłanów;
związki takie spotykamy u wszystkich dzikich. Jednocześnie wojny i najścia nieprzyjaciół
powoływały do życia władze wojskowe i całe kasty wojowników, których zrzeszenia zdoby-
wały wielką potęgę. Jednak zaznaczyć należy, że nie było takiego okresu życia ludzkiego,
w którym by wojna uważana była za normalny stan bytowania. Podczas gdy wojownicy
wytępiali się wzajemnie a kapłani odprawiali uroczyste obrządki na intencję tych rzezi,
masy żyły życiem codziennym, zajmowały się pracą powszednią. I właśnie to życie mas
winno być przedmiotem przyszłych badań; należy zbadać, dzięki czemu utrzymywała się
organizacja społeczna założona na właściwym tym masom pojmowaniu sprawiedliwości,
na pomocy wzajemnej i poszanowaniu prawa obyczajowego; słowem – zbadać należy, w
jaki sposób utrzymała się ciągłość życia społecznego wbrew okrucieństwom teokracji lub
autokracji.

Rozdział 4. Pomoc wzajemna wśród barbarzyńców

Gdy przystępujemy do badań nad człowiekiem pierwotnym, jesteśmy przede wszystkim uderzeni spotykanym tam wysokim poziomem uspołecznienia. Ślady społeczeństw ludzkich znajdujemy w pozostałościach zarówno po dawniejszej, jak po późniejszej epoce kamiennej; gdy zaś przejdziemy do badań nad dzikimi, którzy naprawdę nie wzniesli się jeszcze ponad człowieka neolitycznego, znajdujemy tam ogromnie starą organizację klanową, pozwalającą na łączenie sił jednostkowych, na korzystanie z dobrodziejstw życia społecznego, i umożliwiającą pewien postęp. Człowiek bynajmniej nie jest wyjątkiem w przyrodzie. Podlega on również wielkiemu prawu pomocy wzajemnej, zapewniającemu najwięcej danych do przeżycia tym, którzy w walce o byt najlepiej umieją pomagać sobie nawzajem. Do takich wniosków doszliśmy w rozdziałach poprzednich.

Skoro jednak przejdziemy do wyższego poziomu cywilizacji i zwrócimy się do dziejów, które o epoce tej mogą już cokolwiek powiedzieć, stajemy zdumieni wobec mnóstwa walk i starć. Wydaje się, jak gdyby dawne więzy były porwane. Szczepy walczą przeciwko szczepom, plemiona przeciwko plemionom; i z tego chaosu starć ludzkość wychodzi podzielona na kasty, oddana w niewolę despotom, i rozbita na państwa zawsze gotowe do walki jedno z drugim. I patrząc na to filozof pesymista z triumfem dochodzi do wniosku, że wojna i ucisk są istotną podstawą natury ludzkiej; głosi on, że grabieżcze instynkty człowieka mogą być utrzymane w pewnych granicach tylko przy pomocy silnej władzy, narzucającej pokój i w ten sposób umożliwiającej nielicznym jednostkom szlachetniejszym przygotowanie życia lepszego dla czasów przyszłych.

W miarę jednak postępu badań nad powszednim życiem ludzkim w epoce historycznej – a badania takie w czasach ostatnich podjęli badacze sumienni i zastosowali je do instytucji bardzo pierwotnych – ujawnia się zupełnie inne oblicze człowieka. Jeśli pozostawimy na boku aprioryczne pojęcia historyków i ich wyraźne upodobanie do dramatycznych momentów w dziejach, to się ujawni, że te dokumenty dziejowe, na których zwykle się oni opierają, znakomicie wyolbrzymiają dramatyczną stronę życia ludzkiego, wysuwają walki na czoło, pozostawiając prace pokojowe w mroku. Dni jasne i słoneczne giną zapomniane pomiędzy burzami i nawałnicami. Nawet w naszych czasach pozostawiamy po sobie dla przyszłych historyków całe szeregi dokumentów nagromadzonych w prasie, w prawodawstwie i archiwach urzędowych, a także w utworach poetyckich – dokumentów, grzeszących jednostronnością i przedstawiających nasze życie jako szereg walk. Dokumenty te przekazują potomnym szczegółowy opis każdej wojny, każdego starcia lub niesnaski,

każdego aktu przemocy, wszelkich rodzajów cierpienia jednostkowego; lecz z rzadka tylko znajdujemy w nich ślady tych niezliczonych czynów pomocy wzajemnej i oddania się, które każdemu z nas znane są z doświadczenia osobistego; znajdujemy tam zaledwie nieznaczne ślady tych spraw, które wypełniają nasze życie powszednie: naszych dążeń i obyczajów społecznych. Cóż dziwnego, więc, że nasza znajomość wypadków pradawnych jest tak niedoskonała. Kronikarz starożytny nigdy nie zaniedbał zapisać najdrobniejszej wojny lub klęski, która spadła na jego współczesnych; jednocześnie niemal nie zwraca uwagi na życie mas, jakkolwiek masy te właśnie oddawały się pracy pokojowej, gdy jednostki nieliczne pogrążone były w walce. Epopeje, napisy na pomnikach, traktaty pokojowe – słowem niemal wszystkie dokumenty dziejowe posiadają ten sam charakter: mówią one o złamaniu pokoju, lecz nie o samym pokoju. Toteż najlepiej usposobiony historyk nieświadomie kreśli karykaturę tych czasów, które chciałby opisać, i aby dzisiaj odtworzyć rzeczywisty stosunek pomiędzy starciami i walkami z jednej strony a związkami pokojowymi z drugiej, zmuszeni jesteśmy zagłębić się w drobiazgową analizę niezliczonych faktów powszednich, musimy zwrócić uwagę na wspomnienia przypadkowo zachowane w tym, co pozostało z czasów dawnych; wszystko to zestawiać musimy przy pomocy etnologii porównawczej. W ten sposób, zbadawszy to, co powiedziano nam o czynnikach rozdzielających ludzi, mamy odtworzyć cegielkę po cegielce te instytucje, które ludzi łączyły.

Zanim historia będzie w ten sposób napisana na nowo, zanim weźmie się pod uwagę dwa wymienione wyżej prądy w życiu ludzkim i oceni się w sposób właściwy rolę każdego z nich w rozwoju dziejowym, przystąpić należy do pracy przygotowawczej i zwrócić uwagę na główne znamiona tak pogardzanego czynnika drugiego. Z najlepiej znanych okresów dziejowych wybierzemy nieco przykładów, obrazujących życie mas i postaramy się wykazać, jaką rolę pomoc wzajemna odgrywała w tych okresach. A w pracy tej – w celu nie przedłużania jej zbyt – nie będziemy sięgali ani do Egipcjan, ani do starożytności greckich lub rzymskich. W rzeczywistości, bowiem rozwój ludzkości bynajmniej nie odbywał się jednym nieprzerwanym ciągiem. Niejednokrotnie cywilizacja na pewnych obszarach i w pewnej rasie zamierała, aby odrodzić się na nowo gdzie indziej i pośród innych ras. Za każdym razem jednak rozpoczynała od tych samych instytucji klanowych, które widzieliśmy wśród dzikich. Toteż, jeśli sięgniemy do początków naszej ery i do życia tych szczepów, które Rzymianie nazywali "barbarzyńcami", będziemy mieli do czynienia z całą skalą rozwoju ludzkiego, poczynając od ustroju rodowego, a kończąc na instytucjach współczesnych.

Uczeni nie doszli jeszcze do porozumienia co do przyczyn, które przed dwoma tysiącami lat wypędziły całe narody z Azji do Europy i doprowadziły do wielkich wędrówek barbarzyńców, kładących kres imperium Zachodnio-Rzymskiemu. Geograf jednak badający zwaliska ludnych miast, położonych w pustyniach Azji Centralnej lub w dorzeczach rzek dzisiaj nieistniejących, nad dolinami, będącymi niegdyś jeziorami, łatwo dochodzi do wniosku, że przyczyną tego było – wysychanie. Wysychanie to trwa do czasów dzisiejszych i odbywa się z szybkością, z której do niedawna nie zdawano sobie sprawy. Wobec czynnika tego człowiek był bezsilny. Gdy mieszkańcy północno-zachodniej Mongolii i wschodniego Turkiestanu spostrzegli, że woda ich opuszcza, nie mieli innego wyjścia, jak tylko posuwać

się w kierunku szerokich dolin położonych w równinach i wypchnąć dalej na zachód do tychczasowych mieszkańców tych równin. W ten sposób jedne szczepy za drugimi zostały wepchnięte do Europy, zmuszając przez całe wieki najrozmaitsze plemiona do posuwania się bądź ze wschodu na zachód, bądź z zachodu na wschód – w nieustannym poszukiwaniu nowych siedzib mniej lub bardziej trwałych. Podczas tych wędrówek rasy pomieszały się z rasami, ludność dawna z imigrantami, Aryjczycy z rasą uralo-ałtajską. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby instytucje społeczne, utrzymujące jedność plemienną w kraju macierzystym, znikły zupełnie dzięki tak zwykłemu w Azji i Europie pomieszaniu ras i różnorodnym ich nawarstwieniom. Instytucje te jednak bynajmniej nie rozpadły się, uległy tylko zmianom koniecznym w nowych warunkach życia.

Teutoni, Celtowie, Skandynawowie, Słowianie i inni, gdy po raz pierwszy zetknęli się z Rzymianami, znajdowali się w przejściowym okresie społecznym. Związki klanowe, oparte na rzeczywistym lub domniemanym wspólnym pochodzeniu, utrzymywały ich w całości społecznej przez całe tysiąclecie. Związki te jednak tylko dopóty odpowiadały swemu zadaniu, dopóki wewnątrz rodu lub plemienia nie powstały oddzielne rodziny. Jakkolwiek z powodów wyżej zaznaczonych oddzielna rodzina patriarchalna od dawna już, powoli, lecz stale, rozwijała się wewnątrz klanu i ostatecznie musiała prowadzić do nagromadzenia bogactw w rękach jednostek i do dziedzicznego ich przekazywania. Częste wędrówki barbarzyńców i związane z nimi wojny tylko przyśpieszały podział rodów na oddzielne rodziny, gdy jednocześnie rozproszenie plemion i pomieszanie ich z obcymi nadzwyczajnie ułatwiało rozkładanie się związków, ugruntowanych na pokrewieństwie. Wówczas barbarzyńcy znaleźli się wobec niebezpieczeństwa, że ich klany rozpadną się na luźne zbiorowiska rodzin, z których najzamożniejsze – szczególnie, jeśli połączą funkcje kapłańskie lub sławę wojenną z bogactwem – narzucą swą władzę wszystkim innym; jedynym ratunkiem było powołanie do życia nowej formy organizacyjnej opartej na nowej zasadzie. Liczne szczepy, niezdolne oprzeć się rozkładowi, rozpadły się i zostały stracone dla historii. Najsilniejsze jednak nie uległy rozkładowi i wyszły z tej próby zwycięsko, wprowadzając organizację nową – wspólnotę wiejską – utrzymującą ich w życiu społecznym w ciągu piętnastu wieków lub i dłużej. Zrodziło się pojęcie wspólnie posiadanego terytorium, zdobytego lub bronionego wspólnym wysiłkiem, i zajęło miejsce zanikającego pojęcia wspólnego pochodzenia. Wspólni bogowie utracili charakter przodków i zostali obdarzeni znamionami bóstw lokalnych, terytorialnych. Stali się bogami lub świętymi danej miejscowości; "kraj" został utożsamiony z mieszkańcami. Na miejsce dawnych związków krwi wyrosły związki terytorialne, a nowa ta organizacja zapewniała wiele korzyści w nowych warunkach. Niezależność rodziny została przez gminę wiejską nie tylko uznana, lecz nawet celowo wzmocniona i gmina wiejska wyrzekła się prawa wtrącania się do spraw wewnętrznych poszczególnych rodzin; zapewniało to więcej swobody inicjatywie osobistej; w zasadzie nie było w tym nic wrogiego łączeniu się ludzi różnego pochodzenia, i jednocześnie gmina ta utrzymywała konieczną łączność w działaniu i myśleniu a wreszcie była dostatecznie silna, aby przeciwstawić się władczym dążeniom mniejszości, złożonej z czarodziejów, kapłanów i zawodowych lub szczególnie sławnych wojowników. Dzięki temu wszystkiemu wspólnota wiejska

stała się podstawową komórką przyszłej organizacji i u niektórych narodów zachowała się do dnia dzisiejszego.

Jest dzisiaj rzeczą wiadomą – i bodaj nikt już, temu nie zaprzecza – że wspólnota wiejska bynajmniej nie była czymś związanym z dawnymi Słowianami lub Teutonami. Panowała ona w Anglii zarówno za czasów saskich jak normandzkich i częściowo zachowała się aż do wieku osiemnastego; leżała u podstawy organizacji społecznej w dawnej Szkocji, w Irlandii i w Walii. We Francji gminne władanie i gminny podział ziemi uprawianej przez gromadę zachował się od pierwszych wieków naszej ery aż do czasów Turgeta, który zniósł zgromadzenia gminne, uważając je za "zbyt burzliwe". Wspólnota wiejska przeżyła panowanie rzymskie na półwyspie Apenińskim i odżyła po upadku Imperium Rzymskiego. Panowała ona w pełni wśród Skandynawów, Słowian, Finów, Kuronów i Liwonów. Od czasu epokowego dzieła Henryka Maine'a wiemy, że ta forma organizacji społecznej istniała zarówno w dawnych jak i we współczesnych Indiach wśród ludów aryjskich i nie-aryjskich; Elphinstone zaś opisał jej ustrój u Afgańczyków. Znajdujemy ją również w mongolskim ułusie, w kabylskim taaddarcie, na Jawie jako *desa*, pomiędzy Malajczykami jako *kota* lub *tofa* i pod najrozmaitszymi nazwami w Abisynii, w Sudanie, we wnętrzu Afryki, u autochtonów obydwóch Ameryk i u drobnych plemion na archipelagu Oceanu Spokojnego. Słowem – nie znamy ani jednej rasy ludzkiej, która nie przeszłaby przez okres wspólnoty wiejskiej. Już to samo wystarcza do obalenia teorii, według której wspólnota wiejska w Europie zawdzięcza swe pochodzenie instytucji chłopów poddanych. Jest ona znacznie starsza niż ta instytucja i nawet wprowadzenie poddaństwa nie zdołało jej złamać. Jest ona znamieniem powszechnym pewnego okresu w rozwoju ludzkości i w sposób naturalny wynika z organizacji klanowej – przynajmniej u tych wszystkich szczepów, które odegrały lub wciąż jeszcze odgrywają jakąkolwiek bądź rolę w historii.

Skoro wspólnota wiejska była naturalnym wynikiem rozwoju a bynajmniej nie tworem sztucznym, nie możemy się dziwić, że występuje ona w postaciach najrozmaitszych. Zwykle widzimy ją jako związek pomiędzy rodzinami, przypisującymi sobie pochodzenie wspólne i wspólnie władającymi pewnym terytorium. Ale u niektórych szczepów i w pewnych okolicznościach rodziny stawały się bardzo liczne, zanim wypuściły latorośle w postaci nowych rodzin; pięć, sześć lub siedem pokoleń żyło pod tym samym dachem, w tej samej zagrodzie, wspólnie gospodarując i posiadając wspólne bydło a także jadając przy wspólnym stole. Tworzyło to tzw. w etnologii "wielką rodzinę" (*joint family*), którą aż do dnia dzisiejszego spotykamy w Chinach, w Indiach, u południowych Słowian jako "zadrugę"; w ostatnich czasach znaleziono tę formę organizacji społecznej także w Afryce, w Ameryce, w Danii, w Rosji południowej i we Francji zachodniej. U innych szczepów i w innych warunkach, ściśle jeszcze nieokreślonych, rodziny nie osiągnęły tych rozmiarów; wnukowie a niekiedy synowie porzucali gospodarstwo ojcowskie z chwilą ożenienia się i każdy z nich zakładał własne ognisko. Ale rozrzucone po lasach lub połączone w jednej zagrodzie rodziny uważały się zawsze za części wspólnoty wiejskiej; wsie połączone były w plemiona, a plemiona w związki. Taka organizacja społeczna rozwinęła się pomiędzy tzw. barbarzyńcami, gdy poczęli mniej lub bardziej na stałe osiedlać się w Europie.

Potrzeba było długiego okresu rozwojowego, zanim rody i klany przyznały prawo do bytu oddzielnej rodzinie mieszkającej w oddzielnej chacie; lecz nawet po tym przyznaniu jej prawa do bytu klan nie uznawał zwykle praw osobistych do dziedziczenia własności – i te nieliczne przedmioty, które należały do jednostki, były bądź niszczone na jej grobie, bądź spalane razem z nieboszczykiem. Wspólnota wiejska przeciwnie – uznawała w pełni rodzinne gromadzenie bogactw i dziedziczne ich przekazywanie. Bogactwo jednak pojmowane było wyłącznie w postaci ruchomości, do których zaliczono bydło, sprzęty domowe, broń, dom mieszkalny, który jak wszystkie rzeczy mogące być zniszczone przez ogień, należał również do własności prywatnej. Co się tyczy prywatnego posiadania ziemi, wspólnota wiejska nie uznawała go ani nie mogła uznawać niczego w tym rodzaju i nie uznaje aż do dzisiejszego dnia. Ziemia była własnością plemienia lub całego szczepu i sama wspólnota wiejska posiadała swą część terytorium plemiennego tylko dopóty, dopóki plemię nie zdecydowało nowego podziału ziemi. Karczowanie lasów i przecinanie łąk było najczęściej wykonywane przez wspólnoty wiejskie lub przynajmniej łącznym wysiłkiem kilku rodzin – zawsze za przyzwoleniem wspólnoty; otrzymane w ten sposób kawałki ziemi pozostawały we władaniu rodzinnym przez przeciąg 4, 12 lub 20 lat, po czym uważane były za część wspólnych gruntów uprawnych. Własność prywatna lub posiadanie "wieczyste" było niezgodne zarówno z zasadami i pojęciami religijnymi wspólnoty wiejskiej, jak z zasadami rodowymi, toteż potrzeba było długiego wpływu prawodawstwa rzymskiego i kościoła chrześcijańskiego, który rychło przyjął zasady rzymskie, aby przyzwycząić barbarzyńców do tego, że prywatne posiadanie ziemi jest rzeczą możliwą. Nawet do dnia dzisiejszego, kiedy własność prywatna jest już zupełnie uznana, wiejski posiadacz kawałka ziemi wciąż jeszcze uczestniczy we wspólnym władaniu lasami, pastwiskami, torfowiskami itp. Prócz tego widzimy, szczególnie w historii Rosji, że gdy kilka rodzin działających oddzielnie, zawładnęło ziemią, należącą do plemion uważanych za cudzoziemców, pomiędzy rodzinami tymi natychmiast powstawał związek, powstała wspólnota wiejska, która w trzecim lub czwartym pokoleniu była już przeświadczona o wspólnym pochodzeniu.

Cały szereg instytucji częściowo odziedziczonych po okresie klanowym rozwijał się na tej podstawie wspólnego władania ziemią przez długi szereg wieków, niezbędnych do tego, aby barbarzyńcy zostali poddani panowaniu państwowości zorganizowanej według wzorów rzymskich lub bizantyjskich. Wspólnota wiejska była związkiem nie tylko zapewniającym każdemu jego część ziemi wspólnej, lecz była też zrzeszeniem wspólnej kultury i pomocy wzajemnej pod każdym względem – wspólnota chroniła swych członków od przemocy, przyczyniała się do rozwoju wiedzy, kultywowała język narodowy i pojęcia moralne. Każda zmiana w obyczajach prawnych, wojskowych, wychowawczych i gospodarczych musiała być zadecydowana na zebraniu gromadzkim, na zebraniu plemiennym lub na wielkim wiecu całego związku plemion. Wspólnota wiejska była dalszym ciągiem rodu i odziedziczyła wszystkie jego funkcje; uważana była za universitas, u ludów słowiańskich za mir – słowem za świat cały.

Dawne rody wspólnie polowały, wspólnie łowiły ryby i wspólnie uprawiały zboża i ogrodnictwo. Wspólne rolnictwo jest też obyczajem barbarzyńskiej wspólnoty wiejskiej. Brak

nam wprowadzie dość licznych potwierdzających to dokumentów, a w literaturze starożytnej znajdujemy zaledwie parę ustępów Diodora i Juliusza Cezara, dotyczących wysp Liparyjskich (plemion celtycko-iberyjskich) i Suewów. Nie trudno jednak dojść do przekonania, że wspólna uprawa ziemi była w zwyczaju wśród niektórych plemion teutońskich, wśród Franków, Szkotów, Irlandczyków i Walijszczyków. Niemal do ostatnich czasów zachowały się niezliczone szczątki tego obyczaju. Nawet w zupełnie zromanizowanej Francji wspólna uprawa ziemi była jeszcze w zwyczaju przed kilkudziesięciu laty w Morbihan (Bretonia). Dawny walijski cywar czyli zrzeszenie się rolników zarówno jak i wspólna uprawa kawałka ziemi przeznaczonego na użytek świątyni wiejskiej jest do dzisiaj dnia w użyciu na Kaukazie, dokąd cywilizacja europejska niemal nie dochodzi; fakty podobne w obfitości spotkać możemy pomiędzy chłopami rosyjskimi. Wiadomo jest przy tym, że wiele plemion brazylijskich i meksykańskich miało zwyczaj wspólnie uprawiać rolę; zwyczaj ten rozpowszechniony był również wśród Malajczyków w Nowej Kaledonii, wśród niektórych szczepów murzyńskich itd. Słowem, wspólna uprawa ziemi była w zwyczaju u ludów aryjskich, uralo-ałtajskich, mongolskich, murzyńskich, u czerwonoskórych amerykańskich, u Malajczyków, Melanezyjczyków itd. – możemy ją więc uważać za powszechną formę uprawy ziemi.

Wspólna uprawa jednak bynajmniej nie pociąga za sobą wspólnego spożycia. Już w organizacji klanowej widzimy niejednokrotnie, że gdy statki naładowane owocami lub rybami wracają do wsi, żywność jest dzielona pomiędzy chaty lub "długie domy", zamieszkane bądź przez oddzielne rodziny, bądź przez młodzież, i przygotowywana oddzielnie przy oddzielnych ogniskach. Widzimy więc, że zwyczaj odżywiania się w ciasniejszym kółku krewnych lub stowarzyszonych przeważa już we wczesnym okresie klanowym. Staje się on zwyczajem panującym w wspólnotach wiejskich. Nawet żywność wyprodukowaną wspólnymi siłami dzielono pomiędzy gospodarstwa po uprzednim odłożeniu części na wspólny użytek. W tradycji jednak starannie przechowywano wspomnienia wspólnych biesiad; korzystano z każdej okazji, jak np. wspominki przodków, uroczystości religijne, rozpoczęcie lub zakończenie prac w polu, narodziny, małżeństwa, pogrzeby – aby zwołać całą wspólnotę wiejską na biesiady. Nawet w kraju tak wysoce kulturalnym jak Anglia zachowała się w pełni do dnia dzisiejszego uroczysta wieczerza dożynkowa. Z drugiej strony, chociaż pola od dawna już nie były uprawiane wspólnie, znaczna część robót rolnych była wykonywana i wykonywana, jest do dnia dzisiejszego przez całą wspólnotę czy gminę. Część ziemi wspólnej jest wciąż jeszcze uprawiana wspólnymi siłami – a to bądź na potrzeby biednych, bądź dla zapewnienia magazynów gromadzkich, bądź na cele uroczystości religijnych. Kanały irygacyjne są przekopywane i utrzymywane wspólnymi siłami. Łąki gromadzkie są koszone przez całą gromadę; do dzisiaj możemy podziwiać wspólny sprzęt siana w Rosji – gdzie mężczyźni współzawodniczą pomiędzy sobą w szybkim koszeniu, gdy jednocześnie kobiety przewracają trawę i układają ją w kopy. Siano w takich wypadkach dzielone jest pomiędzy poszczególne gospodarstwa i rozumie się samo przez się, że nikt nie ma prawa wziąć siana z kopy sąsiada bez jego przyzwolenia. Pomiedzy kaukaskimi Osetyńcami spotykamy ciekawe ograniczenia prywatnej własności tak podzielonego siana. Gdy na wiosnę odezwie się głos kukułki, a tym samym zbliży się okres nowego sianozęcia, każdy

ma prawo wziąć ze stogu sąsiada tyle siana, ile mu potrzeba dla bydła. Jest to wznowienie dawnych praw wspólnoty i jednocześnie dowód, jak przeciwny naturze ludzkiej jest nieokiełznany indywidualizm.

Gdy europejski podróżny wyląduje na którejkolwiek z wysepek Oceanu Spokojnego i pójdzie w kierunku palmowego lasu, zadziwi się, że małe rozrzucone tam wioski są połączone ścieżkami wyłożonymi wielkimi kamieniami; ścieżki te dla bosych nóg tuziemców są drogą bardzo wygodną i przypominają "stare drogi" szwajcarskich górali. Tego rodzaju drogi i ścieżki pobudowane były przez "barbarzyńców" w całej Europie i trzeba przewędrować dzikie, słabo zaludnione kraje położone z dala od wielkich linii komunikacyjnych, aby zdać sobie sprawę z tej wielkiej pracy, jaką przed paru tysiącami lat wspólnoty barbarzyńskie musiały podjąć w celu opanowania bagnisk i puszczy Europy. Oddzielne rodziny, pozbawione narzędzi i słabe, nigdy nie byłyby zdobyły tych krajów: puszcza byłaby je pokonała, jedynie wspólnota wiejska, posługująca się pracą wspólną, zdolna była zapanować nad lasami dziewiczymi, nad trzęsawiskami i stepami bezgranicznymi. Drogi pierwotne, promy, mosty drewniane, zdejmowane na zimę i odbudowywane na wiosnę, fosy, ostrokoły, którymi otoczone były wsie, forty ziemne i wieżyczki, rozrzucone po całym kraju – wszystko to było dziełem wspólnot barbarzyńskich. Gdy wspólnota bardzo się rozrosła, wówczas wypuszczała latorośl – i nowa wspólnota, nowa gromada wyrastała w pewnym oddaleniu, przyczyniając się do coraz dalszego opanowywania lasów i stepów przez człowieka. Cały rozwój narodów europejskich był naprawdę takim rozrastaniem się, rozgałęzianiem się wspólnot wiejskich. Nawet do dnia dzisiejszego chłopcy rosyjscy, jeśli tylko nie są złamani przez nędzę, emigrują całymi gromadami, wspólnie uprawiają ziemię i wspólnie zabudowują się na nowych osiedlach, nad brzegami Amuru lub w Manitobie. Nawet Anglicy, gdy zaczęli kolonizować Amerykę, wracali do tego starego systemu: łączyli się w wspólnoty wiejskie.

Wspólnota wiejska była główną bronią barbarzyńców w ciężkiej walce przeciwko wrogiej przyrodzie. Była to również obrona przeciwko uciskowi na najprzebieglejszych i najsilniejszych jednostek, tak łatwo rozwijającemu się w tych niespokojnych czasach. Barbarzyńca – człowiek walczący i mordujący po prostu dla kaprysu – jest czymś równie wymagowanym, jak "krwiożerczy dziki człowiek". Barbarzyńca rzeczywisty wprost przeciwnie – pędził życie w całym szeregu instytucji przepojonych szacunkiem dla wszystkiego, co mogłoby być pożyteczne dla plemienia lub związku; instytucje te były starannie przekazywane z pokolenia w pokolenie w wierszach, pieśniach, przysłowiach i przypowieściach, w mądrych powiedzeniach i naukach. Im bardziej je poznajemy, tym mocniej jesteśmy przekonani o tych ścisłych więzach, które łączyły ludzi po ówczesnych wsiach. Każda waśń pomiędzy dwiema jednostkami uważana była za sprawę społeczną; nawet słowa obelżywe użyte w kłótni były uważane za obelgę wyrządzoną całej wspólnotie i jej przodkom. Winowajca musiał okupić swą winę zarówno wobec jednostki pokrzywdzonej, jak i wobec wspólnoty; gdy kłótnia kończyła się walką lub ranami, świadkowie jej, o ile nie przeciwdziałali kłótni będąc w stanie to uczynić, byli sami uważani za winowajców.

Postępowanie sądowe było przepojone tym samym duchem. Każdy spór był przede wszystkim przedstawiany pośrednikom czy arbitrom i najczęściej na tym się kończył, po-

nieważ pośrednicy ci odgrywali wielką rolę w społeczeństwie barbarzyńców. Jeśli sprawa była zbyt poważna, aby nadawać się do takiego rozstrzygnięcia, wówczas przedstawiano ją całemu zgromadzeniu ludowemu, które winno było "znaleźć wyrok", wygłaszany w formie warunkowej, mianowicie: "jeśli wina będzie udowodniona, należy dać taką oto rekompensatę"; winę zaś udowadniało się przy pomocy sześciu lub dwunastu świadków zaprzysiężonych. W razie niezgody pomiędzy świadkami uciekano się do próby sądu bożego (pojedyńku, ognia albo jakiegoś innego sposobu). Tego rodzaju postępowanie sądowe, utrzymujące się bez przerwy w ciągu dwudziestu wieków, mówi więcej niż całe tomy; wykazuje, jak silne węzły łączyły członków wspólnoty wiejskiej. A pamiętać przy tym należy, że nie było tam żadnej innej władzy, mogącej narzucać wykonanie wyroku, oprócz władzy moralnej; najwyższą karą, mogącą spaść na opornego, była banicja ze wspólnoty; lecz i to było bronią obosieczną. Jednostka niezadowolona z wyroku gromadzkiego mogła porzucić plemię i przyłączyć się do plemienia innego – co dla plemienia porzuconego było groźbą bardzo poważną, ponieważ taki odstępcą mógł sprowadzić wojnę. Nieuznawanie postanowienia prawnego, które zapadło na zasadzie zwyczajów było czymś wprost niepojętym, ponieważ – jak słusznie określa to Henryk Maine – "prawo, moralność i czyn nie mogły być wówczas oddzielone jedno od drugiego". Autorytet moralny gminy był tak wielki, że nawet w epoce późniejszej, kiedy wspólnota wiejska wpadła w zależność od pana feudalnego, utrzymała ona swą władzę sądowniczą: gmina pozwalała panu lub jego zastępcy tylko "znaleźć" wyrok w zaznaczonej wyżej formie warunkowej; wyrok ten jednak musiał być zgodny z prawem obyczajowym; przy tym pan miał prawo do pobierania grzywny należnej przedtem gminie. Przez długi czas jednak sam pan, o ile pozostawał współwłaścicielem ziemi należącej do gminy, musiał poddawać się w sprawach gminnych orzeczeniom gminy. Szlachcic zarówno jak duchowny podlegał orzeczeniom gromady zgodnie ze starym przysłowiem: "Wer daselbst Wasseir und Weide genüss, muss gehorsam sein." (Kto korzysta z wody i pastwiska, musi być posłuszny). Nawet wówczas, gdy chłopci stali się poddanymi pana, musiał pan stawać przed zgromadzeniem gminnym na wezwanie.

Oczywiście, w swym pojmowaniu sprawiedliwości barbarzyńcy niewiele różnili się od dzikich. I oni również wyznawali zasadę, że morderstwo musi być pomszczone śmiercią mordercy; że rany zadane muszą być okupione takimi samymi ranami i że obowiązkiem rodziny pokrzywdzonej było przestrzegać tych praw obyczajowych. Taki był święty obowiązek – obowiązek względem przodków; a wypełniać go należało jawnie, bynajmniej nie w tajemnicy, i o spełnieniu go głosić szeroko. Toteż najbardziej natchnione ustępy w Sagach i poematach epickich opiewają spełnienie zemsty jako akt sprawiedliwości. Sami bogowie pomagali w tych sprawach. Z drugiej strony jednak głównym dążeniem sprawiedliwości barbarzyńskiej jest chęć ograniczenia liczby osób objętych aktami zemsty, a także dążenie do usunięcia brutalnego poglądu – krew za krew i rany za rany – przez podstawianie na jego miejsce systemu rekompensaty. Kodeksy barbarzyńskie – będące zbiorem praw obyczajowych spisanych do użytku sędziów – "najpierw dozwalały, potem zachęcały i wreszcie zmuszały" do wprowadzenia rekompensaty na miejsce zbrodni. Zupełnie nie rozumieją jednak zasady rekompensaty ci, którzy ujmują ją jako grzywnę lub jako pewien rodzaj carte

blanche, wydanej bogatemu i uprawniającej do czynienia, co mu się podoba. Rekompensata pieniężna "Wergeld", będąca czymś zupełnie różnym od grzywny, bywała zwykle tak wysoka, że w żadnym razie nie mogła być zachętą do czynienia nowych krzywd. W razie morderstwa przewyższała ona wszystkie możliwości majątkowe mordercy. "Osiemnaście razy po osiemnaście krów" – taka jest kompensata wyznaczana za morderstwo przez Osetyńców nie umiejących liczyć powyżej osiemnastu; u plemion afrykańskich dochodzi to do ośmiuset krów lub stu wielbłądów razem z młodymi, lub u biedniejszych – do czterystu szesnastu owiec. W większości przypadków rekompensata była tak wysoka, że zgoła nie mogła być zapłacona i morderca nie miał innego wyjścia, niż skłonienie przez skruchę rodziny pokrzywdzonej do zaadoptowania go. Nawet dzisiaj na Kaukazie, gdy zemsta się kończy, krzywdziciel dotyka wargami piersi najstarszej kobiety w plemienu i w ten sposób staje się "bratem mlecznym" wszystkich członków pokrzywdzonej rodziny. U niektórych plemion afrykańskich musi on dać za żonę członkowi rodziny pokrzywdzonej swą siostrę lub córkę; u innych plemion obowiązany jest poślubić wdowę, której męża zabił; a we wszystkich wypadkach staje się członkiem rodziny pokrzywdzonej i jego zdanie brane jest pod uwagę we wszystkich naradach rodzinnych.

Nie mając w pogardzie życia ludzkiego, barbarzyńcy nie znali zgoła tych kar okrutnych, które w czasach późniejszych pod wpływem romańskim lub bizantyjskim zostały wprowadzone do prawodawstwa świeckiego i kanonicznego. Jeśli kodeks saski dość często stosował karę śmierci, np. za podpalenie lub rabunek, inne kodeksy barbarzyńskie karały śmiercią tylko w razach wyjątkowych – jak np. w razie zdrady rodu, w razie świętokradztwa przeciwko bogom gminnym itp., uważając śmierć za jedyny sposób uspokojenia gniewu bogów.

Jak widzimy, wszystko to jest bardzo dalekie od domniemanej rozwiązłości barbarzyńców. Przeciwnie – możemy tylko podziwiać głębokie zasady moralne wypracowane we wczesnych okresach wspólnoty wiejskiej. Znajdujemy je w tercynach walijskich, w legendach o królu Arturze, w komentarzach do irlandzkiego prawa Brehona, w starych legendach germańskich i wreszcie w przysłowiach barbarzyńców współczesnych. George Dasent we wstępie do "The Story of Burnt Njal" zupełnie trafnie streszcza w sposób następujący moralność normandzką, ujawniającą się w sagach:

"Czynić to, co czynić należy, otwarcie i jawnie, nie lękając się ani wrogów, ani nieprzyjaciół, ani przeznaczenia... być swobodnym i śmiałym we wszystkich przedsięwzięciach; być szlachetnym i wspaniałomyślnym względem swych krewnych i przyjaciół; być surowym i groźnym względem nieprzyjaciół (względem tych, którzy podlegają lextalionis), lecz nawet względem nich wypełniać wszelkie zobowiązania... nie być wiarołomcą, ani plotkarzem, ani oszczercą. Nie mówić o człowieku nie takiego, czego nie można by mu powtórzyć w oczy. Nie odpędzać od swych drzwi proszącego o jadło lub schronienie, choćby to nawet był nieprzyjaciół."

Podobne lub nawet wyższe jeszcze zasady moralne przenikają poezję epicką i tercyny walijskie. "Postępować łagodnie i według zasad sprawiedliwości, nie mając względu ani na

przyjaciół, ani na nieprzyjaciół, naprawiać krzywdy wyrządzone” – oto najwyższy obowiązek człowieka; ”zło to śmierć, a dobro to życie” – woła poeta prawodawca. Świat oszalałby, jeśli nie dotrzymywalibyśmy przyrzeczeń, wypowiedzianych wargami” – powiada prawo brehońskie. Podobnie skromny szaman Mordwinów północnych ustanawia zasadę: ”pomiędzy sąsiadami krowa i szkopek są własnością wspólną”; uczy on także, że ”krowę doić należy dla siebie samego i dla każdego, kto mleka zażąda”; ciało dziecka czerwieni się od uderzeń, a twarz bijącego czerwieni się ze wstydu” itd. Niejedną stronicę moglibyśmy wypełnić takimi zasadami głoszonymi i przestrzeganymi przez ”barbarzyńców”.

Należy tu zwrócić uwagę na jedną jeszcze właściwość starej wspólnoty wiejskiej, mianowicie na stopniowe rozszerzanie koła ludzi objętych poczuciem solidarności. Nie tylko plemiona łączą się w szczepy, lecz i te szczepy, choć różnego pochodzenia – łączą się z kolei w dalsze związki. Niektóre z tych związków były tak mocne, że jak to np. widzimy u Wandalów – gdy część związku plemion nadreńskich udała się do Hiszpanii, a stamtąd do Afryki, pozostałe plemiona w ciągu 40 lat szanowały znaki graniczne i nie ruszały wsi opuszczonych; zajęły je dopiero wówczas, gdy przez posłów upewniono się, że emigranci nie mają zamiaru powrócić. U innych barbarzyńców spotykamy zwyczaj uprawiania ziemi przez jedną część szczepu, gdy inna walczyła poza granicami wspólnego terytorium. Związki pomiędzy poszczególnymi plemionami należały do rzeczy zwykłych. Sikambrowie łączyli się z Cheruskami i Suewami, Kwadowie z Sarmatami; Sarmaci z Alanami, Karpami i Hunnami. W czasach późniejszych widzimy stopniowy rozwój pojęcia narodu w Europie, znacznie poprzedzającego cokolwiek, co można by nazwać państwem. Narody te – nie możemy bowiem odmówić tego miana takim narodom jak Francuzi za Merowingów lub Rosjanie wieku XI i XII – utrzymywane były w całości wyłącznie tylko przez wspólność językową i przez milczącą umowę drobnych republik, że wybierać będą wodzów tylko z jednej rodziny.

Oczywiście, wojny były nieuniknione. Wędrowni nie mogą obejść się bez wojen. Lecz już Henryk Maine wykazał w swej cennej pracy o plemiennym pochodzeniu prawa międzynarodowego, że ”człowiek nigdy nie był tak okrutny, aby poddawać się takiemu złu jak wojna, nie usiłując uniknąć jej”; wykazał również, że ”znaczną liczbą dawnych instytucji miała na celu zapobieganie wojnom lub też ich ułagodzenie”. W rzeczywistości człowiek tak dalece nie jest istoty wojowniczą, za jaką uchodzi, że barbarzyńcy z chwila osiedlenia się szybko tracili wojowniczość i musieli utrzymywać specjalnych wodzów otoczonych drużynami wojowników, aby ich bronili przed możliwymi napastnikami. Barbarzyńca przedkładał pracę pokojową nad wojnę; i samo wyodrębnienie się rzemiosła wojennego dowodzi niechęci mas do wojny. Ci specjaliści wojownicy stali się potem panami i tak poważnie zaciążyli na ”państwowym” okresie dziejów ludzkich.

Historycy z niemałym trudem odbudowują instytucje barbarzyńskie. Na każdym kroku spotykają jakieś wyrażenia, których przy pomocy posiadanych dokumentów nie można wytłumaczyć. Światło na to wszystko rzucają dopiero badania nad obyczajami i instytucjami barbarzyńców współczesnych, posiadających niemal takie same zwyczaje jak nasi przodkowie. Dokumentów tu nie brak i mamy jedynie trudność wyboru, ponieważ wyspy Oceanu Spokojnego, stopy azjatyckie i równiny afrykańskie są prawdziwym muzeum histo-

rycznym, przechowującym wszystkie możliwe stopnie rozwoju ludzkiego od czasu rodów dzikich aż do współczesnej organizacji państwowej. Zbadajmy kilka z tych przykładów.

Jeśli przyjrzymy się wspólnotom wiejskim Buriatów mongolskich, szczególnie zaś mieszkańcom stepów Kudyńskich i górnej Leny, którzy uchronili się od wpływów rosyjskich, znajdziemy doskonałych przedstawicieli barbarzyńców ze stanu przejściowego pomiędzy hodowlą bydła a rolnictwem. Buriaci ci żyją wciąż "wielkimi rodzinami", tj. jakkolwiek każdy syn ożeniony osiedla się w chacie oddzielnie, chaty przynajmniej trzech pokoleń pozostają w tej samej zagrodzie i wielka rodzina pracuje wspólnie w polu, wspólnie prowadzi gospodarstwo, hoduje bydło i posiada wspólny cielećnik (ogrodzony kawałek ziemi o trawie szczególnie soczystej, przeznaczony do wychowywania cieląt). Odżywianie się zwykle odbywa się oddzielnie, w poszczególnych chatach; gdy jednak jest mięso pieczone, zbierają się wspólnie wszyscy członkowie złączonego gospodarstwa. Kilka połączonych gospodarstw żyjących w zagrodzie, razem z kilku mniejszymi rodzinami osiedlonymi w tej samej wsi, będącymi po większej części szczątkami rodzin wielkich i upadłych z jakiegokolwiek powodu – tworzą razem ułus, czyli wspólnotę wiejską; kilka ułusów tworzy plemię; czterdzieści sześć plemion lub klanów, rozrzuconych po stepach Kudyńskich, łączą się w jeden związek. Prócz tego powstają związki mniejsze lub węższe, tworzone przez kilka plemion, zależnie od okoliczności i potrzeb szczególnych. Prywatnej własności ziemi nie znają – ziemia jest wspólną własnością ułusów lub raczej ich związku; w razie potrzeby jest ona powtórnie dzielona pomiędzy poszczególne ułusy, na zgromadzeniu plemiennym lub pomiędzy 46 plemion na zgromadzeniu całego związku. Warto zaznaczyć, że ta sama organizacja panuje wciąż jeszcze pomiędzy 250.000 Buriatów we wschodniej Syberii, jakkolwiek od trzech wieków znajdują się oni pod panowaniem rosyjskim i dobrze znają rosyjskie instytucje.

Mimo to wszystko nierówności majątkowe szybko rozwijają się pomiędzy Buriatami, szczególnie zaś od czasów, gdy rząd rosyjski zaczął opiekować się ich wybranymi tajszasami (księżętami), których uważa za odpowiedzialnych poborców podatkowych i za przedstawicieli związków w stosunkach z rządem, a nawet w stosunkach handlowych z Rosjanami. Dzięki temu powstało mnóstwo możliwości wzbogacenia się jednostkowego, rozwijającego się współrzędnie ze wzrastającą nędzą mas, ku czemu przyczynia się jeszcze zajmowanie ziemi buriackiej przez Rosję. Stare instytucje jednak utrzymują się pomiędzy Buriatami, szczególnie na stepach Kudyńskich, jako stary obyczaj – a wiadomo, że obyczaj jest czymś ważniejszym niż prawo; toteż, gdy rodzina jaka straci bydło, rodziny bogatsze dają jej parę krów i koni, aby mogła powrócić do stanu dawnego. Człowiek nic nieposiadający może przychodzić na posiłek do chat swych rodaków: wchodzi do chaty i bierze udział w jedzeniu zawsze dzielonym starannie na równe części; przybysz taki nocuje w tej samej chacie, która go nakarmiła. Rosyjscy zdobywcy Syberii tak byli zadziwieni komunistycznymi obyczajami Buriatów, że nazwali ich ludźmi braterskimi (bratskije). W raporcie urzędowym pisano o tym do Moskwy: "Buriaci wszystko posiadają wspólnie: każda rzecz dzielona jest pomiędzy wszystkich." Nawet dzisiaj jeszcze, gdy Buriaci nad Leną sprzedają zboże lub posyłają bydło do rzeźnika rosyjskiego, rodziny należące do jednego ułusu lub plemienia wysyłają całe zboże lub bydło łącznie i sprzedają je wspólnie. Przy tym każdy ułus ma swój

spichlerz na udzielanie pożyczek w razie potrzeby; posiada także wspólny piec piekarski i wspólnego kowala, który – jak kowal wspólnot indyjskich – jako członek gminy, nigdy nie pobiera zapłaty za swoją pracę. Obowiązany on jest pracować darmo i jeśli w wolnych chwilach wykona posrebrzane ozdoby żelazne, noszone przez Buriatów, może przy sposobności sprzedać je jakiejś kobiecie z innego klanu, lecz w swoim klanie może te wyroby tylko podarować. Kupno i sprzedaż zupełnie nie ma miejsca w wspólnocie; prawo to jest tak surowe, że gdy rodzina bogatsza chce nająć robotnika, musi go szukać w innym klanie lub pomiędzy Rosjanami. Zwyczaj ten oczywiście nie jest zwyczajem wyłącznie buriackim; jest on tak szeroko rozpowszechniony pomiędzy barbarzyńcami współczesnymi, zarówno aryjczykami jak uralo-ałtajczykami, że musiał być powszechny pomiędzy naszymi przodkami.

Poczucie łączności wewnątrz związku jest utrzymane przez wspólność interesów poszczególnych plemion i przez zgromadzenia związkowe, a także przy pomocy uroczystości odbywających się podczas tych zgromadzeń. Do podtrzymania tego poczucia przyczynia się jeszcze inna instytucja, tzw. aba, czyli wspólne polowanie, będące wspomnieniem zamierzchłej przeszłości. Corocznie jesienią każdy z 46 klanów kudyńskich schodzi się na takie polowanie, a zdobycz dzielona jest pomiędzy wszystkie rodziny. Oprócz tego zwoływane są jeszcze aba ogólnonarodowe, podtrzymujące łączność wewnętrzną w całym narodzie buriackim. W tych razach wszystkie klany buriackie rozrzucone na setki mil na wschód i zachód od Bajkału przysyłają swych delegatów myśliwców. Schodzą się tysiące ludzi i każdy z nich przynosi z sobą żywność na cały miesiąc. Wszyscy muszą posiadać taką samą ilość zapasów, toteż wszystko przyniesione składane jest razem i potem rozdzielane przez wybranego starostę, odważającego części "ręką" – waga byłaby tu profanacją starego zwyczaju. Po dokonaniu podziału zapasów myśliwi rozdzielają się na grupy po dwudziestu i rozpoczyna się polowanie według z góry obmyślnego planu. Podczas takich wypraw cały naród buriacki przeżywa swe epickie wspomnienia pochodzące z czasów, gdy tworzył potężny związek. Zaznaczyć tu należy, że tego rodzaju wspólne polowania są również w zwyczaju u Indian czerwonoskórych i u Chińczyków nad brzegami Ussuri (Kada).

Jeśli sięgniemy do Kabylów, których obyczaje były tak dobrze opisane przez dwóch badaczy francuskich, znajdziemy barbarzyńców stojących na nieco wyższym stopniu rolnictwa. Ich pola, nawadniane i nawożone, są uprawiane bardzo starannie i w górach każdy zdalny pod uprawę kawałek ziemi jest starannie kopany szpadlem. Kabyle w ciągu dziejów przechodzili losy bardzo zmienne; przez jakiś czas podlegali muzułmańskiemu prawom o dziedziczeniu; prawa te jednak nie przyjęły się u nich i po 150 latach powrócili do dawnego prawa obyczajowego. Dzięki temu ich władanie ziemią posiada charakter mieszany i spotykamy tam własność prywatną obok własności gminnej. Podstawą jednak ich organizacji społecznej jest wspólnota wiejska, złożona zwykle z kilku wielkich rodzin, powołujących się na wspólne pochodzenie; obok tych rodzin wielkich, do wspólnoty należy zwykle nieco rodzin mniejszych, złożonych z przybyszów. Kilka wsi tworzy razem klan lub plemię; kilka plemion tworzy związek, a kilka związków może niekiedy tworzyć związek związków, powstających głównie w celach obrony.

Kabyłe nie znają żadnej władzy oprócz tzw. dżemmy – czyli zgromadzenia wspólnoty wiejskiej. W zgromadzeniu tym biorą udział wszyscy dorośli mężczyźni; a odbywa się ono bądź pod gołym niebem, bądź w budynku specjalnym, zaopatrzonym w siedzenia kamienne. Postanowienia dżemmy zapadają jednomyślnie: dyskusja trwa póty, póki wszyscy obecni nie zgodzą się na jedno lub nie poddadzą się jednemu postanowieniu. Ponieważ w wspólnocie wiejskiej nie było żadnej władzy zdolnej narzucać swe postanowienia, system uchwał jednomyślnych panował wszędzie i panuje do dzisiejszego dnia wśród co najmniej stu milionów ludzi rozrzuconych po całym świecie. Dżemma wybiera swych wykonawców w osobie starosty, pisarza i skarbnika; sama nakłada na siebie podatki, sama stanowi o podziale wspólnej ziemi i przedsięwzięcie wszelkie prace użyteczności publicznej. Bardzo znaczna część pracy wykonywana jest wspólnie: wspólnie budowane są drogi, meczety, studnie, kanały irygacyjne, baszty do obrony przed napastnikiem itd.; wielkie drogi, wielkie meczety i wielkie place targowe są dziełem całego plemienia. Wciąż jeszcze widzimy ślady kultury opartej na wspólnej pracy i wiele domów jest wznoszonych przy pomocy wszystkich kobiet i mężczyzn całej wsi. Zresztą nawet przy pracy w rodzinach oddzielnych przywoływanie "pomocy" sąsiadów należy do zjawisk najzwyklejszych – pomocy tej używa się do uprawy pól, do sprzętu zboża itd. Każda wieś posiada również swego kowala, rozporządzającego częścią wspólnej ziemi i pracującego na rzecz gminy; gdy zbliża się pora robót polnych, kowal odwiedza wszystkie gospodarstwa i poprawia narzędzia, a szczególnie pługi, nie biorąc za to żadnej zapłaty. Sporządzenie nowego pługa uważane jest za czyn godny uznania, za pewnego rodzaju akt religijny, co w żadnym razie nie może być wynagradzane pieniędzmi lub jaką bądź inną zapłatą.

Skoro Kabyłe posiadają już własność prywatną, to rozumie się samo przez się, że muszą być i biedni pomiędzy nimi. Lecz jak wszyscy ludzie żyjący blisko jedni z drugimi i wiedzący, jak rozpoczyna się bieda, uważają ją oni za coś, co każdemu zdarzyć się może. "Nie mów, że nigdy nie weźmiesz sakwy żebraczej i nigdy nie będziesz w więzieniu" – głosi przysłowie chłopów rosyjskich. Kabyłe wyznają to samo i nie można znaleźć u nich różnicy w zachowaniu się względem człowieka ubogiego i bogatego: gdy biedny wzywa "pomocy", bogaty pracuje na jego polu i to samo potem czyni biedny na polu bogatego. Przy tym dżemmy wyznaczają pewne części ogrodów i pól uprawianych wspólnie, na specjalny użytek ludzi najbiedniejszych. Istnieje tam wciąż jeszcze niemało zwyczajów podobnych. Ponieważ rodziny biedniejsze nie mogłyby same kupować mięsa, jest ono nabywane regularnie za pieniądze pochodzące z grzywien lub z darów wyznaczonych przez dżemmy, albo wreszcie za pieniądze, wpływające z wynajmu wspólnych zbiorników na oliwę; tak nabyte mięso jest dzielone równo między wszystkich, którzy sami nabyć go nie mogą. Gdy jaka rodzina zabije wołu lub owcę na własny użytek w dzień nie-targowy, o fakcie tym oznajmia się całej wsi, a to w celu, aby wszyscy chorzy i kobiety brzemiennie mogły wziąć tyle mięsa, ile im potrzeba. Pomoc wzajemna przenika całe życie Kabylów, i jeśli który z nich podróżując spotka innego Kabyla znajdującego się w potrzebie, obowiązkiem jego jest przyjść mu z pomocą, choćby sam przez to narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Gdyby ktoś zaniedbał tego zwyczaju, dżemma, do której taki egoista jest przynależy, natychmiast postara się krzywdę naprawić i wynagrodzić tego, który powinien był doznać pomocy. Spotykamy

tu ten sam obyczaj, który tak uderza badaczy gildii średniowiecznych. Każdy cudzoziemiec, wchodzący do wsi kabylskiej, ma prawo zamieszkać tam przez zimę, a jego konie mogą w ciągu całej doby paść się na wspólnym pastwisku. W razie potrzeby taki cudzoziemiec może liczyć na pomoc niemal nieograniczoną. Tak np. podczas głodu w roku 1867–1868 Kabyle przyjęli i karmili bardzo wielu zgłodniałych, chroniących się do ich wsi – nie robiąc przy tym żadnych różnic, jeśli chodziło o ich pochodzenie. W okręgu Dellys zgromadziło się w ten sposób nie mniej niż 12.000 ludzi przybyłych z Algierii a nawet z Maroka i wszyscy byli żywieni. Podczas gdy w Algierii ludzie ginęli z wycieńczenia, na ziemi kabylskiej nie było ani jednego wypadku śmierci głodowej. Dżemmy robiły wszystkie wysiłki możliwe i nie cofały się przed żadnymi ofiarami, byleby tylko przyjść z pomocą nieszczęśliwym, nie domagając się przy tym żadnego współdziałania rządowego bynajmniej nie narzekając. Uważali to za swój naturalny obowiązek. I gdy w stosunku do osadników europejskich trzeba było uciekać się do najrozmaitszych środków policyjnych w celu niedopuszczenia do kradzieży i nieporządków, wywoływanych przez taki napływ cudzoziemców, na terytorium kabylskim żadne tego rodzaju środki nie były potrzebne. Dżemmy nie potrzebowały ani pomocy, ani opieki z zewnątrz.

Wspomnę tu jeszcze o dwóch szczególnych znamionach kabylskich; mianowicie – o anai czyli o opiece, którą otoczone są studnie, kanały irygacyjne, place targowe, niektóre drogi itp. na wypadek wojny, i o tym, co nazywa się sof. Anaja – to szereg instytucji, mających na celu zarówno zmniejszenie szkód wyrządzonych przez wojnę, jak zapobieganie konfliktom. Tak np. plac targowy jest anaja, jeśli znajduje się na granicy i jest miejscem spotkania Kabylów z cudzoziemcami. Nikt nie ośmiela się zakłócić spokoju na takim targowisku i jeśli zdarzy się waśń, jest ona natychmiast uspokajana przez obecnych tam cudzoziemców. Droga wiodąca do wsi od źródła, skąd kobiety niosą wodę, również jest anaja w czasie wojny; przykładów takich można, by podać więcej. Co się tyczy sof, jest to bardzo rozpowszechniona forma zrzeszenia, pokrewna średniowiecznym gildiom i Bürgerschaftom a także zrzeszeniom pomocy wzajemnej dla celów najrozmaitszych – umysłowych, politycznych lub rozrywkowych – którym nie może zadość uczynić miejscowa organizacja wiejska, klanowa lub związkowa. Sof nie zna granic kraju; członkowie jego pochodzą z najrozmaitszych wsi, a nawet spośród cudzoziemców; stowarzyszenie opiekuje się swym członkiem w najrozmaitszych okolicznościach życia. Jest to próba dopełnienia zrzeszeń terytorialnych przez zrzeszenia pozaterytorialne, dające wyraz pokrewieństwom i wspólnotom istniejącym poprzez granice. Widzimy więc, że międzynarodowe zrzeszenie upodobań i poglądów indywidualnych, uważane za szczególne znamię życia współczesnego, pochodzeniem swym sięga starożytności barbarzyńskiej.

Górale kaukasky dostarczają tutaj również ciekawych przykładów. Prof. Kowalewski badając obyczaje Osetyńców, ich "wielkie rodziny", gminy i pojęcia prawne – miał możliwość w swym dziele "Sowremiennyj obyczaj i drevnieje prawo" przeprowadzić paralelę pomiędzy podobnymi urządzeniami u różnych barbarzyńców i w ten sposób sięgnął do źródeł feudalizmu. Badając inne szczepy kaukaskie możemy zajrzeć w dzieje narodzin wspólnoty wiejskiej, a mianowicie w ten okres, kiedy nie opierała się ona na wspólnym pochodzeniu, na plemieniu, lecz stanowiła dobrowolny związek oddzielnych rodzin. Tak było w nie-

których wsiach Chewsurów, którzy składają przysięgę "wspólnoty i braterstwa". W innej części Kaukazu, w Dagestanie, widzimy rozwój stosunków feudalnych pomiędzy dwoma plemionami przy równoczesnym zachowaniu w obydwóch wspólnoty wiejskiej a nawet szczątków klas rodowych; daje to nam przykład tych form, które rozwinęły się we Włoszech i w Galii po podbiciu tych krajów przez barbarzyńców. Lezginowie będący zwycięzcami panującymi nad wsiami gruzińskimi i tatarskimi w obwodzie Zakatałskim, bynajmniej nie poddali ich panowaniu poszczególnych rodzin, utworzyli oni klan feudalny, obejmujący dzisiaj dwanaście tysięcy gospodarstw w trzech wsiach, i posiadają wspólnie nie mniej niż dwadzieścia wsi gruzińskich i tatarskich. Zwycięzcy podzielili ziemię pomiędzy klanami, klany zaś podzieliły ją równo pomiędzy rodzinami; nie mieszały się jednak do dzemmy swych poddanych, przestrzegających wciąż jeszcze zwyczajów opisywanych przez Juliusza Cezara: Dżemma co rok decyduje, jaka część wspólnej ziemi ma być uprawiana i część ta dzielona jest pomiędzy wszystkie rodziny, przy czym oddzielne działki są wyznaczane za pomocą losowania. Warto tu zaznaczyć, że jakkolwiek pomiędzy Lezginami (żyjącymi w ustroju własności prywatnej, jeżeli chodzi o ziemię i własności wspólnej, jeżeli chodzi o chłopów pańszczyźnianych) jest stosunkowo dużo proletariuszy, nie ma ich prawie wcale pomiędzy pańszczyźnianymi chłopami gruzińskimi wciąż jeszcze wspólnie władającymi ziemią. Co się tyczy prawa obyczajowego górali kaukaskich, to jest ono niemal takie samo jak prawo longobardzkie lub salickie frankońskie, i zapoznanie się z nim może nam wyjaśnić niejedyn ciemny rys procedury sądowej dawnych barbarzyńców. Jako ludzie bardzo wrażliwi, czynią oni wszystko, co mogą, aby uniknąć waśni kończących się tragicznie. Tak np. Chewsurowie dla bardzo błahych powodów chwytają za miecz, jeśli jednak stanie pomiędzy nimi kobieta i rzuci chustkę, noszoną zwykle na głowie, miecze natychmiast wracają do pochew i kłótnia uspokaja się. Chusta z głowy kobiecej jest anaja. Jeśli by waśń nie ustała a zakończyła się morderstwem, rekompensata pieniężna jest wówczas tak duża, że napastnik będzie zrujnowany na całe życie – chyba, że zostanie zaadoptowany przez rodzinę pokrzywdzony; jeśli zaś chwycił za miecz z powodów błahych i poranił przeciwnika, na zawsze traci szacunek wśród swoich. We wszystkich sporach sprawę ujmują w ręce pośrednicy. Spomiędzy członków klanu wybierają oni sędziów – w sprawach drobniejszych sześciu, a w ważniejszych od dziesięciu do piętnastu; badacze rosyjscy twierdzą, że sędziowie ci są bardzo sprawiedliwi. Przysięga ma tak duże znaczenie, że ludzie cieszący się ogólnym szacunkiem są zwalniani od niej: wystarczy tu proste stwierdzenie faktu, tym bardziej, że w sprawach ważnych Chewsura nigdy nie cofa się przed przyznaniem się do winy (mam na myśli Chewsurę, nietkniętego jeszcze przez cywilizację). Przysięgę stosuje się w tych przypadkach, kiedy – jak np. w sporach o własność – zachodzi potrzeba pewnego rodzaju oceny, będącej dopełnieniem prostego stwierdzenia faktów; w tych razach ludzie, których badanie będzie miało znaczenie decydujące, postępują z zachowaniem wielkiej ostrożności. W ogóle jest rzeczą niewątpliwą, że w wewnętrznych stosunkach kaukaskich społeczeństw barbarzyńskich bynajmniej nie brak uczciwości i poszanowania prawa.

Szczypty afrykańskie dostarczają tak wiele przykładów społeczeństw stojących na wszystkich stopniach rozwojowych – od wspólnoty wiejskiej do barbarzyńskiej monarchii despotycznej – że muszę zaniechać tu zamiaru dania krótkiego porównawczego opisu

ich instytucji. Wystarczy powiedzieć, że nawet pod najokrutniejszym despotyzmem królewskim zgromadzenia wiejskie i ich prawa obyczajowe są czynnikiem decydującym w bardzo wielu sprawach. Prawo państwowe upoważnia króla do zabicia każdego z poddanych dla prostego kaprysu lub choćby dla zaspokojenia swego żarłocstwa; jednocześnie jednak ludowe prawo obyczajowe wciąż jeszcze utrzymuje tę samą sieć instytucji pomocy wzajemnej, jakie istniały u innych barbarzyńców lub u naszych przodków. Przy czym u niektórych szczepów (w Bornu, w Ugandzie, w Abisynii) szczególnie zaś u Bogosów znajdujemy obyczaje będące przejawem uczuć bardzo rozwiniętych i delikatnych.

Wspólnoty wiejskie dawnych mieszkańców obydwóch Ameryk posiadają ten sam charakter. Tupijowie brazylijscy mieszkali w "długich domach" zajmowanych przez cały klan; wspólnie uprawiali swe pola zbożowe i maniokowe. Podobnie Araniowie, dużo bardziej posunięci w cywilizacji, zwykle wspólnie uprawiali swe pola. Nie inaczej postępowali Uka-gowie, którzy przy swym systemie komunizmu pierwotnego i "długich domów" umieli budować dobre drogi i tak rozwinęli wiele gałęzi przemysłu domowego, że bynajmniej nie ustępowały one średniowiecznemu przemysłowi europejskiemu. Wszystkie te szczepy żyły pod tym samym prawem obyczajowym, którego przykłady podaliśmy na stronicach poprzednich. Na drugim krańcu znajdujemy feudalizm Malajczyków, który niezdolny był wytepić negarię, czyli wspólnotę wiejską z jej wspólnym władaniem ziemią, i ze zwyczajem podziału ziemi między oddzielne negarie plemienia. U Alfurów z Minahasa znajdujemy wspólną uprawę ziemi z płodozmianem; u indyjskiego szczepu Wyandotów spotykamy periodyczny podział ziemi wewnątrz plemienia i uprawę klanową; w tych częściach Sumatry, gdzie instytucje muzułmańskie nie zniszczyły jeszcze starej organizacji, znajdujemy "wielką rodzinę" (suka) i wspólnotę wiejską (kota), rozciągające swe władanie nawet na te części ziemi, które były wykarczowane bez ich przyzwolenia. Widzimy z tego, że wszystkie obyczaje pomocy wzajemnej lub mające na celu zapobieganie zemstom i wojnom, tak znamienne dla wspólnoty wiejskiej, są nadzwyczajnie rozpowszechnione. Widzimy nawet, że im pełniejsze jest wspólne władanie ziemią, im dalej od własności prywatnej, tym łagodniejsze są obyczaje ludzkie. De Stuers twierdzi, że im mniej wspólnota wiejska była zdławiona przez zdobywców, tym mniejsze były nierówności majątkowe między ludźmi i tym łagodniejsze były przepisy lextalionis; i przeciwnie – gdzie wspólnota wiejska została zniszczona całkowicie, tam despotyczni władcy panują najbardziej niepodzielnie. Jest to zupełnie naturalne. I gdy Waitz zauważył, że szczepy, które utrzymały związki plemienne, stoją na wyższym stopniu rozwoju i posiadają literaturę bogatszą niż szczepy, u których dawne związki rozpadły się – podkreślił tylko to, co mogło być z góry przewidziane.

Spółczenstwa barbarzyńskie są tak podobne do siebie poprzez wszystkie rasy i klimaty, że podawanie dalszych przykładów byłoby wprost nużące. Rozwój ludzkości odbywał się z zabójczą jednostajnością. Gdy organizacja klanowa była atakowana od wewnątrz przez oddzielną rodzinę, od zewnątrz zaś przez napływ nowych klanów i konieczność przyjmowania cudzoziemców najrozmaitszego pochodzenia – zrodziła się wspólnota wiejska oparta na pewnym terytorium. Ta nowa instytucja, rozwinięta w sposób naturalny z instytucji ją poprzedzającej – mianowicie z klanu – umożliwiła barbarzyńcom przejście przez najbardziej niespokojny okres dziejowy, nie rozpadając się na rodziny oddzielne, które nie-

wątpliwie byłyby pokonane w walce o byt. W nowej organizacji rozwinęły się nowe formy kulturalne; rolnictwo doszło do tak wysokiego stopnia rozwoju, że bardzo wiele ludów nie przekroczyło go do dnia dzisiejszego; wysoko również rozwinął się przemysł domowy. Człowiek opanował puszcze, przeciął ją drogami i od starych wsi oddzieliły się nowe osiedla. Powstały place targowe, miejsca obronne a także miejsca kultu publicznego. Powoli rozwinęły się pojęcia związków szerszych, obejmujących całe szczepy a nawet wiele szczepów różnego pochodzenia. Stare pojmowanie sprawiedliwości, opierające się głównie na odwecie, stopniowo uległo przemianom: w miejsce odwetu zjawiono się wynagrodzenie pieniężne. Prawo obyczajowe, będące do dnia dzisiejszego prawem życia codziennego dwóch trzecich ludzkości, wypracowano w tej właśnie organizacji; z okresu tego pochodzi również system zwyczajów mających na celu obronę mas przed mniejszościami, których potęga wzrastała równoległe do możliwości gromadzenia bogactw w rękach prywatnych. Takie były nowe formy masowych dążeń do zapewnienia pomocy wzajemnej. I ekonomiczny, umysłowy i moralny postęp, dokonany przez ludzkość w tej nowej formie życia społecznego, był tak wielki, że państwa – gdy zostały powołane do życia – po prostu stanęły na stanowisku interesów mniejszości i objęły ich funkcje pod względem prawnym, ekonomicznym i administracyjnym – funkcje, które wspólnota wiejska wykonywała przedtem, dla dobra powszechnego.

Rozdział 5. Pomoc wzajemna w mieście średniowiecznym (1)

Towarzystwo i potrzeba pomocy wzajemnej są czymś tak nieodłącznym od natury ludzkiej, że w żadnym okresie dziejów nie znajdujemy ludzi, żyjących małymi rodzinami oddzielnymi, pomiędzy którymi istniałaby walka o środki do życia. Wprost przeciwnie – jak widzieliśmy w rozdziałach poprzednich – badania współczesne wykazują, że od początku swego życia przedhistorycznego ludzie gromadzili się w rody, klany lub plemiona, utrzymywane w całości przez pojęcie pochodzenia wspólnego i przez kult wspólnych przodków. Przez całe tysiąclecia organizacja ta utrzymywała ludzi w gromadzie, jakkolwiek nie istniała żadna władza mogąca ją narzucić. Na całym późniejszym rozwoju ludzkości odbił się głęboki jej wpływ. I kiedy później więzy pochodzenia wspólnego rozluźniły się pod naporem wielkich wędrówek, i kiedy rozwój rodziny oddzielnej wewnątrz samego klanu rozsądził jego dawną jedność, zjawily się nowe formy organizacji, oparte na zasadzie terytorialnej: powstaje wspólnota wiejska. Instytucja ta łączy znowu ludzi przez długi szereg wieków, pozwala na dalszy rozwój instytucji społecznych, i umożliwia przejście przez najczarniejsze okresy dziejowe; dzięki niej ludzkość nie rozpada się na luźne zbiorowiska rodzin i jednostek, posuwa się dalej w rozwoju i wypracowuje drugorzędne instytucje społeczne, utrzymujące się niekiedy aż do dnia dzisiejszego. Wypada nam teraz przyjrzeć się dalszemu rozwojowi tego samego odwiecznego dążenia do pomocy wzajemnej. Jeśli weźmiemy tzw. barbarzyńskie wspólnoty wiejskie w okresie pojawienia się nowej cywilizacji po upadku Państwa Rzymskiego, znajdziemy nowe postacie zaspokajania potrzeb społecznych, występujące masowo w średnich wiekach, szczególnie zaś w gildiach i w grodach średniowiecznych.

Człowiek bynajmniej nie jest zwierzęciem tylko walczącym, jak to głoszą o barbarzyńcach z pierwszych wieków naszej ery (podobnie mówiono o niektórych Mongołach, Afrykańczykach, Arabach itd., wciąż jeszcze żyjących w tym samym stadium barbarzyństwa) – i zawsze przekładał pokój nad wojnę. Z wyjątkiem nielicznych plemion, które podczas wielkich wędrówek zostały zepchnięte na wyżyny bezpłodne i w ten sposób zmuszone do periodycznego napadania na szczęśliwszych sąsiadów – znakomita większość Teutonów, Sasów, Celtów, Słowian i innych, gdy tylko zdobyła stałe siedziby, wracała do uprawy roli i do swoich stad. Najwcześniejsze prawa barbarzyńskie przedstawiają nam społeczeństwa oparte na pokojowych gminach rolnych bynajmniej nie będące hordami ludzi, pozostających w nieustannej walce wzajemnej. Ci barbarzyńcy pokryli kraj wsiami i gospodarstwami; wykarczowali lasy, przerzucili mosty nad potokami, skolonizowali puszcze i pustynie;

wyprawy wojenne pozostawiali zbrojnym drużynom ludzi niespokojnych, zgromadzonych wokół tymczasowych wodzów przenoszących się z miejsca na miejsce i ofiarowujących swoje zdolności oraz wiedzę wojenną tym ludom, które pragnęły za wszelką cenę pokoju. Gromady wojowników przenosiły się z miejsca na miejsce, załatwiały porachunki rodzinne, jednocześnie jednak masy ludowe uprawiały ziemię, na ogół mało interesując się tymi, którzy chcieli nad nimi panować aż do chwili, kiedy niezależność wspólnoty wiejskiej była zagrożona. Nowi mieszkańcy Europy powoli rozwinęli system władania ziemią i uprawiania jej, dotychczas jeszcze stosowany przez setki milionów ludzi; na miejsce plemienną zemsty krwawej wypracowali cały system rekompensat za krzywdy; stworzyli zaczątki przemysłu; i gdy tylko umocnili palisadami i fosami swe wsie, gdy wzniesli baszty lub forty ziemne, poza którymi można się było schować na wypadek nowego napadu nieprzyjaciół, natychmiast pozostawiali sprawę obrony tych miast i fortów tym, którzy z wojny uczynili swoją specjalność.

Tak więc punktem wyjścia dla poddania się barbarzyńców pokojowych późniejszym naczelnikom wojennym była właśnie pokojowość tych barbarzyńców, nie zaś ich instynkty wojownicze. Niewątpliwie sam sposób życia drużyn zbrojnych zapewniał im większą łatwość bogacenia się, niż uprawa roli w gminach wiejskich. Aż do dzisiejszego dnia widzimy wyprawy zbrojne, udające się do afrykańskich Matabelów w celu odebrania im bydła, jakkolwiek ludy te pragną tylko pokoju i gotowe są drogę pokój opłacić. Drużyny zbrojne dawniejsze na pewno nie miały więcej skrupułów niż współczesne. W ten sposób zdobywano stada bydła, żelazo (będące wówczas w bardzo dużej cenie) i niewolników. Chociaż większość tych zdobyczy była natychmiast trwoniona na owych wielkich ucztach, o których poeci tak wiele opowiadają – zawsze jednak pewna część zagrabionych bogactw służyła do dalszego bogacenia się. Nie brak było ziemi nie zajętej i nie brak ludzi chcących ją uprawiać, byle by tylko dostarczono im bydła i narzędzi. Całe wsie zrujnowane przez epidemie ludzkie czy bydłowe, przez pożary lub przejście nowych imigrantów, często były opuszczane przez dawnych mieszkańców, którzy osiedlali się gdzie indziej. Do dzisiejszego dnia podobne rzeczy spotkać możemy w Rosji. I jeśli którykolwiek z hirdmenów drużyn zbrojnych ofiarowywał chłopom na początek nieco bydła i nieco żelaza na pług lub sam pług, jeśli obiecywał obronę przed najściem ludzi obcych, jeśli wreszcie zapewniał na kilka lat zwolnienie od wszelkich danin – chłopci chętnie osiedlali się na ziemiach im wskazanych. I gdy po szeregu ciężkich walk z nieurodzajami, powodziami i zarazami pionierzy ci poczynały wypłacać się z długów, wpadali w stałą zależność pańszczyźnianą od opiekuna swej ziemi. W ten sposób gromadziły się bogactwa, a potęga zawsze idzie za bogactwem. Im bardziej jednak wnikamy w życie i obyczaje owych czasów, szóstego i siódmego stulecia naszej ery, tym bardziej przekonywamy się, że dla ustalenia władzy garstki nielicznej trzeba było czegoś innego niż tylko bogactwa i siły zbrojnej. Tym czymś innym było poczucie prawa i sprawiedliwości, dążenie mas do utrzymania pokoju, do ustalenia tego, co uważali oni za sprawiedliwość, a co zapewniało naczelnikom drużyn zbrojnych – królom, książętom, kniaziom itp. – władzy, którą zdobyli ostatecznie w 200 lub 300 lat później. To samo pojęcie sprawiedliwości, jako zapłaty za krzywdę wyrządzoną, które rozwinęło się w okresie plemiennym, przechodzi teraz jak czerwona nić przez dzieje całego szeregu in-

stytucji. Bardziej niż czynniki militarne lub gospodarcze, staje się tą podstawą, na której ugruntowała się władza królów i panów feudalnych.

Rzeczywiście, jedną z głównych trosk wsi barbarzyńskiej – podobnie jak barbarzyńców współczesnych – są zabiegi około szybkiego zakończenia waśni i sporów powstających na tle panującego pojęcia sprawiedliwości. Gdy tylko powstała kłótnia, natychmiast gmina wglądała w nią i zgromadzenie ludowe, po wysłuchaniu sprawy, ustalało wysokość rekompensaty (Wergeld), jaką należało zapłacić osobie pokrzywdzonej lub jej rodzinie, a także wysokość grzywny należnej gminie za zakłócenie pokoju. Kłótnie wewnętrzne nietrudno było zażegnać w ten sposób. Gdy jednak powstawały nieporozumienia pomiędzy dwoma plemionami lub pomiędzy związkami plemion, pomimo wszystkich wysiłków, aby im zapobiec, wówczas niełatwo było znaleźć arbitra, którego decyzja byłaby przyjęta przez obydwie strony i uznana za bezstronną i opartą na znajomości prawa. Trudność była tym większa, że różne plemiona posiadały różne prawa obyczajowe, różną też stosowały rekompensatę w najrozmaitszych wypadkach. Toteż stało się rzeczą zwykłą, że arbitra szukano wśród rodzin lub plemion, o których mniemano, że przechowują stare prawa w całej czystości, że znają dobrze pieśni, święte przysłowia, sagi itp., przy których pomocy przechowywano prawo w pamięci. Przechowywanie prawa stało się w ten sposób pewnego rodzaju "tajemnicą" starannie przekazywaną w rodzinach z pokolenia na pokolenie. Tak np. na Islandii i w innych krajach skandynawskich podczas każdego zgromadzenia narodowego (Althing) löwsögmáthr zwykle recytował z pamięci całe prawodawstwo w celu oświecenia zgromadzonych; w Irlandii zaś, jak wiadomo, istniała specjalna klasa ludzi znających stare tradycje i dzięki temu cieszących się wielkim uznaniem jako sędziowie. Podobnie, gdy dawne kroniki rosyjskie opowiadają, że szczepy północno-zachodniej Rosji zaniepokojone wzrastającymi u nich nieporządkami i powstawaniem "rodów przeciwko rodom", zwróciły się do waringiarów normandzkich, aby byli ich sędziami i dowódcami drużyn zbrojnych, gdy dalej widzimy, że kniaziowie wybierani byli w ciągu 200 lat zawsze z tej samej rodziny normandzkiej – dojszć musimy do wniosku, że Słowianie tak ufali Normanom właśnie za ich lepszą znajomość prawa, uznawanego również za dobre przez różne grupy słowiańskie. W tym wypadku posiadanie runów, przy których pomocy można było przekazywać dawne obyczaje, było wielkim przywilejem Normanów; w innych wypadkach jednak mamy dane do przypuszczenia, że na sędziów powoływano najstarszą gałąź szczepu, domniemaną gałąź macierzystą i wyroki jej uznawano za sprawiedliwe. Jednocześnie w epoce późniejszej widzimy skłonność do wybierania sędziów spośród duchowieństwa chrześcijańskiego, trzymającego się jeszcze zapomnianej dzisiaj zasady chrześcijańskiej, że odwet bynajmniej nie jest sprawiedliwością. W owych czasach duchowieństwo chrześcijańskie otwierało kościoły jako miejsca ucieczki dla tych, którzy chronili się przed krwawą zemstą i chętnie występowało w roli sędziów, przy czym zawsze przeciwstawiało się starej zasadzie plemiennej – "życie za życie", "rana za ranę". Słowem – im głębiej wnikamy w dzieje instytucji pradawnych, tym mniej znajdujemy podstaw dla militarnej teorii pochodzenia władzy. Przeciwnie władza, która później stała się źródłem tak wielkiego ucisku, powstała, jak się wydaje, z pokojowym dążeniem mas.

We wszystkich tych przypadkach grzywna, sięgająca niekiedy połowy całej rekompensaty, była własnością zgromadzenia ludowego i od niepamiętnych czasów używano jej na dzieła użyteczności publicznej lub na obronę całej gminy. Do dzisiejszego dnia pieniądze z grzywny mają takie właśnie przeznaczenie u Kabylów i niektórych szczepów mongolskich; mamy także dowody, że nawet po upływie kilku wieków grzywny sądowe w Pskowie oraz w niektórych miastach francuskich i niemieckich używane były na naprawę murów miejskich. Rozumie się samo przez się, że grzywna musiała być składana do rąk wydającego wyrok sędziego, który w zamian obowiązany był do utrzymywania drużyny zbrojnej, do obrony całego terytorium i do wykonywania wyroków. Było to obyczajem powszechnym w wieku, VIII i IX, nawet w tych wypadkach, gdy wydającym wyrok był biskup. Widzimy tu zaczątek tego, co dzisiaj nazywalibyśmy władzą sądową połączoną z władzą wykonawczą. Ale do tych tylko dwóch funkcji ograniczała się ściśle władza króla lub księcia, który bynajmniej nie był rozkazodawcą dla całego ludu; władza najwyższa wciąż należała do zgromadzenia ludowego i król nie był nawet wodzem milicji ludowej. Gdy lud chwycił za broń, na czele jego stawał dowódca specjalny, wybrany przez sam lud i bynajmniej nie będący podwładnym królewskim, lecz osobą równą mu w dostojenstwie. Król był panem tylko w swoim majątku osobistym. W językach barbarzyńskich słowo konung, koning lub cuning, odpowiadające łacińskiemu rex - król, nie posiada innego znaczenia oprócz czasowego wodza gromady ludzi. Dowódca flotylli łódek lub nawet jednego statku rozbójniczego był również konungiem i do dnia dzisiejszego przywódca rybaków w Norwegii nazywa się Notkong - król sieci. Cześć przywiązana do osoby króla nie istniała jeszcze i gdy zdrada rodu karana była śmiercią, za zabicie króla można było wpłacić rekompensatę: cała różnica polegała tylko na tym, że król był oceniany wyżej niż każdy wolny człowiek. I kiedy król Knu (Kanut) zabił kogoś ze swej własnej drużyny - jak mówi saga - zwołał wszystkich towarzyszy na zgromadzenie i uklękawszy prosił o przebaczenie. Przebaczone mu, musiał jednak zobowiązać się, że zapłaci dziewięciokrotną rekompensatę obyczajową, z czego 1/3 miała przyspaść w udziale jemu samemu, jako wynagrodzenie za stratę człowieka, 1/8 szła na rzecz krewniaków zabitego, a pozostała 1/3 (grzywna) na rzecz drużyny. Zanim ustaliła się świętość osoby królewskiej, zajść musiały bardzo głębokie zmiany w pojęciach obyczajowych - a to pod wpływem kościoła i prawa rzymskiego.

Dalsze badania stopniowego rozwoju władzy z wskazanych przez nas pierwiastków przekroczyłyby już granice tej pracy. Historycy tacy jak Green dla Anglii, Augustin Thierry, Michelet i Luchaire dla Francji, Kaufmann, Jansen, W. Arnold i nawet Nitzsch dla Niemiec, Leo i Botta dla Włoch, Bielajew, Kostomarow i ich uczniowie dla Rosji poza wielu innymi obszernie zajmowali się tym przedmiotem. Wykazali oni, jak ludy początkowo wolne i godzące się tylko na "karmienie" części swych obrońców wojennych stopniowo stawały się poddanymi swych opiekunów; jak "polecenie" się kościołowi lub panu stawało się często twardą koniecznością dla człowieka wolnego; jak każdy zamek biskupi lub książęcy stawał się gniazdem rozbójniczym - słowem, jak został narzucony feudalizm i jak wreszcie pochody krzyżowe, uwalniając poddanych niosących krzyż, dały pierwszą pobudkę do wyzwolenia ludowego. Wszystkiego tego nie potrzebujemy tutaj powtarzać, głównym bo-

wiem naszym celem jest ujawnianie twórczych zdolności mas występujących w instytucjach pomocy wzajemnej.

W czasie, gdy resztki wolności barbarzyńskiej ginęły w Europie, gdy zapanowały tysiące drobnych władców, ludzkość szła w kierunku tych teokracji i państw despotycznych, które nastąpić miały po rozpoczynającym cywilizację okresie barbarzyńskim; monarchie, które wówczas powstawały, przypominały to, co widzimy dzisiaj w Afryce, i życie europejskie zmieniło kierunek dotychczasowy. Weszło ono na drogi podobne do tych, jakie widzimy w miastach Grecji starożytnej. Z jednomyślnością, przez długi czas zadziwiającą historyków, zgromadzenia miejskie – aż do najmniejszych grodów włącznie – poczęły strząsać z siebie jarzmo panów świeckich lub kościelnych. Wieś ufortyfikowana powstała przeciwko zamkowi pańskiemu; zaczęło się od nieufności, potem doszło do walk i zamek uległ zburzeniu. Ruch przenosił się szybko z miejsca na miejsce, objął wszystkie miasta europejskie i w niepełna sto lat powołano do życia wolne miasta na wybrzeżach morza Śródziemnego, nad morzem Północnym i Bałtyckim, nad oceanem Atlantyckim – aż do fiordów skandynawskich; to samo powtórzyło się u podnóża Apenin i Alp, w górach Szwarcwaldu i w Karpatach oraz na równinach. Rosji, Węgier, Francji i Hiszpanii. Wszędzie widzimy takie same powstania, wszędzie posiadają one te same znamiona, przechodzą przez takie same okresy i kończą się w taki sam sposób. Wszędzie, gdzie ludzie znajdowali lub przynajmniej mieli nadzieję znaleźć opiekę w murach swego miasta, wiązali się w "sprzysiężenia", "bractwa" i w najrozmaitsze związki ożywione jedną, wspólną ideą i śmiało zmierzające ku nowemu życiu, opartemu na pomocy wzajemnej i wolności. A powodziło im się tak dobrze, że po trzystu lub czterystu latach całkowicie zmienili oblicze Europy. Kraje pokryły się pięknymi i wspaniałymi budowlami wyrażającymi wolne dążenia wolnych ludzi, budowlami niedoścignionymi dotychczas pod względem piękna i siły wyrazu; pokolenia owe pozostawiły po sobie w spuściźnie wszystkie sztuki i wszystkie rzemiosła, które w naszej cywilizacji późniejszej uległy tylko rozwojowi. Gdy usiłujemy odkryć siły, dzięki którym osiągnięto te olbrzymie wyniki, odnajdujemy je nie w geniuszu bohaterów indywidualnych; nie w potężnej organizacji wielkich państw i nie w politycznych zdolnościach ich władców, lecz po prostu w tym samym prądzie pomocy wzajemnej, który widzieliśmy przy pracy we wspólnocie wiejskiej, a który w wiekach średnich wzmocnił się tylko i przybrał nowe formy, zwane gildiami i cechami.

Wiemy dzisiaj dobrze, że feudalizm bynajmniej nie pociągał za sobą rozkładu wspólnoty wiejskiej. Jakkolwiek pan feudalny potrafił narzucić chłopom robotę pańszczyźnianą i przywłaszczył sobie prawa należne przedtem wyłącznie wspólnotie (cła, prawo martwej ręki, opłaty związane z dziedziczeniem i małżeństwem), chłopci jednak utrzymali podstawowe prawa gminne: wspólne władanie ziemią i prawo własnego sądu. W czasach dawniejszych, gdy król posyłał swego urzędnika do wsi, chłopci przyjmowali go z mieczem w jednej ręce, a z kwiatami w drugiej i pytali – jakie prawo ma zamiar stosować: czy to prawo, które zastał we wsi, czy też to, które przynosi ze sobą? W pierwszym przypadku wręczali mu kwiaty, w przeciwnym zaś walczyli z nim. Później byli zmuszeni przyjmować urzędników królewskich i nie mieli możliwości im się przeciwstawić; zachowali jednak sądownictwo gromadzkie, sami mianowali sześciu, siedmiu lub dwunastu sędziów, którzy występowali

wobec zgromadzenia łącznie z sędzią pańskim jako arbitrzy. W większości przypadków zadanie sędziego ograniczało się do potwierdzenia wyroku i do pobrania grzywny obyczajowej. To nadzwyczaj cenne prawo własnego sądu, będące w owych czasach równoznaczne z samorządem, utrzymało się poprzez wszystkie walki; nie zdołali obalić go nawet prawnicy otaczający Karola Wielkiego i zmuszeni byli je potwierdzić. Jednocześnie we wszystkich sprawach dotyczących majątku gminnego gromada utrzymała swoje pierwszeństwo i niejednokrotnie domagała się posłuszeństwa od samego pana. Najpełniejszy nawet rozwój feudalizmu nie był w stanie złamać tego oporu. Wspólnota wiejska trzymała się mocno i kiedy w wieku IX i X napaści Normanów, Arabów i Hunnów dowiodły, że drużyny wojskowe niewiele zdziałać mogą dla obrony kraju, począł się w całej Europie ruch zmierzający ku umocnieniu wsi palisadami i fortami. Wzniesiono wówczas wyłącznie siłami wspólnot wiejskich całe tysiące małych twierdz; skoro zaś tylko wzniesiono wały obronne, natychmiast rodził się nowy interes wspólny dokoła nowego przedmiotu czci – murów miejskich – wieś zrozumiała, że dzięki tym wałom może bronić się od napaści wszelkich nieprzyjaciół zewnętrznych – zarówno panów jak cudzoziemców. Wewnątrz tych fortec gminnych zaczęto rozwijać się nowe życie wolne. Zrodziło się miasto średniowieczne.

Nie ma drugiego okresu dziejowego, który mógłby nam dostarczyć lepszych przykładów potęgi twórczej mas ludowych, niż wiek X i XI, kiedy to ufortyfikowane wsie i torfowiska, będące "oazami pośród puszczy feudalnej", zaczęły wyzwalać się spod jarzma pańskiego i powoli wypracowywały organizację miejską. Niestety jednak, jest to okres, po którym pozostało szczególnie mało dokumentów dziejowych; znane nam są jego wyniki, drogi jednak wiodące do nich giną w tajemnicy. Pod opieką murów miejskich zgromadzenia ludowe – bądź zupełnie, niezależne, bądź też kierowane przez najwybitniejsze rodziny szlacheckie czy kupieckie – zdobywały i utrzymywały dla siebie prawo wybierania obrońcy wojennego (defensor) i najwyższego sędziego miejskiego lub co najmniej prawo wyboru spośród kandydatów na to stanowisko. We Włoszech młode gminy miejskie nieustannie wypędzały swych defensorów lub domini, ostro zwalczając tych, którzy się opierali. To samo działo się na Wschodzie. W Czechach bogaci i biedni na równych prawach brali udział w wyborach; w miastach rosyjskich wiece raz po raz wybierały wodzów z tej samej rodziny Rurykowiczów, układały się z nimi i wypędzały kniaziów, jeśli ci wywołali ich niezadowolenie. W tym samym czasie w większości miast zachodniej i południowej Europy zapanował zwyczaj brania na defensora biskupa wybranego przez samo miasto; biskupi ci niejednokrotnie kierowali obroną "immunitetów" miejskich, bronili wolności miejskiej i znaczna ich część została uznana po śmierci za świętych, za patronów miast poszczególnych. Takim jest np. św. Uthelred dla Winchesteru, św. Ulryk dla Augsburga, św. Wolfgang dla Ratisbony, św. Herbert dla Kolonii, św. Wojciech dla Pragi itd.; również niemało mnichów i przeorów klasztornych zostało świętymi za obronę praw ludowych. Pod wodzą swych defensorów, bądź świeckich, bądź duchownych, mieszczanie zdobyli dla swoich zgromadzeń ludowych sądowy i administracyjny samorząd.

Cały postępek wyzwalań się polegał na szeregu nieuchwytnych aktów poświęcenia dla dobra ogólnego, dokonywanych przez ludzi szarych, bohaterów nieznanych, których imiona nie są nawet przez historię przechowane. W młodych miastach właśnie zrodził się ten

dziwny ruch, zwanym "pokojem bożym" (treuga Dei), przy którego pomocy masy ludowe usiłowały położyć kres nigdy nie kończącym się walkom rodzin szlacheckich; biskupi i mieszczanie próbowali w ten sposób doprowadzić szlachtę do pokoju, który panował wewnątrz murów miejskich. Już w owym czasie handlowe miasta włoskie, a szczególnie Amalfi (posiadające konsulów z wyboru już od roku 844 i zmieniające swych dożów w wieku X), wypracowały obyczajowe prawo handlowe i morskie, które później stało się wzorem dla całej Europy. Rawenna wypracowała organizację cechową, Mediolan zaś, który przeszedł rewolucję już w roku 980, stał się poważnym ośrodkiem handlowym: jego rzemiosła cieszyły się pełną, niezależnością już od wieku XI. Podobne rzeczy spotykamy w Bruges i w Gandawie; również w niektórych miastach francuskich Mabl lub Forum stało się instytucją całkowicie niezależną. W tym samym okresie rozpoczyna się również praca nad ozdobieniem miast dziełami architektonicznymi, które podziwiamy do dnia dzisiejszego i które są wymownym dowodem ówczesnego ruchu umysłowego. Jak pisze w swojej kronice Raul Glaber – "bazyliki były wszędzie odbudowane i najpiękniejsze budowle średniowieczne pochodzą właśnie z tego okresu." Cudowny stary kościół w Bremie wzniesiony był w wieku IX, św. Marek w Wenecji był ukończony w roku 1071, wspaniała zaś katedra Pizańska w roku 1063. Rzeczywiście ruch umysłowy, nazywany Odrodzeniem wieku XII lub Racjonalizmem wieku XII, będący poprzednikiem Reformy, pochodzi właśnie z tego okresu, kiedy większość miast była jeszcze wciąż grupami małych wspólnot wiejskich, otoczonych murami.

Potrzeba jednak było jeszcze innego czynnika oprócz wspólnoty wiejskiej, aby tym rozwijającym się ośrodkom wolności i oświaty nadać jedność myśli i czynu, aby obdarzyć je inicjatywą, będącą ich główną potęgą w wieku XII i XIII. Łącznie z powstającą różnorodnością zajęć, rzemiosł i sztuk, łącznie z rozwojem handlu w krajach odległych zjawiała się potrzeba nowych form organizacyjnych; te nowe formy organizacyjne i ten nowy czynnik rozwoju – to były gildie. Niezliczone tomy napisano już o związkach, znanych pod nazwą gildii, bractw, związków przyjaźni, "drużestw" i arteli w Rosji, esnaifów w Serbii i w Turcji, ankari w Gruzji itd.; związki te rozwinęły się nadzwyczajnie w miastach średniowiecznych i odegrały pierwszorzędną rolę w sprawie ich wyzwolenia. Potrzeba było jednak 60 lat pracy historyków, abyśmy mogli zrozumieć powszechność tej instytucji. Dopiero dzisiaj, gdy zbadano i ogłoszono setki ustaw gildyjnych i gdy poznano ich stosunek do rzymskich kolegiów i do dawniejszych związków w Grecji i w Indiach, możemy twierdzić na pewno, że bractwa te przedstawiały dalszy rozwój tych samych zasad, które niegdyś działały w rodach i wspólnocie wiejskiej. Doskonałym przykładem tego, czym były bractwa średniowieczne, służyć mogą te związki czasowe, jakie się tworzyły na pokładzie statku. Gdy statek hanzeatycki przepłynął pierwsze pół dnia podróży po wyjściu z portu, kapitan zwoływał na pokład całą załogę oraz pasażerów i miał do nich przemowę następującą (według współczesnego opisu):

"Oto jesteśmy teraz na łasce Boga i fal – mówił on – musimy być wszyscy sobie nawzajem równi. Abyśmy zaś pośród burz, fal morskich, korsarzy i innych niebezpieczeństw mogli dopłynąć szczęśliwie do kresu podróży, musimy ściśle

przestrzegać porządku. Winniśmy modlić się o pomyślne wiatry i szczęśliwą podróż, a także zgodnie z prawem morskim powołać sędziów”.

Po tym przemówieniu całe zgromadzenie wybierało wójta i czterech ławników (scabini) mających spełniać funkcje sędziów. Przy końcu podróży wójt i ławnicy składali swoje urzędy i zwracali się do zgromadzenia z następującym przemówieniem: ”Bez względu na to, co zaszło na pokładzie, musimy uważać za umarłe wszystko to, co było między nami. Wyroki, które wydaliśmy, miały na celu sprawiedliwość. Oto dlaczego w imieniu sprawiedliwości prosimy was, abyście zaniechali wszelkiej niechęci przeciw bliźnim i przysięgli na chleb i sól, że nic o nich złego myśleć nie będziecie. Jeśli by jednak, mimo to wszystko ktokolwiek uważał się za pokrzywdzonego, niech odwoła się o sprawiedliwość do wójta na lądzie przed zachodem słońca.” Po wylądowaniu sakiewka zawierająca pieniądze z grzywien oddawana była wójtowi portowemu do podziału pomiędzy biednych.

Ten prosty opis lepiej zapewne niż cokolwiek bądź innego oddaje ducha gildii średniowiecznej. Organizacje takie powoływane były do życia wszędzie, gdzie jaka bądź grupa ludzi – rybaków, myśliwych, kupców podróżujących, budowniczych lub osiadłych rzemieślników – zebrała się razem dla wspólnych celów. Na pokładzie statku panowała władza kapitana, lecz dla samego powodzenia wspólnego przedsięwzięcia, wszyscy znajdujący się na statku, bogaci i biedni, kapitan i majtkowie, panowie i słudzy, godzili się na równość w stosunkach wzajemnych, godzili się na to, że będą po prostu ludźmi i że wszystkie powstające między nimi spory przedłożą sędziom wspólnie obranym. Podobnie gdy pewna liczba rzemieślników - murarzy, stolarzy, kamieniarzy itd. – zesła się w celu budowania, dajmy na to, katedry, wszyscy oni należeli do miasta posiadającego swoją organizację polityczną, a poza tym każdy należał do własnego cechu; poza tym jednak wszyscy razem tworzyli nowy związek, mający na celu przedsięwzięcie wspólne, tworzyli całość społeczną, jakkolwiek czasową, zakładali gildię dla wzniesienia katedry. To samo widzimy do dnia dzisiejszego w kabylskiej sof. Kabyle posiadają swą wspólnotę wiejską, organizacja ta jednakże nie wystarcza dla wszystkich wspólnych celów, politycznych, handlowych i osobistych, i powstaje bractwo ściślejsze.

Co się tyczy społecznego charakteru gildii średniowiecznej, to pierwsza lepsza ustawa gildyjna może dać o nim pojęcie. Jeżeli np. weźmiemy jakiegokolwiek prawa z dawnej gildii duńskiej, znajdziemy tam przede wszystkim stwierdzenie uczuć ogólnobraterskich, które panować winny w gildii; dalej idą paragrafy dotyczące sądownictwa autonomicznego na wypadek waśni powstających między dwoma braćmi lub pomiędzy bratem i obcym; i wreszcie wyliczone są obowiązki braci. Jeśli spali się dom brata lub brat straci statek, albo też poniesie straty, podczas pielgrzymki – wszyscy bracia muszą przyjść mu z pomocą. Jeśli brat zachoruje niebezpiecznie, dwaj bracia muszą siedzieć przy łóżku, dopóki nie wyzdrowieje, w razie zaś śmierci muszą go pochować – zadanie bynajmniej nie błahe w owym czasie epidemii – winni także odprowadzić go do kościoła i na cmentarz. Po śmierci brata muszą także zaopiekować się jego dziećmi; wdowa niejednokrotnie stawiała się ”siostrą” gildii.

Te dwa główne znamiona występowały we wszystkich bractwach, zawiązanych, dla jakiegokolwiek celu. Zawsze członkowie uważali się wzajem za braci i nazywali się braćmi i siostrami; wszyscy też byli równi wobec gildii. Często posiadali wspólnie jakiś majątek (bydło, ziemię, budowle, miejsca kultu, kasę). Wszyscy bracia przysięgali, że zaniechają wszelkich dawnych waśni i zobowiązując się do tego, że nigdy kłócić się nie będą, przestrzegali również, aby żadna waśń nie wyrodziła się w krwawą zemstę lub w sprawę sądową wytoczoną przed sądem zewnętrznym, nie przed sądem braterskim. Jeśli zaś który z braci był wciągnięty w kłótnię z człowiekiem stojącym poza gildią, gildia winna była mu pomóc, bez względu na to, czy miał słuszność, czy nie; to znaczy, że niezależnie od tego, czy był on niesłusznie posądzony o napaść, czy też rzeczywiście był napastnikiem, gildia współdziałała w załagodzeniu całej sprawy. Bracia bronili go do końca, o ile sprawa nie dotyczyła zarzutu napaści podstępnej – w tym ostatnim wypadku napastnik uważany był za wyjątego spod prawa. Jeśli krewni człowieka pokrzywdzonego chcieli się mścić, bractwo dostarczało swemu członkowi znajdującemu się w niebezpieczeństwie, konia, na którym mógłby uciec, lub czółna, pary wioseł, albo też noża i krzesiwa; gdy pozostawał w mieście, towarzyszyło mu dwunastu braci dla obrony; jednocześnie zaś bractwo czyniło zabiegi w celu ułożenia się o rekompensatę. W razie potrzeby stawali w sądzie i zeznawali pod przysięgą, jeśli zaś oskarżony uznany został za winnego, ochraniaли go przed ostateczną ruiną, przed niewolą, grożącą mu za nie wypłacenie rekompensaty i rekompensatę tę wnosili za niego; ciężar ten ponosili wszyscy członkowie bractwa, zupełnie tak samo jak dawniej ponosili go wszyscy członkowie "rodu"; jedynie wtedy gdy brat sprzeniewierzył się swym braciom gildyjnym lub innym ludziom, wyłączano go z bractwa zaopatrując mianem nicponia, ("With a Nothing's name").

W średniowieczu tylko podstępna napaść uważana była za morderstwo. Krwawa zemsta, dokonana jawnie, była sprawiedliwością; zabicie kogoś w kłótni bynajmniej nie było morderstwem, o ile napastnik ujawniał chęć naprawienia krzywdy, jaką wyrządził.

Takie były myśli przewodnie tych bractw, które powoli rozszerzyły się na życie średniowieczne. Wiemy dzisiaj o istnieniu gildii we wszystkich możliwych zawodach; były gildie chłopów pańszczyźnianych, gildie ludzi wolnych, gildie obejmujące zarówno ludzi wolnych jak niewolnych; gildie powołane do życia wyłącznie w celu polowania, rybołówstwa, wypraw kupieckich i rozwiązujące się z chwilą dokonania tych czynności; były także gildie dla pewnych zawodów lub pewnych rzemiosł trwające wieki całe. W miarę wzrastającej złożoności życia mnożyły się również różne rodzaje gildii. Widzimy też nie tylko połączone w gildie kupców, rzemieślników, myśliwych i chłopów, lecz również księży, malarzy, nauczycieli szkół elementarnych lub uniwersytetów, gildie dla wykonywania przedstawień pasyjnych, dla budowy kościołów, dla rozwoju jakiejś "tajemnicy" lub pewnego kierunku w sztuce czy rzemiośle, wreszcie gildie dla celów rozrywkowych; były też gildie żebraków, katów, kobiet upadłych – zorganizowane wszystkie na tej samej zasadzie własnego sądownictwa i pomocy wzajemnej. Co się tyczy Rosji, posiadamy dzisiaj dowody, że samo jej ugruntowanie było w takim samym stopniu dziełem arteli myśliwych, rybaków i kupców, jak rodzących się wspólnot wiejskich; do dzisiejszego dnia cała Rosja pokryta jest artelami.

Spostrzeżenia powyższe udowadniają nam całą błędność poglądów tych badaczy, którzy upatrywali w gildiach głównie organizację dla obchodzenia dorocznych świąt. Rzeczywiście – dzień biesiady wspólnej był zawsze albo samym dniem, albo następnym po wyborach zarządu, dyskusji, zmiany statutu, a także dniem sądów z powodu kłótni, jakie mogły powstać pomiędzy braćmi; był to również dzień odnawiania przysięgi gildyjnej. Wspólna biesiada podobnie jak święto dawnego zgromadzenia ludowego – mahl lub malum – lub też aba buriacka, jak wreszcie biesiada parafialna czy angielska wieczerza dożynkowa były po prostu potwierdzeniem braterstwa. Wieczerza ta symbolizowała czasy, kiedy wszystko było wspólną własnością klanu; przynajmniej tego dnia wszystko należało do wszystkich, wszyscy zasiadali przy tym samym stole i spożywali ten sam posiłek. Nawet w czasach znacznie późniejszych stali bywalcy domu biednych w Londynie zasiadali dnia tego obok bogatych kupców. Co się tyczy różnicy, którą pewni pisarze chcieli przeprowadzić pomiędzy starą saską gildią pokojową ("frith guild") i tzw. gildiami towarzyskimi lub religijnymi, to różnica ta wcale nie istnieje: wszystkie gildie były gildiami pokojowymi w znaczeniu wyżej opisanym i wszystkie były gildiami religijnymi, ponieważ każda gmina wiejska i każde miasto oddane były pod opiekę specjalnemu świętemu. Jeżeli gildie tak bardzo rozwinęły się w Azji, Afryce i Europie, jeśli przetrwały tysiące lat i zawsze jeszcze zjawiają się na nowo, gdy tylko znajdą się okoliczności sprzyjające – to wszystko to dzieje się dzięki temu, że bynajmniej nie były one tylko zrzeszeniami biesiadnymi lub zrzeszeniami uroczystego pochodzenia do kościoła w dni święte, czy stowarzyszeniami pogrzebowymi. Odpowiadały one głębokim potrzebom natury ludzkiej i zawierały w sobie wszystko to, co w czasach późniejszych przywłaszczyło sobie państwo, za pomocą swej biurokracji i policji – gildie zawierały w sobie jeszcze znacznie więcej. Gildia była organizacją pomocy wzajemnej we wszystkich okolicznościach i we wszystkich wypadkach życia: pomagano sobie "czynem i radą"; była to organizacja utrzymująca sprawiedliwość między ludźmi, sprawiedliwość ta jednak tym różniła się od sprawiedliwości państwowej, że przy wymierzaniu jej wchodził w grę pierwiastek ludzki zamiast pierwiastka formalnego, występującego wszędzie, gdzie tylko wmiesza się państwo. Członek gildii nawet wówczas, gdy stawał przed sądem gildyjnym, odpowiadał wobec ludzi znających go dobrze, pracujących z nim wspólnie w pracy powszedniej, zasiadających z nim do wspólnej biesiady i wypełniających wspólnie z nim obowiązki braterstwa: byli to rzeczywiście bracia równi mu we wszystkim, nie zaś teoretycy prawa ani obrońcy cudzych interesów.

Instytucja tak bardzo przystosowana do zaspokojenia potrzeb zrzeszeniowych, przy tym nie pozbawiająca jednostek jednocześnie inicjatywy, musiała się szybko, rozwinąć, rozposzechnić i umocnić. Trudność polegała tylko na znalezieniu takiej formy, która pozwalałaby utworzyć związki między gildyjne bez wchodzenia w drogę wspólnotom wiejskim i sfederować jedne i drugie w całość harmonijną. Toteż, gdy forma ta została znaleziona i gdy cały szereg okoliczności przyjaznych umożliwił miastom zapewnienie samodzielności, osiągały one taką olbrzymią jedność myśli, że może ona tylko wzbudzać podziw w naszym stuleciu dróg żelaznych, telegrafu i maszyn drukarskich. Doszły do nas setki "przywilejów", w których zawarte są swobody zdobyte przez miasta, i przez wszystkie te przywileje – poza całą różnorodnością szczegółów zależnych od mniejszego lub większego stopnia

usamodzielnienia się – jak nić czerwona ciągną się te same myśli przewodnie. Miasto średniowieczne zorganizowane jest jako związek małych wspólnot wiejskich i gildii.

Przywilej z roku 1188 nadany przez Filipa hrabiego Flandrii mieszkańcom Aire opiewa:

”Wszyscy należący do przyjacielskiego związku miejskiego obiecali i przysięgą to stwierdzili, że po bratersku pomagać będą; sobie wzajemnie we wszystkim pożytecznym i uczciwym; że jeśli kto bądź obrazi drugiego słowem lub czynem, pokrzywdzony nie będzie szukał zemsty ani sam, ani przez swych domowników, lecz złoży skargę przenosząc na sąd całą zemstę i podporządkowując się temu, co orzeknie dwunastu sędziów występujących jako arbitrzy. Jeśli by zaś krzywdziciel lub pokrzywdzony, pomimo trzykrotnego ostrzeżenia nie poddał się orzeczeniu arbitrowi, wyłączony będzie ze związku przyjaźni jako człowiek zły i wiarołomny.”

”Każdy przynależny do gminy miejskiej winien być wierny swym współobywatelom, i pomagać im czynem i radą zgodnie ze wskazaniem sumienia”

– mówi przywilej miast Amiens i Abbeville.

”Wszyscy w granicach miasta w miarę sił winni sobie wzajemnie pomagać i nie wolno im tolerować, aby kto bądź zabrał co bądź obywatelowi lub zmusił go do płacenia daniny”

– czytamy w przywileju miasta Soissons, Compiègne, Senlis i w wielu innych podobnych. To samo w odmianach nieskończonych spotykamy w mnóstwie innych przypadków.

”Gmina miejska – pisał Guilbert de Kogent – jest sprzysiężeniem pomocy wzajemnej. Jest to wyraz nowy i ohydny! Dzięki niemu poddani pańscy zostają zwolnieni z poddaństwa; dzięki niemu mogą być za przestępstwa prawne skazywani tylko na grzywny ściśle określone; dzięki niemu przestają podlegać opłatom wnoszonym zwykle przez poddanych.”

W wieku XII ta fala wyzwolenicza przeszła przez wszystkie kraje kontynentu, obejmując jednocześnie najbogatsze miasta i najuboższe miściny. Powiedzieć możemy, że miasta włoskie wyzwoliły się przed wszystkimi innymi, nie moglibyśmy jednak wskazać ośrodka, z którego się ten ruch rozchodził. Bardzo często rozpoczynało się to od jakiejś miściny w Europie środkowej; potem wielkie zbiorowiska ludzkie brały za wzór swego przywileju to, co miścina ta wypracowała dla siebie. Tak np. przywilej drobnego miasta Lorris przyjęty był przez 83 miasta Francji południowo-zachodniej, przywilej zaś Beaumont stał się wzorem dla 500 miast i osad w Belgii i Francji. Specjalne poselstwa były wysyłane do miast sąsiednich w celu otrzymania odpisów z przywileju i konstytucja miejska była potem układana według tego wzoru. Bynajmniej jednak nie kopiowano mechanicznie. Każdy przywilej układany był zgodnie z tymi ulgami, które miastu udało się otrzymać od swego

pana; dzięki temu – jak wyraził się pewien historyk – przywileje miast średniowiecznych przedstawiają tę samą różnicę, co architektura gotycka ich katedr i kościołów. We wszystkich znajdujemy tę samą myśl przewodnią – katedra była symbolem unii parafii i gildii w mieście i jednocześnie – symbolem tej samej nieskończonej różnorodności szczegółów.

Punktem głównym było prawo do sądownictwa własnego, a sądownictwo własne znaczy to samo, co samorząd. Gmina miejska bynajmniej nie była "autonomiczną" częścią państwa – ten dwuznaczny wyraz nie był jeszcze wówczas wynaleziony – była ona samym państwem. Gmina posiadała prawo wojny i pokoju, mogła wchodzić w związki ze wszystkimi swymi sąsiadami. Była niepodległa we wszystkich sprawach; najwyższa władza polityczna znajdowała się w rękach forum demokratycznego – jak to było np. w Pskowie, którego wiece przyjmowały i wysyłały ambasadorów, zawierały traktaty pokojowe, wprowadzały na tron lub przyjmowały książąt albo też przez całe dziesiątki lat zupełnie się bez nich obchodziły; zdarzało się także, że władza miejska uzurpowana była przez arystokrację szlachecką lub mieszczańską – jak to bywało w setkach miast włoskich i środkowo - europejskich.

Zasada jednak pozostawała zawsze ta sama: miasto było państwem i – co być może jest jeszcze bardziej znamienne – gdy władzę miejską zagarnęła arystokracja miejska lub szlachecka, wewnętrzne życie miejskie i jego demokratyzm codzienny bynajmniej nie znikły, bowiem tylko w bardzo nieznacznym stopniu zależały one od tego, co nazwać możemy polityczną formą państwa.

Tajemnica tej pozornej anomalii wyjaśnia się w ten sposób, że miasto średniowieczne bynajmniej nie było państwem centralistycznym. W ciągu pierwszych wieków swego istnienia miasto ze względu na swą organizację wewnętrzną, zgoła nie mogło być nazwane państwem – średniowiecze nie znało centralizacji terytorialnej naszych czasów. Każda grupa posiadała swą część niepodległości. Każde miasto podzielone było zwykle na cztery dzielnice, rozchodzące się od środka w kształcie promieni, przy czym każda dzielnica z gruba odpowiadała jakiemuś zawodowi lub działowi handlu, który w niej przeważał; jednocześnie jednak zawierała ona mieszkańców różnego zajęcia i różnej pozycji społecznej: szlachtę, kupców, rzemieślników a nawet chłopów półniewolnych. Każda dzielnica była zbiorowiskiem zupełnie niezależnym. W Wenecji każda wyspa była niezależną wspólnotą polityczną. Posiadała swój własny handel, własny rynek solny, własne sądownictwo, administrację i forum; i mianowanie takiego lub innego doży dla całego miasta w niczym nie zmieniało wewnętrznej niezależności poszczególnych jednostek miejskich. W Kolonii widzimy mieszkańców podzielonych na *Geburtschaften* i *Heimschaften*, tj. na gildie sąsiedzkie, datujące się od epoki frankońskiej. Każda taka gildia miała swego sędziego, 12 ławników, wójta i dowódcę milicji miejskiej. Dzieje dawnego Londynu przed podbojem – jak mówi Green – są dziejami pewnej liczby grup ludzkich, rozrzuconych tu i ówdzie wewnątrz murów i rozwijających każda swe własne instytucje, gildie, sądy, własne domy zgromadzeń religijnych itd. i tylko powoli zrastających się w jedno miasto. Jeśli sięgniemy do dość bogatych w szczegóły roczników miast rosyjskich, Nowogrodu i Pskowa, znajdziemy tam dzielnice (kaniec) składające się z niezależnych ulic, z których każda, choć zamieszkała głównie przez rzemieślników jakiegoś jednego rzemiosła, miała jednak wśród swych

mieszkańców także kupców i właścicieli ziemi i stanowiła oddzielną gminę. Odpowiadała ona wspólnie na wypadek przestępstwa, posiadała własne sądownictwo i własną administracją sprawowaną przez starostów ulicznych, posiadała własną pieczęć i w razie potrzeby własne forum; miała także własną milicję i wybranych przez siebie kapłanów – słowem, własne życie zbiorowe i zbiorowe przedsiębiorstwa.

Widzimy więc, że miasto średniowieczne jest związkiem dwojakiego rodzaju: związkiem właścicieli domów, połączonych terytorialnie – jako związek ulicy, parafii lub dzielnicy – i związkiem jednostek, złączonych przysięgą w gildie odpowiednio do zawodów. Pierwsza z tych form organizacji była wytworem wspólnoty wiejskiej, z której wyrosło miasto, gdy druga jest tworem późniejszym, powołanym do życia przez nowe warunki.

Główną troską miasta średniowiecznego było zapewnienie wolności, samorządu i pokoju; podstawą zaś tej całej organizacji miejskiej była praca – jak to zobaczymy, gdy mówić będziemy o gildiach rzemieślników czyli o cechach. "Produkcja" jednak bynajmniej nie zaprzętała całej uwagi ekonomisty średniowiecznego. Z właściwym sobie zmysłem gospodarczym pojmował on, że dla zabezpieczenia produkcji należy również uregulować, "spożywać", to jest zapewnić ludności mieszkanie i pożywienie – zarówno ludności biednej jak zaможnej. Surowo zakazane było kupno produktów pierwszej potrzeby, jak np. węgiel, drzewo itp., zanim nie przeszły przez rynek, czyli uniemożliwiano korzystanie z wyjątkowo dogodnych okoliczności kupna niedostępnych dla wszystkich. Każda rzecz musiała iść na rynek i być wystawiona na sprzedaż publiczną dopóty, dopóki dzwonek nie oznajmił o zakończeniu targu. Dopiero wówczas detalista mógł nabywać to, co pozostało, lecz nie mógł ciągnąć zysku nieograniczonego i musiał zadowolić się "zyskiem uczciwym". Gdy zboże zostało kupione przez piekarza hurtownika po zakończeniu targów, każdy obywatel mógł zażądać należnej mu części (około pół ćwierci) na swój własny użytek po cenie hurtowej. I odwrotnie – każdy piekarz mógł zażądać tego samego, jeśli obywatel nabył zboże lub mąkę w celu odsprzedaży. W pierwszym przypadku zboże powinno było być odniesione do młyńca miejskiego i tam zmielone za odpowiednią opłatą, chleb zaś mógł być wypieczony w piecu miejskim (fourbanal). Słowem – jeśli okazał się w mieście brak żywności, cierpieli na tym wszyscy jednakowo w większym lub mniejszym stopniu; poza tymi szczególnymi przypadkami jednak w mieście średniowiecznym nikt nie mógł umrzeć z głodu, jak to niestety zbyt często zdarza się w naszych miastach współczesnych.

Zaznaczyć należy, że wszystkie te postanowienia dotyczą późniejszego okresu życia miast średniowiecznych; we wcześniejszym zaś okresie miasto samo nabywało żywność i przedmioty pierwszej potrzeby dla swoich obywateli. Ogłoszone w ostatnich czasach przez Grossa dokumenty nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości; widzimy z nich, że całe ładunki żywności kupowane były dla miasta przez urzędników miejskich i dzielone potem pomiędzy detalistów; przy czym nikomu nie wolno było nabywać towaru w porcie dopóty, dopóki władze miejskie nie oznajmiły, że nabywać ich nie mają zamiaru. Jak mówi Gross – było to zwyczajem w Anglii, Irlandii, Walii i Szkocji. Nawet w wieku XVI spotykamy wspólne zakupy zboża czynione przez miasta; opowiada o tym jeden z dokumentów miasta Londynu z roku 1565. Wiadomą jest rzeczą, że w Wenecji cały handel zbożem znajdował się w rękach miasta; dzielnice miejskie otrzymywały zboże od admini-

stracji centralnej i obowiązane były dostarczyć każdemu obywatelowi tyle, ile na niego przypadło. Miasto Amiens we Francji kupowało sól i rozdzielało ją pomiędzy obywateli po cenie kosztu. Do dzisiejszego dnia widzimy jeszcze w wielu miastach francuskich tzw. hale, które niegdyś były składami miejskimi soli i zboża. Podobne zwyczaje panowały w Rosji – w Nowogrodzie i w Pskowie.

Cała ta bardzo interesująca sprawa zakupów miejskich, czynionych dla wygody obywateli, i sposobów, jakimi się posługiwano, jest wciąż jeszcze niedostatecznie zbadana przez historyków; w dziełach historycznych spotykamy tylko tu i ówdzie nieco faktów rzucających nowe światło na tę kwestię. Tak np. pomiędzy dokumentami ogłoszonymi przez Grossa znajdujemy rozporządzenie z roku 1367 ujawniające, w jaki sposób ustalano ceny. "Kupcy i marynarze – pisze Gross – musieli pod przysięgą zeznać, jakie były koszty nabycia towarów i koszty transportu. Wówczas "major" miasta łącznie z dwoma mężami zaufania określał cenę, po której wolno było sprzedawać." Ten sam obyczaj przestrzegany był w Thurso dla wszystkich towarów przychodzących "morzem lub lądem". Ten sposób oznaczania ceny tak dobrze odpowiada powszechnym w średniowieczu poglądom na handel, że spotykamy go wszędzie; cena była niemal zawsze oznaczana przez osobę trzecią; w razie zaś wymiany wewnątrz miasta było przyjęte oznaczanie ceny przez mężów zaufania – przez osobę trzecią, bynajmniej zaś nie przez nabywcę ani sprzedawcę. Ten stan rzeczy cofa nas daleko w dzieje handlu, mianowicie w czasy, kiedy handel głównymi produktami spożycia prowadzony był przez miasto, kupcy zaś byli tylko komisjonerami lub miejskimi pełnomocnikami sprzedającymi czy nabywającymi w imieniu miasta. Dekret miasta Waterfordu, ogłoszony również przez Grossa, opiewa, że wszelkie rodzaje towarów winny być nabywane przez burmistrza i ławników na rzecz miasta, aby potom mogły być podzielone pomiędzy obywateli. Dekret ten może być zrozumiały jedynie wówczas, gdy przyjmiemy, że zewnętrzny handel miasta prowadzony był przez agentów miejskich. Bezpośrednie powody takiego stanu rzeczy posiadamy dla Nowogrodu i Pskowa. Niepodległy Nowogród i niepodległy Psków wysyłały swe karawany kupców w kraje odległe.

Wiemy także, że niemal we wszystkich miastach średniowiecznych środkowej i zachodniej Europy cechy rzemieślnicze wspólnie czyniły zakup surowców, wspólnie również, za pośrednictwem urzędników, sprzedawały własne produkty. Byłoby dziwne, gdyby tego samego sposobu nie stosowano do handlu zewnętrznego, tym bardziej, że, jak wiadomo, aż do wieku XIII uważano wszystkich kupców danego miasta za solidarnie odpowiedzialnych na zewnątrz za wszystkie zobowiązania zaciągnięte, przez któregośkolwiek z nich; więcej – całe miasto odpowiadało za zobowiązania każdego ze swych kupców. Dopiero w XII i XIII wieku miasta reńskie przez traktaty specjalne zniosły tę odpowiedzialność. Mamy wreszcie ciekawy dokument w Ipswich – ogłoszony również przez Grossa – mówiący nam, że gildia kupiecka tego miasta założona była przez wszystkich wolnych obywateli miejskich, którzy zgodzili się płacić składką gildyjną, przy czym cała gmina miejska roztrząsała wspólnie, jak utrzymać gildię kupiecką i zdobyć dla niej pewne przywileje. Widzimy z tego, że gildia kupiecka w Ipswich była raczej zrzeszeniem miejskich urzędników, niż zwykłą gildią prywatną.

Słowem – im bardziej poznajemy miasto średniowieczne, tym jaśniej widzimy, że było ono nie tylko organizacją dla obrony pewnych wolności politycznych. Była to próba podjęta na większą skalę niż w wspólnocie wiejskiej, zorganizowania ścisłego związku pomocy, wzajemnej w dziedzinie spożycia i produkcji oraz całokształtu życia społecznego, związku spożywczego i produkcyjnego – wszystko to bez nakładania na ludzi kajdan państwowych, lecz dając pełną swobodę ujawniania się zdolności twórczej każdej grupie jednostek zarówno w sztuce, rzemiosłach i nauce, jak w handlu i polityce. W jakiej mierze powiodła się ta próba, zobaczymy w rozdziale następnym, gdzie omówimy organizację pracy w mieście średniowiecznym oraz stosunek miasta do otaczającej je ludności wiejskiej

Rozdział 6. Pomoc wzajemna w mieście średniowiecznym (2)

Miasta średniowieczne nie były zorganizowane według jakiegoś planu z góry obmyślonego zgodnie z wolą prawodawcy zewnętrznego. Każde z nich było wytworem naturalnym w pełnym znaczeniu tego wyrazu – wynikiem zawsze zmiennej walki pomiędzy różnymi siłami, układającymi się tak lub inaczej, zależnie od ustosunkowania się wzajemnego, od możliwości starć i od współdziałania środowiska. Na skutek tego nie mamy dwóch miast, posiadających identyczną organizację wewnętrzną. Każde z nich, wzięte oddzielnie, zmienia się ze stulecia na stulecie. Jeśli jednak ogarniamy spojrzeniem wszystkie miasta europejskie, wówczas znikną różnice miejscowe i narodowe, zdumiewa nas podobieństwo zachodzące pomiędzy nimi wszystkimi, mimo że każde z nich rozwijało się niezależnie od innych i w warunkach zgoła odmiennych. Małe miasteczko w północnej Szkocji, zamieszkane przez prostodusznych rolników i rybaków; bogate miasto flandryjskie ze swym handlem światowym, zbytkiem i upodobaniem do życia hucznego i pełnego rozrywek, miasto włoskie, wzbogacone na stosunkach ze Wschodem i hodujące w swych murach wydelikacyony zmysł artystyczny i cywilizację; a obok nich miescina rosyjska, zaludniona głównie przez rolników i zgubiona gdzieś pośród bagien – cóż mogą one mieć z sobą wspólnego? A przecież wszędzie spotykamy tę samą przewodnią ideę organizacyjną; duch, ożywiający wszystkie te miasta, nadaje im wybitne podobieństwo rodzinne. Wszędzie widzimy te same związki małych gmin i gildii, te same przedmieścia rozłożone wokół miasta macierzystego, ten sam wiec ludowy i te same znamiona niepodległości. Defensor miasta pod rozmaitymi imionami i pod różną postacią jest przedstawicielem tej samej władzy i tych samych interesów. Dostarczanie żywności, organizacja pracy i handlu – wszystko to odbywa się w sposób bardzo podobny, walki wewnętrzne i zewnętrzne staczane są pod parciem tych samych ambicji; co więcej – formuły używane w walkach, kronikach, dekretach i ustawach są identyczne; pomniki architektury, bądź gotyckie, bądź romańskie czy bizantyjskie, wyrażają; te same dążenia i te same ideały – są i pomyślane i wznoszone w taki sam sposób.” Różnice zaś są zależne od charakteru epoki. Jedność myśli przewodniej i tożsamość pochodzenia panują tu nad różnicami klimatu, położenia geograficznego, zamożności, języka i religii. Dzięki temu właśnie możemy mówić o mieście średniowiecznym jako o wyraźnie określonym okresie cywilizacyjnym i, jakkolwiek pożądane byłoby wykazywanie i odnajdywanie różnic indywidualnych, możemy zwrócić uwagę na główne linie rozwojowe wspólne wszystkim miastom.

Nie ulega wątpliwości, że opieka, jaką otaczano plac targowy, była czymś bardzo ważnym już w czasach barbarzyńskich; odegrała poważną – jakkolwiek nie jedyną – rolę w sprawie wyzwania się miasta średniowiecznego. Barbarzyńcy pierwotni nie znali handlu wewnątrz wspólnoty wiejskiej; handel prowadzili z cudzoziemcami, na miejscach ściśle określonych i w określone dni. Aby zaś cudzoziemiec mógł przyjść na miejsce wymiany nie narażając się na to, że będzie zabity z powodu walki toczącej się pomiędzy jego rodem a którymś z rodów gminy, plac targowy znajdował się zawsze pod szczególną opieką wszystkich rodów. Był on nietykalny, podobnie jak świątynia, pod której patronatem targ się odbywał. U Kabyłów plac targowy jest zawsze anaja, na równi ze ścieżką, po której chodzą kobiety noszące wodę ze źródła – nie wolno tamtędy przechodzić z bronią nawet podczas wojen międzyplemiennych. W czasach średniowiecznych plac targowy korzystał z tych samych przywilejów, żadnej zemsty nie wolno było dokonywać na placu targowym, ani w pewnym promieniu od niego; w razie zaś powstania kłótni w tłumie kupujących i sprzedających, spór musiał być przedłożony do rozpatrzenia tym, którzy byli uważani za opiekunów targowiska – a więc przed trybunał gminny, przed biskupa, barona czy sędziego królewskiego. Cudzoziemiec przychodzący w celach handlowych uważany był za gościa. Nawet baron, nie mający żadnych skrupułów, gdy chodziło o ograbienie kupca na gościńcu, umiał uszanować "Weichbild", tj. słup stojący na placu targowym, i dźwigający bądź herb królewski, bądź miecz, bądź też obraz świętego miejscowego czy też po prostu krzyż – a to zależnie od tego, czy targowisko znajdowało się pod opieką króla, barona, kościoła miejscowego czy wreszcie zgromadzenia ludowego, wiecu.

Nietrudno zrozumieć, w jaki sposób własne sądownictwo miejskie rozwinęło się ze specjalnego sądownictwa na placu targowym – gdy to ostatnie prawo, dobrowolnie lub nie, przyznano samemu miastu. To pochodzenie swobód miejskich – a możemy je ujawnić w niejednym przypadku – odbiło się w sposób nieunikniony na późniejszym ich rozwoju. Zapewniło ono przewagę tej części ludności, która zajmowała się handlem w gminie miejskiej. Obywatele posiadający dom w mieście i będący jednocześnie współwłaścicielami gruntów miejskich tworzyli często gildię kupiecką, dzierżącą w swych rękach handel miejski; i jakkolwiek pierwotnie każdy mieszkaniec miasta, bogaty czy biedny, mógł być członkiem gildii kupieckiej i sam handel, jak się zdaje, był prowadzony na rzecz całego miasta przez jego agentów, gildia kupiecka stawała się powoli pewnego rodzaju ciałem uprzywilejowanym. Poczęła ona zamykać się zazdrośnie przed przybyszami tłumnie napływającymi do wolnych miast i usiłowała korzyści osiągnąć z handlu zachować dla nielicznej garstki "rodzin", które miały obywatelstwo miejskie w czasie uniezależnienia się miasta. Jest rzeczą oczywistą, że prowadziło to wprost do oligarchii kupieckiej. Ale już w X a jeszcze bardziej w XI i XII stuleciu organizują się również główne rzemiosła i tworzą gildie dość potężne na to, aby przeciwstawić się oligarchicznym dążeniom kupców.

Gildia rzemieślnicza, cech, zajmowała się wówczas wspólną sprzedażą swoich wytworów oraz wspólnym zakupem surowców. Członkowie jej byli jednocześnie kupcami i rękodzielnikami. Dzięki temu wpływ dawnych cechów rzemieślniczych od samego powstania wolnego miasta zapewnił pracy ręcznej to wysokie stanowisko, jakie i później zajmowała w mieście. Rzeczywiście – w mieście średniowiecznym praca ręczna bynajmniej nie nosiła

piętna czegoś niższego; przeciwnie, była ona otoczona szacunkiem nie mniejszym niż w dawnej wspólnocie wiejskiej. Praca ręczna przy jakiejś "tajemnicy" uważana była za spełnienie zbożnego obowiązku wobec współobywateli: była to funkcja społeczna równie cziogodna jak każda inna.

Wytwórczość i wymiana przeniknięte były ideą sprawiedliwości zarówno w stosunku do wytwórcy, jak do spożywcy – co wydałoby się dzisiaj rzeczą dość dziwną. Praca rymarza, kotlarza, szewca musi być piękna i sprawiedliwa – pisano w owych czasach. Drzewo, skóra lub nici używane przez rzemieślnika, winny być "prawe"; chleb winien być wypiekany "sprawiedliwie", itd. Wyrażenia tego rodzaju, przeniesione w nasze czasy, wydawałyby się czymś przesadnym i nienaturalnym; wówczas jednak nie miały w sobie nic nienaturalnego, ponieważ rzemieślnik średniowieczny bynajmniej nie wytwarzał dla jakiegoś nieznanego nabywcy ani też na rynek nieznanym. Wytwarzał on przede wszystkim dla swojej własnej gildii, dla bractwa ludzi znających się wzajemnie, świadomych techniki rzemiosła, mogących łatwo określić cenę każdego wytworu a także ocenić zręczność rozwiniętą przy jego wyrabianiu i ilość pracy w to włożonej. Wyprodukowane dobra były wystawiane na sprzedaż w gminie nie przez oddzielnego wytwórcę, lecz przez gildię czyli cech; jeśli szły na sprzedaż zewnętrzną, wówczas były sprzedawane przez całą gminę miejską, która brała na siebie odpowiedzialność za ich jakość. Przy tego rodzaju organizacji żaden cech nie mógł dążyć do dawania wyrobów jakości niższej i braki techniczne lub zafałszowania, musiały być tępione przez całą gminę, ponieważ – jak wyrażano się w owych czasach – "poderwałyby zaufanie powszechne". Wytwarzanie było więc jednym z obowiązków społecznych, znajdowało się pod nadzorem całej amitas i praca ręczna nie mogła spaść do tego upośledzonego stanowiska, jakie dzisiaj zajmuje.

Różnica pomiędzy majstrem a uczniem lub czeladnikiem istniała w miastach średniowiecznych już od samego początku; pierwotnie jednak była to różnica wieku lub wyćwiczania w rzemiośle, a bynajmniej nie różnica zamożności i wpływów. Po siedmiu latach nauki i po wykazaniu swych umiejętności (przez "majstersztyk"), czeladnik sam stawał się majstrem. Dopiero znacznie później, w wieku XVI, kiedy władza królewska zniszczyła miasta i organizację cechową, stało się możliwe zostanie majstrem przez proste odziedziczenie majsterstwa lub dzięki posiadaniem majątkowi. Był to jednak również czas ogólnego upadku średniowiecznej sztuki i rzemiosła.

W mieście średniowiecznym, w pierwszym okresie jego rozkwitu, niewiele było miejsca na pracę najemną, a jeszcze mniej dla najemników indywidualnych. Praca płatnerza, tkacza, kowala, piekarza itd. wykonywana była dla cechu i dla miasta; jeśli zaś członkowie cechu byli najmowani do wznoszenia budowli, pracowali w związkach czasowych (jak to dotychczas odbywa się w rosyjskich artelach) i praca ich była opłacana zbiorowo. Dopiero znacznie później płaca zaczęła wpływać do rąk samego majstra, lecz nawet wówczas płaca robotnika opłacana była lepiej niż dzisiaj w Anglii, i znacznie lepiej niż dzisiaj na kontynencie Europy. Obszernie pisze o tym Thorold Rogera a także Falke i Schönberg. Nawet w wieku XV murarz, cieśla czy kowal, pobierał w Amiens 4 soldy dziennie, co odpowiada 48 funtom chleba lub ósmej części byczka. W Saksonii zarobek czeladnika budowlanego był tak wysoki, że – jak powiada Falke – mógł on za swój 6-dniowy zarobek kupić 3 owce

i parę obuwia. Ofiary składane przez czeladników, pracujących przy wznoszeniu katedr, również świadczą o ich względnym dobrobycie – pomijając już wspaniałe ofiary całych cechów lub gildii i pomijając olbrzymie wydatki na uroczystości i procesje. Rzeczywiście – im bardziej poznajemy miasto średniowieczne, tym bardziej przekonujemy się, że w żadnym okresie dziejowym praca nie cieszyła się tak pomyślnymi warunkami i takim szacunkiem jak wtedy, gdy miasta znajdowały się u szczytu rozwoju.

Więcej powiem – nie tylko liczne marzenia radykałów współczesnych były wówczas urzeczywistnione, lecz także niejedna spośród idei, które dzisiaj wydają się nam utopią, była przyjęta jako coś bezspornie realnego. Wyśmiewają nas, gdy domagamy się, aby praca była przyjemna, a oto w dekrete z Kuttenbergu czytamy, że każdy musi znajdować przyjemność w swojej pracy i że nikomu nie wolno przywłaszczać sobie "pracy innych, jeśli sam nie pracuje, ponieważ prawo musi być tarczą obronną dla pracy."

Niemalø mówi się dzisiaj o 8-godzinnym dniu roboczym, warto jednak byłoby przypomnieć dekret Ferdynanda I, dotyczący kopalni królewskiej i określający dzień górnika na 8 godzin, "jak to z dawna było w zwyczaju". Praca w sobotę po południu również była zakazana. Jansen powiada, że dłuższy dzień niż ośmiogodzinny spotykany był bardzo rzadko, często natomiast spotykamy dzień krótszy. W Anglii, jak pisze Rogers, w wieku XV pracowali robotnicy tylko 48 godzin na tydzień. Półświęto w soboty, które uważane jest dzisiaj za zdobycz współczesną, było w rzeczywistości starym zwyczajem średniowiecznym; był to czas kąpeli dla większej części gminy miejskiej, gdy jednocześnie środa po południu przeznaczona była na kąpiel dla czeladników. Nie istniały wprawdzie posiłki szkolne dla dzieci – prawdopodobnie z tego powodu, że nie było głodnych dzieci chodzących do szkoły – rozdawano jednak dzieciom rodziców niezamożnych pieniądze na kąpiel. Co się tyczy kongresów pracy, to odbywały się one regularnie w średniowieczu. W niektórych częściach Niemiec rzemieślnicy tego samego rzemiosła, należący do rozmaitych gmin miejskich, co roku zbierali się w celu wspólnego omówienia spraw swego rzemiosła, określenia lat trwania nauki, lat wędrówek, płac itp. W roku 1572 miasta hanzeatyckie uznały formalnie prawo rzemieślników do odbywania kongresów periodycznych i do uchwalania na nich dowolnych rezolucji, byleby tylko te rezolucje nie sprzeciwiały się ustawom miejskim, dotyczącym jakości produktów. Tego rodzaju kongresy pracy, posiadające częściowo charakter międzynarodowy – jak sama Hanza – były zwoływane przez piekarzy, giserów, kowali, ry-marzy, płatnerzy itd.

Organizacja cechowa wymagała zresztą ścisłej kontroli członków przez gildię i w tym celu byli wyznaczeni specjalni urzędnicy przysięgli. Znamienne jest jednak, że dopóki miasta cieszyły się pełną swobodą, nie było żadnych skarg na tych dozorców, i przeciwnie – gdy państwo zaczęło wkraczać do miasta, gdy zaczęło konfiskować własność cechów i burzyć ich niezależność wprowadzając urządzenia biurokratyczne, skargi stały się wprost niezliczone. Z drugiej strony olbrzymi postęp urzeczywistniony we wszystkich dziedzinach życia za panowania średniowiecznego systemu gildyjnego jest najlepszym dowodem, że system ten bynajmniej nie był przeszkodą dla inicjatywy indywidualnej. Nie należy zapominać, że średniowieczna gildia, podobnie jak parafia, "ulica" czy "dzielnica", nie jest grupą obywateli poddanych kontroli urzędników państwowych: podstawą gildii był zwią-

zek ludzi należących do jakiegoś działu pracy – do związku należeli zaprzysiężeni dostawcy produktów surowych, sprzedawcy tego, co cech wytworzył i wreszcie majstrowie, czeladnicy, i uczniowie. Instancją najwyższą we wszystkich sprawach wewnętrznych było zgromadzenie cechowe; jeśli zaś chodziło o interesy innych cechów, rozstrzygała gildia gildii tj. miasto. Było jednak w gildii jeszcze coś więcej. Gildia posiadała swe własne sądownictwo, własną siłę zbrojną, własne zgromadzenia ogólne, własne tradycje walk o niepodległość i własne stosunki z innymi gildiami w innych miastach: słowem – była ona pewnym organizmem, ponieważ przedstawiała pełnię funkcji życiowych. Gdy miasto występowało zbrojnie, cechy (gildie) szły do walki oddzielnymi grupami z własną bronią i pod dowództwem własnych wodzów. Cech średniowieczny był jednostką społeczną, nie mniej niezależną niż kanton szwajcarski w szwajcarskim związku przed laty pięćdziesięciu. Toteż zasadniczy błąd popełniają ci, którzy porównują cech ze współczesnym związkiem zawodowym, całkowicie pozbawionym znamion niepodległości państwowej i ograniczonym w swej działalności do spełnienia kilku funkcji zgoła podrzędnych. Jest to tak, jakby ktoś porównywał Florencję lub Bruges z jakąś gminą francuską wegetującą pod kodeksem Napoleona lub z miasteczkiem rosyjskim pozostającym pod działaniem prawa Katarzyny II. I w jednym i w drugim przypadku jest burmistrz a w miastach rosyjskich jest nawet organizacja cechowa, lecz różnica jest tak wielka jak pomiędzy dożą weneckim, a burmistrzem współczesnym, nisko kłaniającym się każdemu poważniejszemu urzędnikowi państwowemu.

Cechy i gildie średniowieczne posiadały dość sił, aby utrzymać swą niepodległość i później, przede wszystkim w XIV wieku, kiedy wskutek działania wielu czynników, o których niżej mówić będziemy, życie miast średniowiecznych uległo głębokim zmianom, młode cechy okazały się dość silne na to, aby zdobyć sobie należny udział w zarządzaniu sprawami miejskimi. Masy zorganizowane w "cechach mniejszych" ruszyły na zdobycie władzy z rąk przybierającej na sile oligarchii i po większej części wyszły z walki zwycięsko, rozpoczynając nowy okres pomyślności miejskiej. Nie obeszło się jednak bez porażek i w niektórych miastach powstania robotników zatopione były we krwi, jak np. w Paryżu w roku 1306 i w Kolonii w roku 1371. W tych wypadkach wolności miejskie szybko wyrodniały i miasto dostawało się pod rządy władzy centralnej. Większość miast jednak zachowała dość sił, aby wyjść z próby ze świeżym zapasem energii życiowej. Nagrodą zwycięzców był nowy okres młodości. Popłynęły nowe prądy życiowe i znalazły swój wyraz we wspaniałych pomnikach architektury, w nowej fali dobrobytu, w postępie odkryć i wynalazków oraz w ruchu umysłowym, wiodącym ku Odrodzeniu i Reformacji.

Życie miasta średniowiecznego było szeregiem ciężkich walk, mających na celu zdobycie i utrzymanie wolności. W ciągu tych walk wyrosła silna i wytrwała rasa mieszczan, w tych walkach zrodziła się miłość i cześć dla miasta ojczystego, i wielkie rzeczy, dokonane przez miasta średniowieczne, były płodem bezpośrednim tej twórczej miłości.

Nie należy jednak zapominać, że miasta średniowieczne w celu zdobycia wolności prowadziły ciężkie walki, po których pozostały głębokie ślady nie tylko na zewnątrz, lecz również w ich życiu wewnętrznym. Tylko nielicznym miastom, znajdującym się w warunkach szczególnie pomyślnych, udało się zdobyć wolność za jednym zamachem; w większości wypadków wolność była ponownie tracona i niejednokrotnie miasta prowadziły bez przerwy

walkę w ciągu pięćdziesięciu lat lub stu, niekiedy nawet dłużej, zanim wywalczyły sobie uznanie swych wolności – po czym trzeba było jeszcze dalszych stu lat, zanim wolność ta ugruntowała się na mocnej podstawie. Widzimy, że przywileje miejskie wieku XII były tylko jednym z kamieni, leżących u podstaw tych wolności. W rzeczywistości miasto średniowieczne było oazą obronną pośród kraju pogrążonego w poddaństwie feudalnym i musiało zbrojnie wywalczać należne sobie miejsce. Wskutek przyczyn, o których wspomnieliśmy pobieżnie w rozdziale poprzednim, każda gmina wiejska stopniowo dostawała się pod jarzmo jakiegoś świeckiego lub kościelnego władcy. Dom tego władcy stawał się zamkiem obronnym, a jego drużyna bojowa – bandą awanturników zawsze gotowych do grabienia chłopów. W dodatku do trzech dni, w ciągu których chłopci obowiązani byli pracować dla pana, musieli oni ponosić jeszcze bardzo liczne ciężary w zamian za prawo siania, żęcia zboża, za prawo, aby być wesołym lub smutnym, za prawo aby ożenić się lub umrzeć. Co zaś najgorsze – gospodarstwa ich płądrowane były nieustannie przez ludzi jakiegoś pana sąsiedniego, który uważał, że grabiąc chłopów swego sąsiada, niszcząc ich zboża lub bydło, wykonywa zemstę na ich właścicielu. Każda łąka, każde pole, każda droga dookoła miasta i każdy człowiek na wsi należał do jakiegoś pana.

Nienawiść mieszczan do baronów feudalnych znalazła wyraz w charakterystycznym brzmieniu przywilejów, do których podpisania panowie byli zmuszeni. Henryk V zmuszony był w roku 1111 do podpisania dla miasta przywileju, w którym uwalnia mieszczan od "okropnego i ohydneho prawa martwej ręki, doprowadzającego miasto do nędzy ostatecznej". Coutume miasta Bayonne, pisana około roku 1273, zawiera na przykład taki ustęp: "Lud jest starszy aniżeli panowie. Lud jest znacznie liczniejszy aniżeli ktokolwiek bądź inny i pragnąc pokoju powstał w celu ograniczenia i złamania możliwych." Ustępów takich spotykamy więcej. Niemniej charakterystyczny jest przywilej podany do podpisu królowi Robertowi. Król mówi w nim: "Nie będę grabił bydła ani innych zwierząt Nie będę chwycił kupców, nie będę im odbierał pieniędzy ani nakładał haraczu. Od Zwiastowania aż do Wszystkich Świętych. nie będę brał na łąkach ani konia, ani klaczy, ani źrebięcia. Nie będę palił młynów, ani grabił mąki... nie będę otaczał opieką złodziei" itd. Przywilej dany miastu Besancon przez arcybiskupa Huguesa, który był zmuszony do wyliczenia wszystkich krzywd, jakie wyrządził miastu, jest nie mniej charakterystyczny. Przykładów takich można by przytoczyć znacznie więcej.

Przy takich sąsiadach wolność nie mogła być utrzymana i miasta zmuszone były przemieścić wojnę na zewnątrz murów. Mieszczanie wysyłali emisariuszy w celu podniecenia chłopów do buntu, przyjmowali do swoich zrzeczeń wsie i wypowiadali bezpośrednio wojnę szlachcie.

We Włoszech, gdzie kraj cały był bardzo gęsto usiany zanikami feudalnymi, wojna ta nabrała cech bohaterskich i była obustronnie prowadzona z wielką zawziętością. Florencja w ciągu 77 lat prowadziła krwawą wojnę w celu wyzwolenia od szlachty swego contado. Ale po osiągnięciu zwycięstwa w roku 1181 trzeba było wszystko zaczynać od nowa. Szlachta stworzyła wielki związek i przeciwstawiła go związkowi miast, otrzymywała przy tym pomoc bądź od papieża, bądź od cesarza. Wskutek tego wojna zaciągnęła się jeszcze na 130 lat. To samo zaszło w Rzymie, w Lombardii – w całym Włoszech.

W wojnach tych mieszczenie ujawnili olbrzymią odwagę, wytrwałość i dokazali cudów waleczności. Mimo to jednak łuki i topory rzemieślników i artystów nie zawsze mogły skutecznie działać przeciwko rycerzom zakutym w zbroję i wiele zamków opierało się zwycięsko pomysłowym maszynom oblężniczym i uporczywości mieszczan. Niektóre miasta, jak np. Florencja, Bolonia i miasta francuskie a także niektóre niemieckie i czeskie z powodzeniem wyzwoliły wsie okoliczne; te wysiłki miast zostały nagrodzone przez długi okres pomyślności i pokoju. Ale nawet w tych miastach a bardziej jeszcze w miastach słabszych i mniej ruchliwych kupcy i rzemieślnicy wyczerpani walką i nie rozumiejąc własnego interesu podpisywali układy, których ofiarą padali chłopci. Mieszczenie zmuszali pana do zaprzysiężenia sojuszu z miastem; zamek pański, położony poza miastem, został zburzony i pan musiał się zgodzić na przeniesienie się do miasta; budował sobie dom w mieście i sam stawał się współobywatelom miejskim; w zamian jednak zachowywał większość swych praw nad chłopami, którzy tylko częściowo byli zwalniani od ciężarów. Mieszczenie nie rozumiał jeszcze, że chłopu winny być zapewnione te same prawa obywatelskie, chłopu, który był przecież żywicielem miasta; dzięki temu wytworzyła się głęboka przepaść pomiędzy miastem a wsią. W niektórych wypadkach chłopci po prostu zmienili pana, ponieważ miasta odkupiły od baronów ich prawa w stosunku do chłopów. Poddaństwo chłopów zostało utrzymane i dopiero znacznie później, w końcu XIII wieku, powstanie rzemieślników powzięło zamiar położyć kres niewoli osobistej; jednocześnie jednak pozbawiono chłopów ziemi. Zbytecznie byłoby dodawać, jak opłakane wyniki miała tego rodzaju polityka dla samych miast: wsie okoliczne stały się ich wrogami.

Wojna przeciwko zamkom pańskim miała jeszcze inne złe następstwa. Wciągała ona miasta w długi szereg wojen pomiędzy sobą; z tego powodu powstała teoria, bardzo rozpowszechniona aż do czasów ostatnich, jakoby miasta straciły niepodległość na skutek wzajemnej rywalizacji oraz walk prowadzonych między sobą. Teorie te szczególnie podtrzymywali historycy imperialistyczni, badania współczesne jednak jej nie potwierdzają. Niewątpliwą wprawdzie jest rzeczą, że miasta włoskie walczyły między sobą ze ślepą zawziętością, nigdzie jednak poza Włochami walki między miastami nie przybrały takich rozmiarów. A nawet w samych Włoszech wojny między miastami, szczególnie z okresów dawniejszych miały swe przyczyny specjalne. Były one (jak to już udowodnili Sismondi i Ferrari) po prostu dalszym ciągiem wojny z zamkami: miejska zasada swobodnego łączenia się w związki musiała w sposób nieunikniony wywołać ostre starcia z feudalizmem, imperializmem i papieżem. Liczne miasta, które tylko częściowo zrzuciły jarzmo biskupa, barona lub cesarza, były po prostu wciągane przez szlachtę, cesarza lub kościół do walki przeciwko wolnym miastom; politykę tę uprawiano specjalnie w celu rzucenia zarzewia niezgody pomiędzy miastami. Te okoliczności szczególne (powtarzające się w pewnej mierze również w Niemczech) tłumaczą nam, dlaczego miasta włoskie szukały częściowo pomocy u cesarza przeciwko papieżowi, częściowo zaś szukały oparcia w Kościele, aby przeciwstawić się cesarzowi; doprowadziło to do znanego podziału na Gibelinów i Gwelfów, podział ten zaś dotyczył nie tylko poszczególnych miast, lecz również poszczególnych warstw w tym samym mieście.

Olbrzymi postęp gospodarczy, osiągnięty wówczas przez większość miast włoskich właśnie w najgorętszej chwili tej walki, jak również łatwość zawierania związków pomiędzy małymi miastami doskonale charakteryzują te walki i tym skuteczniej obalają teorię wyżej zaznaczoną. Już w latach 1130 – 1150 powstały potężne ligi miejskie, nieco zaś później, kiedy Fryderyk Barbarossa napadł na Włochy i podtrzymywany przez szlachtę oraz część miast zacończonych szedł na Mediolan, olbrzymia fala entuzjazmu ludowego została wywołana w miastach przez kaznodziei ludowych. Cremona, Piacenza, Brescia, Tortona itd. szły na pomoc; sztandary gildii z Verony, Padwy, Vincenzy i Trevizy powiewały jedno obok drugich w obozie miast walczących przeciwko wojskom szlachty i cesarza. W roku następnym powstała liga lombardzka, a po upływie 60 lat widzieliśmy ją wzmocnioną przez przyłączenie się wielu innych miast i przeistoczoną w potężną organizację, sięgającą jednym skrzydłem Genui a drugim Wenecji. W Toskanii i Florencji panowała inna potężna liga, do której należały Lucca, Bolonia, Pistoja itd.; liga ta przyczyniła się bardzo poważnie do złamania potęgi szlachty we Włoszech środkowych. Jednocześnie powstawały nieustannie ligi mniejsze. Niewątpliwą jest wobec tego rzeczą, że jakkolwiek istniały drobne zawiści i niezgody powstawały dość łatwo, nie stanowiły one jednak przeszkody w łączeniu się miast między sobą wówczas, gdy chodziło o wspólną obronę wolności. Dopiero później, kiedy miasta oddzielne stały się małymi państwami, doszło do wojny pomiędzy nimi, jak to zawsze bywa, gdy państwa walczą pomiędzy sobą o pierwszeństwo lub o kolonie.

Podobne ligi powstawały również w Niemczech, dla tych samych celów. Gdy za panowania następców Konrada cały kraj pogrążony był w niedoli z powodu nieustannych walk pomiędzy szlachtą, miasta westfalskie stworzyły związek zwrócony przeciwko rycerzom; jednym z punktów zasadniczych tego związku było zobowiązanie się do nie pożyczania pieniędzy rycerzowi, który będzie się zajmował przechowywaniem rzeczy ukradzionych. Podczas gdy "rycerze i szlachta żyli z grabieży i mordów" – jak skarży się Wormser Zorn – miasta reńskie (Moguncja, Kolonia, Spira, Strasburg i Bazylea) połączyły się w związek, liczący wkrótce 60 miast i mający na celu utrzymanie pokoju i poskromienie rozbójników. Później liga miast szwabskich podzielona na trzy "okręgi pokojowe" (Augsburg, Konstancja i Ulm) zmierzała ku tym samym celom. Nawet po złamaniu takich lig okazywało się, kto był rzeczywistym obrońcą pokoju: ujawniło się, że pokoju broniły miasta, gdy królowie, cesarze i kościół byli siewcami wojny; przy czym sami byli bezsilni wobec grabiących rycerzy. A więc od miast właśnie wychodziła myśl pokoju i jedności. Toteż prawdziwa jedność narodowa powstawała w miastach, miasta ją budowały, nie cesarze.

Związki podobne i dla celów podobnych powstawały również pomiędzy wioskami – i dzisiaj, kiedy uwaga historyków została na ten przedmiot zwrócona przez Luchairea, możemy spodziewać się, że sprawa wkrótce znacznie się wyjaśni. Wsie łączyły się w małe związki w obrębie contado florenckiego jak również na ziemiach podległych miastom rosyjskim, takim jak Nowogród i Psków. Co się tyczy Francji istnieją niewątpliwe dowody istnienia związku 17 wsi w Laonnais; związek ten istniał bez mała sto lat (aż do roku 1256) i walczył o swą niepodległość. Trzy podobne republiki chłopskie, które wkrótce oparły się na ustawach podobnych do ustaw z Laon i Soissons, istniały w sąsiedztwie Laon i pomagały sobie wzajemnie w walkach o wolność. Luchaire jest zdania, że wiele podobnych związków po-

wstało we Francji w wieku XII i XIII, lecz, że odnośne dokumenty po większej części uległy zniszczeniu. Wsie zwykle nie były otoczone murami, toteż bez trudu mogły być zniszczone przez rycerzy i szlachtę; lecz przy pewnych pomyślnych okolicznościach, gdy znalazły obronę w związku miast lub dzięki położeniu wśród niedostępnych gór, tego rodzaju republiki chłopskie stały się niepodległymi jednostkami federacji szwajcarskiej.

Związki miast zmierzające ku celom pokojowym należały do zjawisk najpowszedniejszych. Wzajemne stosunki pomiędzy miastami, rozpoczęte w okresie walk o niepodległość, nie przerwały się i w czasie późniejszym. Niekiedy, gdy scabini jakiegoś miasta włoskiego nie mogli znaleźć wyroku w sprawie zawilej, posyłali po wyrok do innego miasta. Wiemy dobrze, że miasta włoskie Forli i Ravenna wzajemnie nadały obywatelstwo swoim obywatelom i zapewniły im wszystkie prawa obydwóch miast. Do rzeczy zwykłych w owych czasach należało oddawanie zatargów pomiędzy dwoma miastami lub też zatargu wewnątrzmiastowego do rozstrzygnięcia jakiemuś innemu miastu występującemu w roli arbitra. Do rzeczy najzwyklejszych również należały układy handlowe pomiędzy miastami. Powstawały związki regulujące, pojemność beczek, używanych w handlu winem, "związki śledziowe" itp., będące poprzednikami takich wielkich organizacji handlowych, jak Hanza flamandzka a potem wielka Hanza niemiecka. Dzieje tych wielkich organizacji mogły być najlepszym dowodem ducha przenikającego owe czasy. Czyż trzeba dodawać, że dzięki związkom hanzeatyckim miasta średniowieczne bardziej przyczyniły się do rozwoju stosunków międzynarodowych, do rozwoju żeglugi morskiej i odkryć geograficznych, niż wszystkie państwa pierwszych 17 wieków naszej ery.

Słowem – związki pomiędzy jednostkami terytorialnymi, jak również związki pomiędzy oddzielnymi ludźmi, zmierzającymi ku tym samym celom, a także związki miast oraz grup miast wypełniły całe życie owego okresu. Cały okres od wieku X do XVI może być rozpatrywany jako olbrzymi wysiłek organizacji pomocy wzajemnej na zasadzie związków i zrzeszeń, jako wysiłek rozciągający się na całe życie ludzkie i obejmujący wszystkie możliwe stopnie. Próba ta dała wyniki wprost wspaniałe. Połączyła ona ludzi poprzednio rozdzielonych, zapewniła im wolność i zdziesięciokrotniła ich siły. W czasach, kiedy partykularyzm był nieustannie podniecany przez tak liczne okoliczności i kiedy powody do waśni i zawiści spotykało się wprost na każdym kroku, jest rzeczą pocieszającą, że miasta rozrzucone na olbrzymich przestrzeniach kontynentu mają pomiędzy sobą tak dużo wspólnego, że zawsze gotowe są do łączenia się dla celów wspólnych. Ostatecznie upadły one wobec przemożnych wrogów. Nie rozumiejąc należycie zasady pomocy wzajemnej popełniły szereg błędów fatalnych. Główną jednak przyczyną ich upadku bynajmniej nie była zawiść ani walki wzajemne i błąd ich zgoła nie polegał na tym, że brakło im ducha jednoczenia się.

Rezultaty tego wielkiego ruchu, z którego narodziły się i powstawały miasta włoskie, były wprost olbrzymie. Na początku wieku XI miasta europejskie były grupami nędznych chat, których ozdobą były niskie i ciężkie kościoły budowane przez architektów, mających słabe jeszcze pojęcie o tym, jak wiązać sklepienie. Sztuki i rzemiosła, ograniczające się do tkactwa i kowalstwa, były w kolebce; książki znaleźć można było zaledwie w nielicznych klasztorach. Trzysta pięćdziesiąt lat później oblicze Europy zmieniło się zupełnie. Wszędzie widniały bogate miasta otoczone wysokimi i grubymi murami z basztami i bramami,

z których każda stanowiła dzieło sztuki. Katedry pomyślane w wielkim stylu i bogato ozdobione wznosiły ku niebu swe dzwonnice, o tak nieporównanej czystości form i takiej śmiałości wyobraźni, jakie dzisiaj próżno usiłujemy osiągnąć. Sztuki i rzemiosła dosięgły takiej doskonałości, że w wielu kierunkach nic lepszego nie osiągnęliśmy do dnia dzisiejszego, o ile pomysłowość robotnika i wykończenie dzieła cenimy wyżej od szybkości fabrykacji. Okręty wolnych miast przecinały we wszystkich kierunkach morze Północne i Śródziemne; jeszcze niewielki wysiłek a przepłynęłyby ocean. Na olbrzymich przestrzeniach kraju dobrobyt zajął miejsce nędzy; nauka rozwinęła się i rozpowszechniła. Zostały wypracowane metody naukowe; założono podstawy fizyki i utworowano drogę tym wszystkim mechanicznym wynalazkom, z których tak dumne są nasze czasy. Takie są cudowne zmiany dokonane w Europie w ciągu niespełna 400 lat. Straty, poniesione przez Europę z powodu upadku wolnych miast, mogą być ocenione dopiero wówczas, gdy porównamy wiek XVII z XIV lub XIII. Zniknął dobrobyt, tak znamienity wówczas dla Szkocji, Niemiec i równin włoskich; drogi stały się nie do przebycia, miasta wyludniły się, praca spadła do poziomu niewolnictwa, sztuka zamarła, nawet handel chylił się ku upadkowi.

Gdyby miasta średniowieczne nie pozostawiły nam żadnych dokumentów, świadczących o ich wspaniałości, gdyby nie pozostało po nich nic oprócz pomników architektury, które podziwiamy dzisiaj w całej Europie – od Szkocji do Włoch i od Gerony w Hiszpanii do Wrocławia na ziemiach słowiańskich – jeszcze i tak musielibyśmy dojść do wniosku, że okres wolnych miast był najpłodniejszym w następstwa okresem dziejowym całej ery chrześcijańskiej aż do końca wieku XVIII. Jeżeli spojrzymy np. na średniowieczne malowidła, przedstawiające Norymbergę z jej wieżami i dzwonicami, z których każda jest wyrazem geniuszu artystycznego, z trudem zaledwie będziemy mogli sobie wyobrazić, że 300 lat temu miasto to było tylko zbiorowiskiem nędznych chałup. Nasz zachwyt wzrośnie jeszcze, jeśli wejdziemy w szczegóły architektury niezliczonych kościołów, dzwonic, bram miejskich i ratuszów, rozrzuconych po całej Europie i sięgających na wschód aż do Czech i do martwych dzisiaj miast byłej Galicji. Nie tylko Włochy, ta ojczyzna sztuki, lecz cała Europa pełna jest takich zabytków. Wysoce znamienitym jest sam fakt, że spośród wszystkich sztuk architektura – sztuka o charakterze wybitnie społecznym – osiągnęła najwyższy rozwój. Aby sztuka ta mogła wznieść się na ten stopień doskonałości, musiała być wytworem życia wybitnie społecznego.

Architektura średniowieczna doszła do swej wspaniałości nie tylko dzięki temu, że była wynikiem rozwoju rękodzielnictwa, nie tylko dlatego, że każdy budynek, każda ozdoba architektury wykonywana była przez ludzi świadomych (dzięki doświadczeniu rąk własnych), jakie nadzwyczajne efekty artystyczne otrzymać można z kamienia, żelaza, brązu a nawet z prostych belek i zaprawy wapiennej; nie tylko dzięki temu, że każdy pomnik był wynikiem doświadczeń zbiorowych, nagromadzonych w "tajemnicach" cechowych – architektura średniowieczna była wielka, ponieważ zrodziła ją wielka idea. Wyrosła ona, jak sztuka grecka, z wielkiej idei braterstwa i zjednoczenia wykuwanej w miastach. Architektura ta posiadała śmiałość, jaką dają tylko bitwy i zwycięstwa; posiadała ona rozmach męski i energię życiową, ponieważ rozmach męski przenikał całe życie organizmu społecznego. Katedra, ratusz symbolizowały wielkość danego organizmu i gmachy te wznoszone

były wspólnym twórczym wysiłkiem każdego murarza i każdego kamieniarza; nie był to plan poszczególnej jednostki, wykonywany przez tysiące niewolników - gmach średniowieczny wznoszony był przez całe miasto. Smukła dzwonnica wyrastała nad katedrę, w której tętniło życie całego miasta, bynajmniej zaś nie była bezmyślnym rusztowaniem, jak np. paryska wieża Eiffla, ani też brzydką budowlą jak londyńska Tower Bridge, wstydliwie ukrywająca szkielet żelazny pod powłoką kamienną. Katedra średniowieczna, jak Akropolis Ateńskie, miała na celu głoszenie wielkości miasta zwycięskiego; była ona symbolem zjednoczenia rzemiosł, wyrażała duszę każdego obywatela, uważającego miasto za swój własny twór. Często po dokonaniu rewolucji rzemieślniczej, miasto rozpoczynało budowę nowej katedry w celu dania wyrazu szerszemu, nowemu związkowi, który wówczas powstał do życia.

Środki, jakimi rozporządzano przy tych wielkich przedsięwzięciach, były zadziwiająco skromne. Katedrę kolońską rozpoczęto wydatkowaniem sumy 500 marek rocznie; dar stumarkowy zapisywany był do wielkich darów; nawet wówczas, gdy dzieło już zbliżało się do końca, gdy wraz z jego wielkością wzrosły i ofiary; roczny dopływ środków był nie większy niż 5000 marek i nigdy nie przekroczył 14.000. Nie należy jednak zapominać, że każdy związek miejski, każdy cech składał w ofierze swoją część wysiłku i swoje zdolności artystyczne dla dobra wspólnego gmachu. Każda gildia usiłowała w gmachu tym uwiecznić swe idee polityczne, dając w kamieniu lub brązie odbicie dziejów miasta, głosząc zasady "wolności, równości i braterstwa", (odpowiadające tym pojęciom trzy figury znajdują się pomiędzy zewnętrznymi ozdobami katedry Notre Dame w Paryżu), sławiąc sojuszników miasta i oddając jego wrogów czeluściom piekielnym. Każda gildia dawała wyraz swej miłości dla wspólnego pomnika, ozdabiając go barwnymi witrażami lub drzwiami "godnymi prowadzić do raj" - jak powiedział Michał Anioł - lub też, pokrywając rzeźbami najdrobniejsze załamy murów. Małe miasta, a nawet małe parafie współzawodniczyły pod tym względem skutecznie z wielkimi zbiorowiskami ludzkimi i katedry w Laon lub Saint Ouen nie ustępują w niczym katedrze w Reims, ratuszowi w Bremie lub dzwonnicy na Placu Wieców we Wrocławiu. Rada miasta. Florencji orzekła, że "miasto powinno przystępować tylko do takich dzieł, które odpowiadają wielkiemu sercu miasta, złożonemu z serc wszystkich obywateli złączonych jedną wspólną wolą." Duch taki występuje we wszystkich miejskich dziełach użyteczności społecznej, takich jak kanały, tarasy, winnice i ogrody owocowe, otaczające Florencją a także kanały irygacyjne, przecinające równiny Lombardii; występuje on również w akwedukcie Genueńskim i we wszystkich wielkich dziełach przedsięwziętych przez miasta średniowieczne.

W ten sposób w mieście średniowiecznym rozwijały się wszystkie sztuki i to, czym sztuka żyje dzisiaj, jest tylko dalszym ciągiem rzeczy zrodzonych w średniowieczu. Dobrobyt i pomyślność miast flamandzkich były oparte na delikatnych, wyrabianych przez mieszczanina, tkaninach wełnianych. Florencja na początku wieku XIV, przed czarną zarazą, wyrabiała od 70.000 do 100.000 panni tkanin wełnianych ocenianych na 1.200.000 złotych florenów. Cyzelowanie drogich metali, sztuka giserska, kowalstwo artystyczne - wszystko to zrodziło się w "tajemnicach" cechowych, z których każda osiągnęła swojej dziedzinie wszystko, co bez pomocy silnika mechanicznego człowiek osiągnąć może. Wszystko to było

dziełem ręki i wynalazczości ludzkiej; przytoczymy tu słowa Whewella: "Pergamin i papier, druk i drzeworytnictwo, udoskonalone szkło i stal, proch strzelniczy, zegary, teleskopy, igła magnesowa, kalendarz zreformowany, znaki dziesiętne, algebra, trygonometria, chemia, kontrapunkt (wynalazek równający się nowej muzyce) - wszystko to zawdzięczamy okresowi, który tak niesłusznie nazwano okresem zastoju." (History of Inductive Sciences).

Wprawdzie żaden z tych wynalazków nie był wynikiem jakiejś nowej zasady, lecz – jak mówił Whewell – nauka średniowieczna uczyniła coś więcej niż odkrycie poszczególnych nowych zasad. Przygotowała ona bowiem te wszystkie zasady, które dzisiaj leżą u podstawy nauk mechanicznych: przyzwyczała badacza do obserwowania faktów i do wyciągania z nich wniosków. Była to już wiedza indukcyjna, jakkolwiek sama sobie nie zdawała jeszcze sprawy z potęgi indukcji; i wówczas już złożyła podwaliny zarówno fizyki jak i mechaniki. Franciszek Bacon, Galileusz i Kopernik byli bezpośrednimi potomkami Rogera Bacona i Michała Scota, podobnie jak maszyna parowa była bezpośrednim rezultatem badań prowadzonych w uniwersytetach włoskich nad ciężarem atmosfery, a także rezultatem matematycznych i technicznych zdobyczy, osiągniętych w Norymberdze.

Lecz po cóż zadawać sobie trud udowodnienia rozwoju nauki i sztuki w mieście średniowiecznymi? Czyż nie wystarczy wskazać katedry, jeśli chodzi o dziedzinę sprawności technicznej, na język zaś włoski i na poemat Dantego, gdy chodzi o dziedzinę myśli, aby natychmiast dać miarę tego, co stworzyło miasto średniowieczne w ciągu czterech stuleci swego istnienia?

Miasta średniowieczne oddały cywilizacji europejskiej olbrzymie zasługi. Nie dopuściły do tego, aby teokracja i stare państwa despotyczne zapanowały nad cywilizacją, wpoili jej zaufanie do własnych sił, obdarzyły ją inicjatywą, dały jej olbrzymie siły intelektualne i materialne, które cywilizacja dzisiaj posiada i które stanowią najlepszą rękojmię odporności przeciwko nowej inwazji ze wschodu. Czemu jednak te ośrodki cywilizacji, tak głęboko odpowiadające potrzebom ludzkim i tak bardzo żywotne, nie miały dłuższego żywota? Czemu w wieku XVI przysłała na nie starość i czemu po odparciu tylu ataków z zewnątrz, upadły wreszcie pod parciem walk wewnętrznych?

Złożyły się na to liczne przyczyny: jedne z nich tkwiły w odległej przeszłości, inne miały źródło w błędach popełnionych przez same miasta. W końcu wieku XV zaczęły pojawiać się potężne państwa zorganizowane na stary wzór rzymski. W każdym kraju, w każdej okolicy jakiś pan feudalny bardziej przebiegły, bardziej chciwy a często posiadający mniej skrupułów niż sąsiedzi, zagarniał na własność osobistą wielkie obszary ziemi, znaczną ilość chłopów, miał więcej rycerzy w swej drużynie i więcej złota w skarbcu. Pan taki za siedzibę swoją obierał zwykle grupę wsi korzystnie położonych, nie wciągniętych jednak w wolne życie miejskie; takimi ośrodkami przyszłej władzy, nie będącymi miastami samodzielnymi, był Paryż, Madryt, Moskwa i inne. Z tych siedzib przy pomocy pracy chłopów poddanych czyniono miasta obronne, do których wciągano potem towarzyszy broni, zachęcając ich nadawaniem wsi, oraz kupców, zapewniając opiekę nad handlem. Tak powstał zarodek przyszłego państwa, wchłaniającego w siebie stopniowo inne podobne ośrodki. Prawnicy, znawcy prawa rzymskiego, napływali do tych ośrodków; a była to rasa ludzi ambitnych i wytrwałych, jednako nienawidzących próżniactwa panów, jak tego, co nazywali bezpra-

wiem chłopów. Prawnicy ci nie znali podstaw wspólnoty wiejskiej, zasady wolnych związków zaś budziły w nich odrazę jako spadek po "barbarzyńcach". Ideałem ich był cezaryzm, podtrzymywany przez fikcję przyzwolenia ludu i przez siłę zbrojną; toteż usilnie pracowali na rzecz tych, którzy podejmowali się urzeczywistnić ich ideały.

W tym samym kierunku działał również Kościół chrześcijański – niegdyś wróg prawa rzymskiego, a dziś jego sojusznik. Ponieważ próba stworzenia teokratycznego państwa w Europie zawiodła, najinteligentniejsi i najambitniejsi biskupi współdziałali teraz z prawnikami rzymskimi w celu odbudowania potęgi królów izraelskich lub imperatorów konstantynopolitańskich. Kościół uświęcał wzrastających w potęgę władców, koronował ich jako przedstawicieli Boga na ziemi, do ich potrzeb przystosował naukę i politykę swych podwładnych, błogosławił i przekleństwo, na ich usługi oddawał te sympatie, które udało mu się zachować między ubogimi. Chłopi, których miasta nie chciały lub nie mogły oswobodzić, widząc, że nie można liczyć na miasta w celu położenia kresu nieustannym walkom rycerzy – jak wiemy, za walki te chłopci płacili bardzo drogo – zwrócili się teraz z całą nadzieją ku królowi, ku cesarzowi lub ku wielkiemu księciu; i pomagając tym wielkim władcom do opanowania drobniejszych panów feudalnych, tym samym współdziałali z nimi w stworzeniu państwa scentralizowanego. Do tego wszystkiego przyłączyły się napady Mongołów i Turków, święta wojna przeciw Maurom w Hiszpanii, a także straszne wojny, które niebawem wybuchły pomiędzy wzrastającymi ośrodkami władzy państwowej; pomiędzy Ile de France a Burgundią, pomiędzy Szkocją a Anglią, Anglią a Francją, Litwą a Polską, Moskwą a Twerem itd. Potężne państwa wystąpiły na widownię i miasta musiały teraz walczyć nie tylko z luźnymi związkami panów, lecz także z silnie zorganizowanymi ośrodkami władzy, mającymi do rozporządzenia całe armie chłopów poddanych.

Najgorszą zaś rzeczą jest to, że rozwijające się autokracje znalazły oparcie w waśniach pomiędzy samymi miastami. Idea organizacyjna miasta średniowiecznego była wielka i szczytna, lecz zakres jej był zbyt wąski. Pomoc wzajemną nie może ograniczać się do małego zrzeszenia: musi ona rozszerzać się na całe otoczenie, gdy w przeciwnym razie otoczenie wchłonie w siebie nową organizację. Lecz pod tym względem obywatel miasta średniowiecznego popełnił ciężki błąd na samym wstępie. Zamiast spoglądać na chłopów i rzemieślników, skupionych pod ochroną murów miejskich, jako na pomocników współdziałających we wznoszeniu miasta – czym byli oni rzeczywiście – mieszczanin wytworzył głęboki przedział pomiędzy starymi "rodzinami" miejskimi a nowymi przybyszami. Dla starych rodzin przeznaczone były wszystkie korzyści płynące z handlu miejskiego, i dla nich też zarezerwowane były ziemie, należące wspólnie do miasta, przybyszom zaś nie pozostawiano nic oprócz prawa swobodnego rozporządzania wytworem rąk własnych. Wskutek tego miasto zostało podzielone: z jednej strony byli "mieszczanie" lub "gmina", z drugiej zaś – "mieszkańcy". Handel, który przedtem był prowadzony przez całe miasto, stał się teraz przywilejem garstki rodzin kupieckich lub rzemieślniczych, co w dalszym ciągu prowadziło w sposób nieunikniony do przywileju indywidualnego lub do przywileju całych grup gnębieli.

Taki sam podział ustalili się pomiędzy miastem właściwym a wsiami okolicznymi. Miasto próbowało wprowadzić z początku wyzwolić chłopów, lecz jego walki z panami, jak to już

zaznaczyliśmy, miały na celu wyzwolenie tylko samego miasta, o chłopach zaś zapomniano. Miasto pozostawiło panu wszystkie jego prawa w stosunku do chłopów, byleby tylko pozostawił w spokoju miasto i byleby zgodził się zostać jego współobywatelem. Ale szlachta, "adoptowana" przez miasto i mieszkająca teraz wewnątrz murów, po prostu przeniosła do miasta swe dawne waśnie. Panowie nie mieli najmniejszej ochoty poddawać się trybunałom złożonym z prostych kupców i rzemieślników i rozstrzygali swe stare waśnie na ulicach miejskich. Każde miasto miało teraz swoich Colonnów i Orsinich, swych Overstolców i Wisów. Panowie ci, ciągnący ogromne dochody z ziemi, jaką utrzymali w swym posiadaniu, otaczali się w miastach liczną gromadą służalców i samo miasto wciągali w obręb zwyczajów feudalnych. Jeśli zaś powstawało niezadowolenie w rzemieślniczych grupach miasta, ofiarowywali swe drużyny i swój miecz w celu rozstrzygnięcia walki; wskutek tego walka zaostrzała się, zamiast żeby spór spłynął spokojnie starymi kanałami organizacji miejskiej.

Największym i najfatalniejszym błędem większości miast było to, że dobrobyt swój założyły one na handlu i przemyśle, z zupełnym zaniedbaniem rolnictwa. W ten sposób weszły na tę samą drogę, po której kroczyły niegdyś miasta Grecji Starożytnej, i droga ta doprowadziła je do tych samych przestępstw.

Obcość powstająca pomiędzy miastem a krajem je otaczającym, wciągała miasta w sposób nieunikniony w politykę wrogą względem całej reszty kraju; stawało się to coraz bardziej widoczne w czasach Edwarda III, podczas żakierii francuskich, za wojen husyckich i podczas wojny chłopskiej w Niemczech. Z drugiej strony polityka handlowa wciągała miasta w niebezpieczne przedsięwzięcia w krajach odległych. Włosi pozakładali kolonie na południowym-wschodzie. Poczęto utrzymywać armie najemne w celu prowadzenia wojen kolonialnych i armie te wkrótce zostały użyte również dla obrony samego miasta. Zaciągano pożyczki w takich rozmiarach, że zdolne one były zupełnie zdemoralizować mieszczan; jednocześnie zaś przy każdych wyborach waśnie wewnętrzne zaostrzały się coraz bardziej i pozwalały wysuwać się na czoło politykom kolonialnym występującym w interesie nielicznych rodzin. Podział na bogatych i biednych pogłębił się bardzo znacznie i w wieku XVI władza królewska znalazła łatwe oparcie w masach biedoty miejskiej.

Jest jednak jeszcze inna przyczyna rozkładu instytucji miejskich, sięgająca wyżej i leżąca głębiej niż wszystko, co dotąd powiedzieliśmy. Dzieje miast średniowiecznych są niezmiernie wyraźnym przykładem wpływu idei i zasad na losy ludzkości; widzimy w nich, do jak różnych rezultatów dojść możemy, gdy zajdą zmiany w ideałach przewodnich. Wiara w swe siły i federalizm, niepodległość każdej grupy i tworzenie się ciała społecznego od dołu ku górze, od organizacji prostych do złożonych – oto była myśl przewodnia wieku XI. Później jednak pojęcia zmieniły się całkowicie. Prawnicy rzymscy i prałaci kościelni, ściśle związani ze sobą od czasu Innocentego III, skutecznie sparaliżowali ideę – starą ideę grecką – leżącą w założeniu miast średniowiecznych.

W ciągu dwóch lub trzech wieków nauczali oni z ambon, z katedr uniwersyteckich i z sądowych, że ku zbawieniu wiedzy jedynie państwo scentralizowane, poddane władzy półboskiej. Jeden człowiek może i powinien być zbawcą całego społeczeństwa i w jego imieniu zadawać można wszelki gwałt: palić ludzi na stosie, poddawać ich torturom najokropniej-

szym, pograżać całe kraje w nędzy. Poglądy te były ilustrowane niezliczonymi przykładami i w wysiłkach łączyły się tu miecze rycerzy i ogień kościoła. Te nauki i przykłady, powtarzające się nieustannie i nieustannie wbijane ludziom do głowy urobiły społeczeństwo na nową modłę. Ludzie doszli do tego, że żadnej władzy nie uważali za nadmierną, żadnej tortury za zbyt okrutną – byleby to było dla bezpieczeństwa publicznego. Wraz z tym nowym kierunkiem myśli, wraz z tą nową wiarą w potęgę jednostki dawna zasada federalistyczna zaczęła upadać, zamierała też dawna twórczość mas. Zwyciężyła idea rzymska, a w tych warunkach państwo centralistyczne łatwo opanować mogło organizację miejską.

Florencja wieku XV jest tu przykładem typowym. W czasach dawniejszych powstanie ludowe było znakiem nowego okresu twórczości. Teraz zaś, kiedy lud doprowadzony do rozpaczki buntował się, nie było już w nim idei twórczych; żadna nowa idea z takiego ruchu się nie rodziła. Do Rady Miejskiej wprowadzono tysiąc przedstawicieli zamiast czterystu; do signorii weszło stu ludzi zamiast osiemdziesięciu; lecz była to tylko zmiana osób, nie mająca żadnego poważnego znaczenia. Niezadowolenie ludowe wzrastało, a za tym nastąpić musiały nowe rewolucje. Na czoło ruchu wysuwano zbawcę "tyrana", który urządzał rzeź buntowników; to jednak niezdolne było wyleczyć miasta i rozkład posuwał się dalej. Nawet wówczas, gdy lud florencki po powstaniu udał się po radę do najpopularniejszego wówczas człowieka, do Savonaroli, mnich odpowiedział: "O ludzie mój, ty sam wiesz, że nie mogę mieszać się w sprawy państwowe... Oczyszczyć duszę własną i jeśli w tym stanie ducha odmienisz gospodarkę miejską; wówczas o ludu florencki, zapoczątkujesz reformę całej Italii!" Spalono maski karnawałowe i księgi rozpustne, wydano prawo o miłosierdziu i inne prawo przeciw lichwiarzom – a jednak demokracja florencką nie posunęła się naprzód – dawny duch zamarł. Zbytne poleganie na rządzie doprowadziło do tego, że ludzie przestali wierzyć sami sobie i niezdolni byli znaleźć nowych dróg. Państwu pozostawało tylko przyjść i zniszczyć ostatni ślad wolności.

A przecież prąd pomocy wzajemnej, pomimo całej klęski, bynajmniej nie zamarł w masach i płynął dalej gdzieś w głębi. Wezbrał on znowu z wielką siłą w odpowiedzi na odezwę pierwszych propagatorów reformy i żył nieustannie nawet wówczas, kiedy masy zawiódłszy się w nadziei urzeczywistnienia nowego życia, złączonego z reformą religijną, dostały się pod panowanie władz autokratycznych. Prąd ten płynie nieustannie aż do dnia dzisiejszego i szuka sobie ujścia, szuka wyrazu poza instytucjami państwowymi; wyrazem dla niego nie może być już państwo, ani miasto średniowieczne, ani barbarzyńska wspólnota wiejska, ani też klan ludzi dzikich; prąd ten brałby udział we wszystkich tych formach i przewyższałby je ideą szerszą i głębiej ludzką.

Rozdział 7 i 8. Pomoc wzajemna w naszych czasach

Skłonność do pomocy wzajemnej jest tak głęboko zakorzeniona w człowieku, tak dalece sięga w przyszłość ludzką, że zachowała się aż do dnia dzisiejszego, pomimo wszystkich błędów historii. Rozwijala się ona głównie w okresach pokoju i pomyślności; lecz nawet w czasach wielkich klęsk – kiedy całe kraje pustoszone były przez wojnę, kiedy całe narody dziesiątkowane były przez nędzę lub jęczały pod jarzmem tyranów – te same dążenia istniały w dalszym ciągu na wsi oraz w mieście wśród klas najuboższych. Pomoc wzajemna utrzymywała ludzi w łączności i ostatecznie oddziaływała nawet na tych, którzy rządząc, walcząc i wyzyskując masy, odwracali się od niej jako od sentymentalnego głupstwa. I lekroć ludzkość musiała wypracowywać nowe formy organizacji społecznych przystosowane do nowych okresów rozwojowych, twórczość ludzka zawsze zwracała się po natchnienie do tego samego wiecznie żywego dążenia. Nowe instytucje gospodarcze i społeczne, o ile tylko były tworem mas, nowe systemy etyczne i nowe religie – wszystko to pochodziło z tego samego źródła; i postęp etyczny ludzkości, rozpatrywany w granicach najszerszych, ujawnia się jako stopniowe rozrastanie się zasad pomocy wzajemnej – od plemienia do coraz większych gromad ludzkich – aż w końcu obejmie całą ludzkość bez różnicy wierzeń, języków i ras.

Europejczycy, którzy w rozwoju swym przebyli stan dzikiego plemienia a następnie stan wspólnoty wiejskiej, doszli w średniowieczu do wyrobienia nowej organizacji, której zaletą było to, że pozostawiała szerokie pole inicjatywie osobistej, odpowiadając jednocześnie ludzkiej potrzebie pomocy wzajemnej. W mieście średniowiecznym powołana została do życia federacja wspólnot wiejskich, pokryta całą siecią gildii, cechów i bractw. W rozdziałach poprzednich omówiliśmy szeroko te ogromne korzyści, które owa forma organizacyjna przyniosła ludzkości zarówno pod względem technicznym jak naukowym i handlowym; próbowaliśmy także ujawnić te przyczyny, które w końcu wieku XV sprowadziły upadek republik średniowiecznych, otoczonych władcami feudalnymi, niezdolnych wyswobodzić chłopów – w znacznej mierze wskutek opętania przez idee cezaryzmu rzymskiego; widzieliśmy, jak miasta stały się ofiarą wzrastających państw militarnych.

Jednakże przed poddaniem się na okres trzech stuleci pochłaniającej wszystko władzy państwa, masy ludowe raz jeszcze przedsięwzięły wysiłek w celu odbudowania społeczeństwa na starej podstawie pomocy wzajemnej. Wiemy dobrze, że wielki ruch reformy kościelnej był czymś więcej aniżeli tylko protestem przeciwko nadużyciom katolicyzmu. Posiadał on swój ideał twórczy, a był to ideał wolnego życia w komunach braterskich. Te spo-

śród pism i kazań, pierwszych okresów Reformacji, które znalazły najsilniejszy oddźwięk w masach, były przepełnione ideami braterstwa ekonomicznego i społecznego. "12 Artykułów" i podobne wyznania wiary, tak licznie krążące wówczas pomiędzy niemieckimi i szwajcarskimi chłopami i rzemieślnikami, domagały się nie tylko prawa swobodnego wykładu biblij, lecz również wołały o wspólne posiadanie ziemi, o powrót do wspólnoty wiejskiej po obaleniu pańszczyzny i opierały się zawsze na wierze "prawdziwej" – to jest na wierze w braterstwo. Jednocześnie dziesiątki tysięcy kobiet i mężczyzn przyłączały się do komunistycznych bractw morawskich, oddawały im wszystko, co posiadały, i pędziły żywot w pomyślnie rozwijających się osadach zbudowanych na zasadach komunistycznych. Tylko olbrzymie rzezie masowe, których ofiarą padały tysiące, mogły położyć tamę temu ruchowi ludowemu; powstające wtedy młode państwa zapewniły sobie zwycięstwo nad masami ludowymi przy pomocy miecza, ognia i tortur.

Rozpoczęło się teraz – zarówno na kontynencie Europy, jak na Wyspach Brytyjskich – systematyczne tępienie przez państwo wszystkich tych instytucji społecznych, w których dążenie do pomocy wzajemnej znalazło swój wyraz. Gminy wiejskie zostały pozbawione prawa zbierania się; odebrano im sądownictwo i samosąd; ziemie gminne ulegały konfiskacie. Gildie zostały ograbione z wolności i poddane kontroli, kaprysom i szykanom urzędników państwowych. Miastom odebrano niepodległość i pozbawiono je jądra życia miejskiego – zgromadzenia ludowego; sędziowie i urzędnicy z wyboru zostali usunięci, unicestwiono parafię i niepodległą gildię. Urzędnicy państwowi stanęli na miejscu tych ogniw społecznych, które przed tym składały się na całość organiczną. Wskutek takiej ponurej polityki i zrodzonych przez nią wojen całe ogromne kraje, niegdyś gęsto zaludnione i zamożne, opustoszały; bogate miasta spadły do rzędu nic nieznaczących osad; nawet drogi niegdyś je łączące stały się nie do przebycia. Przemysł, sztuka i nauka upadły.

Nauczanie społeczne, przyrodnicze i prawnicze – wszystko poddane było idei centralizmu państwowego. Z katedr uniwersyteckich i ambon głoszone nieustannie, że instytucje pomocy wzajemnej nie mogą być tolerowane w państwie dobrze zorganizowanym; uważano teraz, że tylko państwo może być wyrazem jedności pomiędzy poddanymi; głoszone, że federalizm i "partykularyzm" są wrogami postępu i we jedynie państwo może być inicjatorem rozwoju. W końcu wieku XVIII królowie Europy środkowej, parlament w Anglii i rewolucyjna konwencja we Francji, pomimo wojen istniejących między tymi państwami, zgodzili się na jedno – że w państwie niedopuszczalne są związki między obywatelami; jednocześnie zawyrokowano, że ciężkie roboty i śmierć są jedyną karą, na jaką zasługują robotnicy, tworzący "zmowy". "Nie może być państwa w państwie!" Wyłącznie państwo i kościół państwowy mają prawo dbać o interesy obywateli, którzy winni być jedynie luźnym zbiorowiskiem jednostek niczym niepowiązanych i obowiązanych zwracać się do rządu każdorazowo, gdy czują konieczność zaspokojenia jakiejś wspólnej potrzeby. Aż do połowy wieku XIX teoria ta panowała nad całym życiem europejskim. Nieufnie spoglądano nawet na zrzeszenia kupców i przemysłowców. Co się zaś tyczy robotników, to związki ich uważano po prostu za bezprawie – do lat trzydziestych w Anglii i do osiemdziesiątych na kontynencie. Cały system wychowania państwowego zmierzał ku temu, aby wszystkie wy-

siłki skupić wokół państwa i aby przekonać obywateli, że wolne zrzeszanie się ludzi jest przestępstwem.

Pochłonięcie wszystkich zadań społecznych przez państwo sprzyjało w sposób konieczny rozwojowi ciasnego, niczym nieokiełzanego indywidualizmu. W miarę wzrastania zobowiązań względem państwa, obywatele coraz bardziej czuli się zwolnieni od zobowiązań wzajemnych. W czasach średniowiecznych każdy był członkiem jakiejś gildii lub bractwa – i "bracia" byli obowiązani pomagać sobie nawzajem: w razie choroby dwóch "braci" musiało czuwać przy łożu chorego; teraz wystarczyło podać choremu sąsiadowi adres najbliższego szpitala dla biednych. Jeśli w społeczeństwie barbarzyńskim człowiek przyglądał się obojętnie walce zakończonej śmiercią jednego z walczących, to sam uważany był za mordercę; lecz wobec teorii wszechopieki państwa świadek takiej walki nie ma obowiązku interwencji: od tego przecież jest policjant.

I kiedy w kraju dzikim, np. wśród Hotentotów, byłoby czymś oburzającym, gdyby ktoś jadł sam nie zaprosiwszy na posiłek wszystkich głodnych, jacy w pobliżu mogą się znajdować – wszystko, do czego obowiązany jest szanowny obywatel współczesny, to płacenie podatków i obojętność wobec głodnych ludzi. Wynikiem tego wszystkiego jest niepodzielne panowanie teorii, jakoby człowiek miał prawo i musiał uganiać się jedynie za szczęściem osobistym, bez względu na potrzeby bliźnich. Pogląd taki panuje dzisiaj w prawie, w nauce i w religii, i kto wątpi jego prawdziwość, uważany jest za utopistę. Nauka głosi na wsze strony, że zasadą przewodnią przyrody jest walka wszystkich przeciw wszystkim i że w społeczeństwie ludzkim ma panować ta sama zasada. Tej to walce biologia przypisuje postępowy rozwój świata zwierzęcego. Historia opiera się na podobnym rozumowaniu, ekonomiści zaś w swej zupełnej ignorancji cały postęp przemysłu techniki przypisują "cudownemu działaniu" tej właśnie zasady.

Mogłoby się здаwać, że poszukiwanie instytucji pomocy wzajemnej w społeczeństwie współczesnym byłoby wysiłkiem bezcelowym. Bo i cóż mogło z nich pozostać? A jednak gdy patrzymy bliżej na życie milionów ludzi, gdy wnikamy w codzienne ich stosunki, uderza nas mnogość istniejących instytucji pomocy wzajemnej. Pomimo wielowiekowego tępienia tych instytucji w praktyce i w teorii, wciąż jednak trwają one, a tam, gdzie przestały istnieć, są powoływane na nowo do życia. W naszych codziennych stosunkach każdy z nas przebywa chwile buntu przeciwko konwencjonalnym wierzeniom indywidualistycznym i gdybyśmy powstrzymali wylew tych dążeń, w których ludzie dają ujście swej potrzebie pomocy wzajemnej, niewątpliwie zatamowalibyśmy cały postęp moralny; społeczeństwo ludzkie nie utrzymałoby się nawet przez jedno pokolenie.

Gdy przyjrzymy się współczesnym społeczeństwom europejskim, uderzy nas fakt, że wspólnota wiejska, pomimo tak długiego jej tępienia, wciąż jeszcze istnieje i nieustannie pojawiają się próby jej wznowienia. Zgodnie z powszechnie przyjętą dzisiaj teorią, gminne władanie ziemią zginęło w Europie Zachodniej śmiercią naturalną, ponieważ było one niezgodne z wymaganiami rolnictwa współczesnego. Naprawdę jednak wspólnota wiejska nigdzie nie zniknęła sama przez się, przeciwnie – we wszystkich krajach klasy rządzącej zużyły kilka stuleci na walkę z gminą wiejską i na odebranie jej ziemi.

We Francji już w wieku XVI rozpoczęto się ograbianie gmin wiejskich z ziemi i wolności; jednak dopiero w wieku XVII, kiedy masy chłopskie doprowadzone były przez podatki i wojny do ostatecznej nadzy, gmina wiejska otrzymała cios śmiertelny; grabienie ziemi gminnej przybrało wówczas, jak twierdzą historycy, rozmiary wprost niesłychane.

”Z ziem gminnych każdy brał, ile tylko mógł zagarnąć... Ziemie te obciążono długami zgoła nieistniejącymi, byleby tylko móc je rozgrabić” – jak to czytamy w edykcie Ludwika XIV z roku 1667. Państwo zachowywało się w stosunku do tego wszystkiego jak rabuś i dwa lata później cały dochód z gmin wiejskich został skonfiskowany przez króla.

Dzielenie się ziemiami gminnymi przez szlachtę i Kościół w latach następnych przybierało rozmiary coraz poważniejsze i doszło do tego, że połowa uprawnej niegdyś ziemi leżała teraz odłogiem. Mimo to jednak chłopci wciąż jeszcze utrzymywali instytucje gminne i zebrania gromadzkie odbywały się we Francji aż do roku 1787; wciąż jeszcze zbierano się pod starym drzewem lub u podnóża dzwonnicy, dzielono ziemię, ile jej jeszcze do podziału pozostało, ustanawiano opłaty gminne i wybierano funkcjonariuszy – zupełnie tak samo, jak to czyni mir rosyjski, aż do dnia dzisiejszego.

Rząd jednak doszedł do wniosku, że zgromadzenia gminne są zbyt buntownicze i w roku 1787 na miejsce funkcjonariuszy obieralnych wprowadził mera, z góry naznaczonego, i również z góry naznaczonych trzech do sześciu syndyków, wybieranych spośród najzamożniejszych włościan. Po upływie dwóch lat konstytuanta rewolucyjna najzupełniej potwierdziła te postanowienia (dnia 14 grudnia 1789), zgadzając się w tym względzie ze starym porządkiem rzeczy; teraz z kolei burgeois wiejski chciał się obłowić ziemią gminną. Trwało to przez cały okres rewolucyjny i dopiero 16 sierpnia roku 1792 Konwencja pod naciskiem buntów chłopskich zdecydowała się oddać ziemię gminom; jednocześnie jednak postanowiono, aby ziemie były równo podzielone wyłącznie pomiędzy najzamożniejszych chłopów (obywateli czynnych). Oczywiście postanowienie to wywołało nowe powstanie, i zostało uchylone w roku 1793; orzeciono wówczas, że ziemia gminna winna być równo podzielona pomiędzy wszystkich członków gminy – tak biednych jak bogatych.

Obydwa te postanowienia jednak sprzeciwiały się tak zasadniczo pojęciom panującym wśród chłopów, że nigdy nie zostały wykonane i gdzie tylko chłopci zawładnęli ziemią, władali nią wspólnie, nie dzieląc jej. Potem jednak nadeszły długie lata wojen i ziemie gminne zostały po prostu skonfiskowane przez państwo, jako zastaw za pożyczki państwowe, wystawione na sprzedaż i rozgrabione; potem raz jeszcze powróciły do gminy, aby w roku 1813 ponownie ulec konfiskacie; wreszcie w 1816 roku to, co pozostało z ziem gminnych, a było tego około 5 milionów hektarów ziemi najmniej urodzajnej, zostało zwrócone gminom wiejskim. Nie był to jednak bynajmniej koniec prześladowań gminy. Każdy nowy rząd we Francji sięgał po ziemie gminne w celu obdarowania swych sojuszników i trzy prawa (pierwsze w roku 1837, a ostatnie za Napoleona III) były wydawane specjalnie w celu zmuszenia gmin do podziału ziemi. Trzykrotnie te postanowienia prawne musiały być uchylone, ponieważ wsie ciągle stawiały opór.

Co się tyczy samorządu gminnego, to cóż po tych ciosach mogło z niego pozostać? Mer i syndykowie uważani byli po prostu za niepłatnych funkcjonariuszy maszyny państwowej. Nawet we Francji współczesnej, za panowania trzeciej Republiki, gmina wiejska niemal

nic nie może samodzielnie przedsięwziąć i dla każdego drobiazgu musi puszczać w ruch olbrzymią maszynę państwową – aż do prefekta i ministrów włącznie. Trudno temu uwierzyć, jednak faktem jest, że jeśli np. chłop francuski chce zamienić na pieniądze obowiązek pracy osobistej przy naprawie drogi, musi uzyskać pozwolenie 12 różnych urzędników państwowych, którzy sporządzić muszą 52 akty. Wszystkie sprawy pozostałe noszą ten sam charakter.

To, co się działo we Francji, powtórzyło się wszędzie w zachodniej i środkowej Europie. Nawet daty głównych ataków na ziemie chłopskie wszędzie są mniej więcej te same. Anglia pod tym względem tylko różni się od Francji, że tam rabunku tego dokonano stopniowo, nie tak gwałtownie jak we Francji. Ziemia angielskich gmin wiejskich została zagarnięta przez lordów; parlament sankcjonował tę grabież w każdym poszczególnym przypadku.

W Niemczech, w Austrii i w Belgii gmina wiejska była po prostu przez państwo zniszczona. Rzadko zdarzało się, aby gdziekolwiek członkowie gminy dobrowolnie dzielili ziemię; wszędzie państwo bądź wprost zmuszało ich do tego, bądź też szczególnymi przywilejami obdarzało tych, którzy ziemię dzielili. Pełne życie gminy wiejskiej w Europie środkowej kończy się w połowie wieku XVIII. W Austrii rząd użył siły zbrojnej (w roku 1786) w celu zmuszenia gmin do podziału ziemi. W Prusach Fryderyk II w wielu swych rozkazach (w latach 1752, 1763, 1764 i 1769) polecał Justiz Collegiom zmuszanie do podziału ziemi. Na Śląsku odnośne postanowienie wydane zostało w roku 1771. To samo działo się w Belgii; ponieważ jednak gminy opierały się, rząd w roku 1847 wydał rozkaz sprzedania łąk gminnych przez licytację.

Słowem – mówić o naturalnej śmierci gminy wiejskiej to nic innego jak tylko żart złośliwy; jest to coś podobnego, jakbyśmy mówili o śmierci naturalnej żołnierza ginącego na polu bitwy. Wspólnota wiejska żyła przez tysiąc lat i jeśli tylko chłopci nie byli rujnowani przez wojny i pobory, nieustannie udoskonalali metody rolnictwa. Gdy jednak wzrosła cena ziemi na skutek rozwoju przemysłu i gdy klasy uprzywilejowane osiągnęły pod panowaniem państwa taką potęgę, jakiej nie miały nigdy za czasów feudalnych, wówczas sięgnęły po ziemię gminną, i uczyniły wszystko, co mogły, aby zburzyć gminny samorząd.

A jednak wspólnota wiejska tak dobrze odpowiada wszystkim potrzebom i pojęciom rolnika, że wbrew prześladowaniom wciąż jeszcze aż do dnia dzisiejszego widzimy w Europie niezliczone pozostałości okresu gminnego. Nawet w Anglii, pomimo ostrych środków zastosowanych przeciwko staremu porządkowi rzeczy, instytucje gminne przeważały jeszcze na początku wieku XIX. W Irlandii gminne władanie ziemią utrzymało się aż do czasu wielkiego głodu.

Co się tyczy kontynentu, to instytucje gminne widzimy wciąż jeszcze przy życiu we Francji, w Szwajcarii, w Niemczech, we Włoszech, w krajach Skandynawskich, w Hiszpanii – nie mówiąc już o wschodzie Europy. Temu ważnemu zagadnieniu poświęcono już niemało poważnych dzieł, ograniczę się więc do przytoczenia najbardziej typowych przykładów. Niewątpliwie najłatwiej znajdziemy je w Szwajcarii. Nie tylko republiki Uri, Schwytz, Appenzell, Glarus i Unterwalden utrzymują swe ziemie w stanie niepodzielnym i rządzone są przez zgromadzenia ludowe, lecz również w innych kantonach wspólnoty wiejskie posiadają rozległy samorząd i rozporządzają znaczną częścią ziemi szwajcarskiej. Dwie trzecie

wszystkich łąk alpejskich i dwie trzecie wszystkich lasów szwajcarskich jest wciąż jeszcze we władaniu gminnym; to samo dotyczy bardzo znacznej części pól, ogrodów, winnic, torfowisk, kamieniołomów itp. Co roku pod koniec zimy cała młodzież wiejska wybiera się na kilka dni do lasu w celu rąbania i spuszczenia w doliny drzew, po czym drzewo budulcowe i opadowe dzielone jest pomiędzy wszystkie gospodarstwa. Te wycieczki są prawdziwym świętem pracy męskiej. Nad brzegami jeziora Lemańskiego części pracy, koniecznej do utrzymania w porządku tarasów z winnicami, jest wciąż wykonywana wspólnie; na wiosnę zaś, kiedy przymrozki zdarzające się przed wschodem słońca mogą zniszczyć winnicę, specjalne straże stoją w nocy i w razie potrzeby rozpalają ogniska z traw i nawozu, z których wydziela się gęsty dym i rozpościerając się po winnicach, chroni je od mrozu. Niemal we wszystkich kantonach gminy wiejskie posiadały tzw. Bürgernutzen – tzn. utrzymują wspólnie pewną liczbę krów w celu zaopatrzenia w masło każdej rodziny lub też wspólnie uprawiają winnice dzieląc owoc pomiędzy gospodarzy; lub wreszcie wydzierżawiają ziemię na rzecz całej gminy.

Można przyjąć za pewne, że wszędzie, gdzie gminy wiejskie zachowały się w pełni życia, gdzie stały się żywą częścią organizmu narodowego i gdzie nie zostały sztucznie doprowadzone do nędzy – wszędzie tam kultura rolna w gospodarce bynajmniej nie była zaniedbana. Toteż widzimy, że w Szwajcarii gminy wiejskie dają rezultaty bardzo dobre w przeciwieństwie do nędzy gminnej panującej w Anglii. Lasy gminne w Kantonie Vaud i Valais administrowane są bardzo dobrze i zgodnie z wymaganiami współczesnego leśnictwa. Wszędzie, gdzie działki pól gminnych często zmieniają właścicieli, są one dobrze uprawiane, szczególnie zaś dotyczy to łąk i pastwisk. Górskie łąki alpejskie są w ogóle utrzymane bardzo starannie, drogi gminne zaś doskonale. I jeśli podziwiamy szalec szwajcarski, drogę górską, bydło chłopskie, winnice na tarasach lub budynki szkolne, pamiętać winniśmy, że drzewo na ten szalec zostało sprowadzone z lasów gminnych a kamienie z gminnych kamieniołomów; gdyby krowy nie pasły się na łąkach gminnych i gdyby drogi i szkoły nie były budowane wspólnym wysiłkiem całej gminy – niewiele mielibyśmy tam do podziwiania.

Nie trzeba chyba dodawać, że we wsi szwajcarskiej przetrwało dużo dawnych obyczajów pomocy wzajemnej. Znajdujemy tam zebrania wieczorne w celu wspólnego łuskania orzechów włoskich – zebrania te odbywają się kolejno w każdym z gospodarstw; do rzeczy zwykłych we wsi szwajcarskiej należy zbieranie się w celu szycia wyprawy dla panny młodej; gdy kto buduje dom, zwoduje sąsiadów do pomocy; rozpowszechniony jest również zwyczaj wysyłania dzieci z kantonu do kantonu w celu nauczania ich obu języków krajowych – francuskiego i niemieckiego.

Takich i tym podobnych zwyczajów spotykamy tam niemało, jednocześnie zaś istnieje tam sporo przystosowań do czysto współczesnych wymagań życia. Tak np. w kantonie Glarus większa część łąk alpejskich została sprzedana podczas lat klęskowych; lecz gminy nieustannie kupują ziemię i wydzierżawiają ją oddzielnym gospodarzom na okres 10, 20 lub 30 lat, przy czym ziemia po upływie tego czasu znowu powraca do gminy i ulega podziałowi stosownie do potrzeby. Nieustannie powstają liczne drobne stowarzyszenia dla celów najrozmaitszych – dla wypieku chleba, wyrobu sera, wina itp. Nie mniej rozpowszechnio-

na jest w Szwajcarii spółdzielczość rolnicza. Liczne są stowarzyszenia, tworzone przez 20 do 30 chłopów, kupujących wspólnie łąki, pola i wspólnie je uprawiających. Wszędzie też spotykamy mleczarnie spółdzielcze, zorganizowane w celu sprzedaży mleka, masła i sera. Naprawdę Szwajcaria jest ojczyzną tego rodzaju spółdzielczości. Prócz tego znajdujemy tam ogromne pole do badań, jeżeli chodzi o małe lub duże zrzeszenia, zakładane w celu zaspokojenia najrozmaitszych potrzeb współczesnych. W niektórych okolicach Szwajcarii niemal w każdej wsi znajdujemy zrzeszenia mające na celu ubezpieczenia od ognia, budowę łódek, utrzymanie w porządku wybrzeży jeziora, dostarczanie wody itd.; prócz tego cały kraj pokryty jest najrozmaitszymi zrzeszeniami sportowymi tego rodzaju jak towarzystwa łuczniczków, strzelców, topografów, poszukiwaczy przejść górskich i różne inne.

Ale Szwajcaria pod tym względem nie jest bynajmniej jakimś krajem wyjątkowym w Europie – podobne zwyczaje i urzędnictwo spotykamy po wsiach francuskich i włoskich, w Niemczech, w Danii itp. Mówiliśmy już o tym, co rząd francuski uczynił w celu zburzenia gminy wiejskiej i zagarnięcia jej ziemi; mimo to jednak wciąż jeszcze dziesiąta część całej ziemi, zdanej do uprawy, tj. 5 milionów 460 tysięcy ha, obejmujących połowę wszystkich łąk krajowych i piątą część lasów – pozostaje we władaniu gminnym. Lasy dostarczają członkom gminy opału i drzewa budulcowego a rąbane są wspólnie według wszelkich wymagań leśnictwa; pastwiska oddane są do wspólnego użytku bydła gromadzkiego, reszta zaś ziemi gminnej wciąż jest jeszcze dzielona, jak np. w Ardenach.

Podam teraz parę wyciągów z listów jednego z moich przyjaciół, który mieszkając we Francji południowej, w Ariège, zebrał niemało danych z życia wsi francuskiej. Niektóre z tych przykładów dotyczą rzeczy drobnych, w sumie jednak dają niezły obraz życia wiejskiego.

”W niektórych gminach w sąsiedztwie – pisze mój przyjaciel – istnieje stary obyczaj, zwany l'emprunt. Gdy do wykonania jakiejś czynności gospodarskiej – np. do kopania kartofli lub koszenia trawy – potrzeba dużo rąk, zwołuje się młodzież z całego sąsiedztwa. Schodzą się chłopcy i dziewczęta i za darmo wykonują całą robotę, wieczorem zaś po wieczery tańczą.”

”W tych samych gminach, gdy dziewczyna wychodzi za mąż, sąsiadki gromadzą się i pomagają jej szyć wyprawę. W niektórych wsiach kobiety wciąż jeszcze zajmują się przędzeniem; gdy wspólne rozczesywanie lnu zostało ukończone w jednej chacie, wszyscy gromadzą się w drugiej w celu dokonania tej samej czynności również wspólnymi siłami. W wielu gminach Ariège a również w innych okolicach Francji południowo-zachodniej, łuskanie kukurydzy odbywa się zawsze wspólnymi siłami. Po robocie wszyscy podejmowani są orzechami i winem i zabawiają się tańcem. Podobny zwyczaj istnieje w zastosowaniu do międlenia konopi. W gminie L. w ten sam sposób odbywa się zwózka zboża – i te dni ciężkiej pracy stają się zawsze dniami świątecznymi. Za pracę tego rodzaju nigdy nie daje się zapłaty – wszyscy robią to bezinteresownie.”

”W gminie S. wspólne pastwisko jest co rok powiększane; doszło wreszcie do tego, że niemal cała ziemia gminna znajduje się we wspólnym władaniu. Bu-

haje są wspólne. Pasterzy wybierają wszyscy posiadacze bydła – kobiety biorą udział w tych wyborach.”

”W gminie M. 40 lub 50 stad owczych spędzają razem, dzielą je na 3 lub 4 wielkie stada i pędzą w góry na łąki. Każdy z właścicieli spełnia obowiązek pasterza w ciągu jednego tygodnia.”

”W wiosce C. trzech gospodarzy wspólnie nabyło młocarnię; obsługa młocarni wymaga 15 do 20 ludzi - tych dostarczały wszystkie zrzeszone rodziny.”

”W gminie R. musieliśmy wznieść mur wokół cmentarza. Połowa pieniędzy potrzebnych na zakup wapna i na opłacenie murarzy została dostarczona przez radę powiatową, reszta zaś zebrana pomiędzy ludnością. Cała zaś praca pomocnicza – noszenie wody i wapna, rozrabianie wapna i pomaganie murarzom – wykonana została przez ochotników (zupełnie tak samo, jak w dzemnie kabylskiej). W ten sam sposób rękami ochotników naprawiane są drogi gminne. Inne gminy w podobny sposób budowały studnie.”

Obyczaje tego rodzaju wykazują dobitnie, jak łatwo zrzeszają się chłopcy francuscy. Wspólnymi siłami są przez nich utrzymywane kanały, karczowane lasy, sadzone drzewa, zakładane dreny itd. W ostatnich czasach w miejscowości La Borne w departamencie Lozère dzięki pracy członków gminy, jałowe wzgórza przemienione zostały w bogate ogrody: ”ziemia przynoszona tam była przez ludzi; pozakładano tarasy, obsadzono orzechami włoskimi, brzoskwiniami itd.; wodę do irygacji sprowadzono kanałami z odległości kilku kilometrów.” W czasach ostatnich wykopano kanał irygacyjny długości 11 kilometrów.

Niemal to samo możemy powiedzieć o Niemczech. Gdzie udało się chłopom obronić przed zagrabieniem ziemi, tam utrzymywali ją we władaniu wspólnym. Gminne władanie ziemią znacznie jeszcze przeważa w Württembergii, w Badenii, w Hohenzollernie, w prowincji Heskiej i Starkenbergu. Lasy gminne są zwykle utrzymywane bez zarzutu i w tysiącach gmin budulec i drzewo opałowe są rozdzielane co roku pomiędzy mieszkańców. Szeroko rozpowszechniony jest stary zwyczaj, zwany Lesholztag: na uderzenie dzwonu wszyscy udają się do lasu i każdy ma prawo przynieść tyle opału, ile zdoła udźwignąć. W Westfalii spotykamy gminy, gdzie cała ziemia jest uprawiana jak gdyby jeden wielki majątek i to uprawiana według najnowszych wymagań rolnictwa. Oczywiście stare obyczaje gminne wciąż jeszcze żyją w większej części Niemiec. Przywoływanie sąsiadów na pomoc i organizowanie prawdziwych świąt pracy wciąż jeszcze należy do rzeczy zwykłych w Westfalii, w Hesji i w Nassau. W okolicach bogatych w lasy, budulec na nowy dom bywa zwykle sprowadzany z lasu gminnego i wszyscy sąsiedzi pomagają przy budowie domu. Na przedmieściach Frankfurtu wśród ogrodników panuje zwyczaj, że gdy który z nich jest chory, sąsiedzi przychodzą, w niedzielę i uprawiają jego ogród.

Przykładów takich i tym podobnych przytoczyć mógłbym bardzo dużo, czerpiąc je z Włoch, Hiszpanii, Danii itd. Warto również byłoby wspomnieć o Słowianach należących do państwa austriackiego, a także o Słowianach bałkańskich, wśród których wciąż jeszcze spotykamy ”wielką rodzinę” i ”gospodarstwo nie rozdzielone”. Muszę jednak przejść do

Rosji, gdzie te samo dążenie ku pomocy wzajemnej przybiera postać nową i szczególną. Mówiąc o Rosji znajdujemy się w położeniu tym korzystniejszym, bo rozporządzamy olbrzymim materiałem rzeczowym zgromadzonym przez "ziemstwa" i obejmującym niemal 20 milionów chłopów różnych stron kraju.

Na podstawie tych danych dojść możemy do dwóch wniosków. W Rosji środkowej, gdzie co najmniej 1/3 część chłopów została doprowadzona do ruiny na skutek wysokich podatków, lichwy i nieurodzajów, ujawniła się w ciągu pierwszych 25 lat po uwłaszczeniu wyraźna skłonność do podziału gruntów wspólnych na oddzielne gospodarstwa. Liczni chłopci doprowadzeni do zupełnej nędzy porzucali swoje kawałki ziemi, które stawały się własnością gospodarzy bogatszych, nierzadko ciągnących zyski z handlu i z lichwy. Natomiast w ciągu ostatnich 20 lat daje się odczuć znowu silny prąd przeciwstawiający się podziałowi gruntu; przeciwstawiają się temu głównie chłopci średniozamożni, stojący pomiędzy nędzą wiejską a wiejskimi bogaczami. Co się tyczy żyznych stepów południowych, będących dzisiaj najgęściej zaludnioną i najbogatszą częścią Rosji Europejskiej, to były one kolonizowane w ciągu XIX wieku systemem indywidualnego zajmowania lub przywłaszczenia ziemi, sankcjonowanego przez państwo. Od czasu jednak udoskonalonych metod gospodarowania i szerokiego zastosowania maszyn w rolnictwie chłopci południowo-rosyjscy zaczęli stopniowo przechodzić do gospodarstw wspólnych; i dzisiaj znajdujemy w tym prawdziwym spichrzu rosyjskim cały szereg samorzutnie powstających gmin wiejskich opartych na wspólnym władaniu.

Krym i leżąca na północ od Krymu prowincja Taurydzka dostarczają tu przykładu bardzo wymownego. Ziemie te po aneksji w roku 1783 zostały poddane kolonizacji przez Wielkorusinów, Małorusinów, Białorusinów i Kozaków; byli to zarówno ludzie wolni jak zbiegli chłopci pańszczyźniani. Przychodzili oni w pojedynkę lub małymi grupami ze wszystkich zakątków Rosji. Przede wszystkim chwycili się hodowli bydła; gdy później zaczęli uprawiać ziemię, każdy uprawiał tyle, ile zdołał. W późniejszych czasach jednak – gdy napływ emigrantów był coraz większy i gdy wprowadzono ulepszone pługi – ziemi zaczęło brakować i na tym tle powstawały walki między osadnikami. Walki te trwały latami całymi, dopóki ludzie ci, niczym z sobą przedtem niezwiązani, nie doszli do wniosku, że jedynym wyjściem z sytuacji będzie zaprowadzenie wspólnego władania ziemią. Orzekli oni, że ziemia, którą dotąd władał każdy oddzielnie, będzie odtąd uważana za wspólną i zaczęli ją dzielić stosownie do starych obyczajów wspólnoty wiejskiej. Ruch ten stopniowo bardzo znacznie się rozszerzył i statystycy znaleźli na niewielkiej przestrzeni Taurydy 161 wsi, w których wspólne władanie ziemią zamiast władania indywidualnego było wprowadzone przez samych chłopów – właścicieli w latach 1855 – 1885.

Za panowania Mikołaja I wielu urzędników państwowych oraz właścicieli wielkich obszarów rolnych zmuszało chłopów do wspólnej uprawy części ziemi należącej do wsi w celu corocznego dostarczenia zapasów do spichlerzy gminnych, z których wydawano za pomogi najbiedniejszym. Obyczaj ten, łączący się w umyśle chłopów, z najgorszymi wspomnieniami pańszczyźnianymi, został zaniechany wraz ze zniesieniem pańszczyzny. Teraz jednak chłopci wprowadzają go na nowo, lecz już z własnej inicjatywy. W jednym z powiatów (Ostrogoisk w guberni Kurskiej) wystarczyło inicjatywy jednej osoby, aby ten stary

zwyczaj wprowadzić w 4/5 ogółu wsi. Podobne rzeczy spotykamy w wielu innych miejscowościach. W dniu oznaczonym schodzą się wszyscy członkowie gminy – bogatsi z pługami i zaprzęgiem, biedniejsi wnoszą tylko siłę swych rąk – i wszyscy biorą się do pracy, przy czym pomiędzy zamożniejszymi a uboższymi nie czyni się żadnej różnicy. Plon użyty jest na zapomogi lub bezzwrotne pożyczki dla najbiedniejszych, dla sierot i wdów lub wreszcie na potrzeby kościoła gminnego, na szkołę lub na spłatę długu gminnego.

Rozumie się samo przez się, że przy tego rodzaju zwyczajach cały szereg robót takich, jak naprawa dróg, sprzęt siana na łąkach itp., wykonywany jest wspólnymi siłami przez wszystkich członków gminy. Przy tym wszystkim jednak gmina wiejska bynajmniej nie jest wrogo usposobiona wobec ulepszonych metod rolnictwa – byle tylko mogła im podołać pieniądze i byleby rozporządzała dostatecznym zasobem wiedzy, która, niestety, wciąż jeszcze jest przywilejem klas zamożnych.

Powiedziawszy tyle o obyczajach gminnych w krajach cywilizowanych widzę, że mógłbym wypełnić wielki tom przykładami z życia setek milionów ludzi, którzy żyją w państwach mniej lub bardziej scentralizowanych, lecz pozostają poza wpływami cywilizacji współczesnej i współczesnych idei. Mógłbym szeroko opisać organizację wewnętrzną wsi tureckiej i całą sieć cudownie powiązanych instytucji i obyczajów pomocy wzajemnej. Gdy przeglądam kartki z notatkami o życiu chłopskim na Kaukazie, spotykam fakty wprost wzruszające. Bardzo podobne rzeczy widzimy w dżemma arabskiej i w purra afgańskiej, we wsiach perskich, indyjskich, na Jawie, w nierozdzielonej rodzinie chińskiej, w obozowiskach półkoczowniczych w Azji środkowej i pomiędzy koczownikami na dalekiej Północy. Przerzucajcie swe notatki dotyczące Afryki, znowu znajduję pełno faktów tego samego rodzaju; wszędzie zwoływani są sąsiedzi do sprzętu zboża lub do budowy domów; nierazko też gromadzą się członkowie gminy w celu naprawienia szkód wyrządzonych przez flibustierów europejskich. Gdy przeglądam tego rodzaju dzieła, jak Posta podręcznik afrykańskiego prawa obyczajowego, zaczynam rozumieć, dzięki czemu ludzie ci nie rozproszyli się po lasach pomimo tyranii, pomimo ucisku, wypraw grabieżczych, wojen plemiennych, chciwych królów, pomimo wszystkich oszustw popełnianych przez czarowników i kapłanów itd.; dzięki czemu zdołano utrzymać na pewnej wysokości cywilizację i dzięki czemu ludzie nie spadli do poziomu błędzących po lesie orangutanów. Łowcy niewolników, poszukiwacze kości słoniowej, wojowniczy królowie i rozmaitego rodzaju "bohaterowie" mada-gaskarscy – wszyscy przechodzą przez te krainy, znacząc ślady krwi i ogniem i przemijają: a jednak rdzeń instytucji tradycji i obyczajów pomocy wzajemnej, które się rozwinęły w plemieniu i we wspólnocie wiejskiej – trwa, umożliwia ludziom ciągłość życia społecznego i czyni ich podatnymi na wpływy cywilizacji z chwilą, gdy nadejdzie dzień, że otrzymają cywilizację zamiast kul.

To samo dotyczy naszego świata cywilizowanego.

* * *

W ciągu ostatnich trzech wieków na skutek szczególnych warunków państwowych rozwój instytucji pomocy wzajemnej napotykał znaczne przeszkody. Wiemy dzisiaj dobrze, że

gdy w XVI wieku miasto średniowieczne dostało się pod panowanie budzących się do życia państw militarnych, wszystkie instytucje utrzymujące życie społeczne pomiędzy rzemieślnikami i kupcami, cechy i gildie zostały zniszczone przemocą.

W Wielkiej Brytanii, której politykę w stosunku do instytucji pomocy wzajemnej uważać możemy za typową, widzimy, że już w wieku XV parlament wypowiada wojnę gildiom; jednak poważne wysiłki w celu zdławienia ich przedsięwzięto dopiero w wieku XVI. Henryk VIII gildie nie tylko zburzył, lecz nawet skonfiskował ich majątki, przy czym usprawiedliwiał się mniej niż wówczas, gdy konfiskował dobra klasztorne. Edward VI dopełnił tego dzieła i już w drugiej połowie wieku XVI widzimy, że wszystkie zatargi pomiędzy cechami a kupcami rozstrzyga parlament, podczas gdy dawniej zatargi te były załatwiane przez samo miasto. Parlament i król nie tylko wydawali ustawy prawne, dotyczące życia miejskiego, lecz zaczęli nawet ściśle określać liczbę uczniów, których mógł zatrudniać każdy majster i wchodzić w szczegóły techniczne produkcji: określali wagę materiału, liczby nitki, którą obowiązkowo miał zawierać każdy jard tkaniny itp. Rozumie się samo przez się, że rezultaty tych postanowień prawnych były tylko ujemne, ponieważ zatargi wewnątrz miasta a także techniczne warunki produkcji wymykały się całkowicie spod kompetencji państwa scentralizowanego. Nieustanne wtrącanie się urzędników państwowych paraliżowało przemysł i handel doprowadzając niektóre gałęzie do zupełnej ruiny; toteż gdy ekonomiści wieku XVIII wystąpili przeciwko regulowaniu przemysłu przez państwo, dali oni wyraz od dawna nagromadzonemu się powszechnemu niezadowoleniu. Kiedy Rewolucja Francuska zniosła tę ingerencję państwa, akt ten został powitany jako wyzwolenie — i inne kraje poszły niebawem za przykładem Francji.

Nie lepiej powiodła się państwu sprawa regulowania płacy. W mieście średniowiecznym, gdy różnice zarobków pomiędzy majstrami a uczniami lub najemnikami stawały się zbyt rażące, powstawały — jak np. w wieku XV — organizacje uczniów i czeladników o charakterze niekiedy międzynarodowym przeciwstawiające się związkom majstrów i kupców. Teraz państwo postanowiło samo załatwiać te zatargi; prawodawstwo Elżbiety z roku 1563 próbowało ustalić sprawiedliwe płace zapewniające "należne" utrzymanie uczniom i najemnikom. Władza państwowa okazała się jednak bezsilna i nie była w stanie zmusić majstrów do posłuszeństwa. Prawo stawało się stopniowo martwą literą i wreszcie zostało odwołane w końcu wieku XVIII.

W ten sposób państwo zaniechało zamiaru ustalania płac, w dalszym ciągu jednak surowo zabraniało najemnikom zrzeszać się w celu podniesienia zarobków. W ciągu całego wieku XVIII wydawane są prawa zwrócone przeciwko związkom robotniczym, i wreszcie w roku 1799 pod groźą surowych kar zabrania się robotnikom tworzyć jakiegokolwiek organizacji.

Ale czyż trzeba stwierdzać, że wszystkie te wystąpienia prawne okazały się bezsilne? W ciągu całego wieku XVIII związki robotnicze powstawały nieustannie. Rozwoju ich nie powstrzymały nawet ostre prześladowania płynące z zastosowania praw z roku 1797 i 1799. Każde niedopatrzenie, każdy najmniejszy brak czujności ze strony majstrów lub władz wykorzystywano na rzecz związku. Powstawały organizacje pod pozorem zrzeszeń przyja-

cielskich, klubów pogrzebowych lub jako bractwa konspiracyjne; związki te szczególnie rozwijały się wśród tkaczy, robotników fabryk nożowniczych w Sheffield i górników.

Gdy w roku 1825 zniesiono prawo zakazujące tworzenia związków, ruch ten wzmógł się znacznie. We wszystkich zawodach powstały związki a także ogólnonarodowe związki związków; i kiedy Robert Owen założył swój wielki narodowy związek zawodowy, objął nim w ciągu kilku miesięcy pół miliona członków. Niestety, ten okres względnej swobody trwał niedługo. W latach trzydziestych zaczęły się nowe prześladowania i na robotników spadły okrutne kary w latach 1832 — 1844. Założony przez Owena związek został rozwiązany i zarówno rząd jak przedsiębiorcy prywatni zmuszali robotników do podpisywania specjalnego dokumentu, którego mocą ci ostatni obowiązywali się do zerwania wszelkich stosunków ze związkami. Członkowie związku podlegali masowym prześladowaniom i wystarczyła najbłahsza skarga majstra, aby spowodować aresztowanie robotnika. Strajki tłumiono przemocą i wystarczyło być delegatem strajkujących, aby dostać się do więzienia; oczywiście, nie obeszło się bez walk z wojskiem i towarzyszących im aktów przemocy. Zakładanie w takich warunkach organizacji pomocy wzajemnej bynajmniej nie było rzeczą łatwą. A jednak pomimo wszystkich trudności widzimy w roku 1841 nową falę ruchu związkowego; rozwój solidarności robotniczej jał szybko postępować. Po długiej, przeszło stuletniej walce zostało wreszcie wywalczone prawo zrzeszania się i widzimy, że obecnie czwarta część wszystkich robotników angielskich, tj. z górą półtora miliona osób, należy do związków zawodowych.

Co się tyczy innych państw europejskich, dość powiedzieć, że aż do czasów ostatnich wszelkie związki robotnicze były surowo zakazane; pomimo to jednak istniały wszędzie, jakkolwiek nierzadko pod postacią tajnych stowarzyszeń. Należy tu przy tym zaznaczyć, że tworzenie tajnych związków pociąga za sobą dla robotników konieczność wielkich ofiar pieniężnych, ogromnej straty czasu, wymaga bezpłatnej pracy i wreszcie wystawia na bezustanne niebezpieczeństwo. Poza tym członek związku musi być zawsze przygotowany na ewentualność strajku; a strajk jest przecież czymś bardzo ciężkim dla rodziny robotniczej — kredyt w sklepiku i u piekarza wyczerpuje się bardzo szybko, zapomogi strajkowe nie wystarczają na utrzymanie i na twarzach dzieci rychło występują oznaki głodu. Aż do ostatnich czasów strajki niejednokrotnie kończyły się ruiną rodzin robotniczych i zmuszeniem do masowej emigracji; a jednocześnie towarzyszyły im formalne masakry przy lada jakiej okazji lub zgoła bez okazji.

Mimo to wszystko jednak rokrocznie wybuchają niezliczone strajki zarówno w Europie jak i w Ameryce. Najostrzej zaś prześladowane są strajki solidarnościowe, tzw. strajki "sympatii", podejmowane w celu przyjscia z pomocą strajkującym lub zlokautowanym robotnikom w innych zawodach lub w celu obrony prawa zrzeszania się. I gdy prasa mieszczańska łatwo przypisuje strajki sterroryzowaniu robotników przez agitację zewnętrzną, ludzie żyjący blisko z robotnikami wiedzą, jak wiele pomocy wzajemnej rozwija każda walka strajkowa. Któż nie słyszał o tej olbrzymiej ilości pracy, wykonywanej przez ochotników przy organizowaniu wielkiego strajku londyńskich robotników w dokach; któż nie słyszał o górnikach, którzy po wielotygodniowym bezrobociu wnoszą swoją czteroszylingową składkę do kasy strajkowej, gdy tylko wrócili do pracy; lub o tej wdowie po górniku,

która podczas wielkiego strajku w Yorkshire w roku 1894 przyniosła do kasy strajkowej wszystkie oszczędności po zmarłym mężu; ostatni kawałek chleba bywa nieraz dzielony z towarzyszami pracy i sąsiadami. Górnicy z Radstock, posiadający mało ogródki przy domach, zaprosili do siebie 400 strajkujących górników z Bristolu, aby podzielić się z nimi swą kapustą i kartoflami. Wszystkie dzienniki podczas wielkiej walki Yorkshirskiej w roku 1894 zanotowały wiele faktów tego rodzaju, fakty te jednak uważane są za niegodne, aby się poważnie nimi zajmować.

Lecz związki zawodowe nie są jedyną formą organizacyjną, w której robotnicze dążenia do pomocy wzajemnej znajdują wyraz. Poza tym są jeszcze organizacje polityczne, uważane przez wielu robotników za skuteczniejsze niż związki zawodowe. Zresztą przynależności do partii politycznej nie możemy uważać za wyraz pomocy wzajemnej. Wszyscy bowiem wiemy, że polityka jest polem, gdzie elementy czystego egoizmu tworzą najbardziej zawile kombinacje z aspiracjami altruistycznymi. Lecz każdy doświadczony polityk wie, że najsilniej i najszerzej rozpowszechniają się te ruchy polityczne, które zdolne są wywołać najwyższy i najbardziej bezinteresowny entuzjazm. Wszystkie wielkie ruchy dziejowe charakteryzował bezinteresowny entuzjazm, o czym świadczą najwymowniej już cztery pokolenia ruchu socjalistycznego. Ludzie zgoła nie znający stosunków przypisują wszystko "pijanym agitatorom". Naprawdę jednak u podstawy wszelkiej roboty społecznej leży oddanie się i ogromna ofiarność osobista; gdybyśmy przyjrżeli się żywotom i czynom działaczy społecznych, nieustannie przychodziłby nam na myśl wyraz "bohaterstwo". Ludzie jednak, o których tu chodzi, bynajmniej nie byli bohaterami; byli to ludzie przeciętni, przejęci wielką ideą. Każdy dziennik socjalistyczny — a liczymy je w samej Europie na setki — ma za sobą całe lata poświęcenia, bez najmniejszej nadziei osiągnięcia jakiegokolwiek korzyści i w większości wypadków nawet bez podniety ambicji osobistej. Znałem rodziny, żyjące dosłownie z dnia na dzień, i to przez czas długi, ponieważ ojciec był wszędzie bokotowany za branie udziału w dzienniku socjalistycznym i cała rodzina była utrzymywana przez matkę zarabiającą szcieniem. Gdy wreszcie sił im brakło, usuwali się od pracy, mówiąc "kontynuujcie dzieło, my już dłużej nie możemy." Znałem ludzi, umierających na gruźlicę i zdających sobie z tego sprawę, a jednak na krótko przed śmiercią biegających jeszcze w śnieżny i mglisty dzień na drugi koniec miasta, aby urządzić zebranie robotnicze; gdy wreszcie działaczowi takiemu brakło sił, szedł do szpitala mówiąc: "przyszła już koniec na mnie, przyjaciele; lekarz powiada, że zostaje mi zaledwie parę tygodni; powiedzcie towarzyszom, że rad będę, jeśli odwiedzą mnie w szpitalu."

Znam liczne fakty, które byłyby uważane za "idealizację", gdybym je tu opowiedział. Imiona tych ludzi nieznane są poza ciasnym kołem przyjaciół i rychło ulegną zapomnieniu, gdy przeminą przyjaciele. Rzeczywiście sam nie wiem, co bardziej podziwiać: czy bezgraniczne oddanie się tych nielicznych, czy też olbrzymią sumę drobnych, codziennych ofiar składanych przez masy. Każdy numer dziennika socjalistycznego, każde zgromadzenie robotnicze, każda setka głosów oddanych na kandydata robotniczego wyobrażają taką masę energii i ofiarności osobistej, że ludzie stojący z zewnątrz ruchu nie mają o tym najmniejszego pojęcia. A to, co dzisiaj robią socjaliści, czynione było w przeszłości przez każdą

grupę ludową, zarówno polityczną jak religijną. Wszelki postęp w przeszłości był dziełem podobnych ludzi i podobnej ofiarności.

Zrzeszenia spółdzielcze, szczególnie w Anglii, niejednokrotnie są uważane za stowarzyszenia akcjonariuszy indywidualistów. I niewątpliwie taka spółdzielczość, jaką widzimy obecnie, ma w sobie dużo znamion egoizmu. Mimo to jednak niewątpliwą jest rzeczą, że ruch ten w zaraniu swoim posiadał zasadniczo charakter ruchu pomocy wzajemnej. Nawet i dzisiaj najbardziej gorliwi spółdzielcy są przeświadczeni, że spółdzielczość zaprowadzi ludzkość na wyższy poziom stosunków ekonomicznych, opartych na zasadzie harmonii; dość jest zapoznać się bliżej z którymkolwiek z olbrzymów spółdzielczości w Anglii północnej, aby przekonać się, że panuje tam duch podobny. Bardzo liczni członkowie spółdzielni zupełnie odwróciliby się od nich, gdyby przestali wierzyć, że one rzeczywiście prowadzą ku lepszemu łaadowi społecznemu.

Dzisiaj nikt już nie zaprzecza olbrzymiego znaczenia spółdzielczości zarówno w Anglii jak w Holandii i Danii; w Niemczech, specjalnie zaś w prowincjach nadreńskich, stowarzyszenia spółdzielcze są dzisiaj poważnym czynnikiem życia przemysłowego. Natomiast krajem, w którym spółdzielczość może być poznawana pod postacią form najróżnorodniejszych, jest niewątpliwie Rosja. W Rosji ruch spółdzielczy rozwija się samorzutnie, jest to spadek po wiekach średnich i podczas gdy do niedawna jeszcze formalne zrzeszenie spółdzielcze napotykało poważne przeszkody prawne, to zrzeszenia samorzutne tzw. "artel" stanowi po prostu podstawę życia społecznego rosyjskiego chłopca.

Dzieje powstania Rosji i kolonizacji Syberii są dziejami arteli myśliwskich i handlowych, w których ślady szły wspólnoty wiejskie. W Rosji współczesnej spotykamy się z artelami na każdym kroku. Gdy grupa 10 do 50 chłopów idzie ze wsi na pracę do fabryki, zrzeszają się w artel; to samo widzimy, gdy pracują przy budowie domu, nie inaczej też jest między rybakami, między zawodowymi myśliwymi; zesłańcy wywożeni w głąb Syberii łączą się w artele; artele tworzą tragarze kolejowi itp.; wszędzie, gdzie tylko mamy do czynienia z grupą ludzi pracujących lub gdzie zachodzi potrzeba ludzi zaufanych, występuje artel. Aż do dzisiejszego dnia okręgi rybackie na morzu, Kaspijskim są eksploatowane przez artele; rzeka Ural, należąca w całości do kozaków uralskich, jest eksploatowana pod względem rybackim przez wsie okoliczne bez jakiegokolwiek wtrącania się władz. Na Wołdze i w całej Rosji południowej rybołówstwo jest całe w rękach arteli. Poza tymi organizacjami trwałymi istnieją niezliczone artele dorywcze, tworzone dla celów najrozmaitszych. Gdy kilkunastu robotników udaje się ze wsi do miasta, aby pracować jako tkacze, cieśle lub murarze, zawsze tworzą artel. Wspólnie wynajmują mieszkanie, angażują kucharkę (którą często bywa żona jednego z nich), wybierają "starostę" i wspólnie jadają, przy czym każdy wpłaca arteli swoją część za utrzymanie i mieszkanie. Tak nawet czynią ludzie w konwojach skazańców wysyłanych na Syberię i wybrany przez nich "starosta" uznawany jest przez władzę za pośrednika między skazańcami a wojskowymi prowadzącymi konwój. Taką samą organizację znajdujemy w zakładach ciężkich robót dla skazańców.

Mówiąc o spółdzielczości wspomnę także o stowarzyszeniach przyjacielskich, o tak licznych w Anglii klubach wiejskich i miejskich organizowanych w celu opłacania pomocy lekarskiej, o stowarzyszeniach pogrzebowych, posagowych i najrozmaitszych innych. We

wszystkich tego rodzaju zrzeszeniach, pomimo panującej w nich ścisłej rachunkowości i rozróżniania pomiędzy "winien" i "ma" każdego członka, działa potężnie duch solidarności i pomocy wzajemnej. Poza tym jednak istnieją bardzo liczne zrzeszenia, oparte wprost na gotowości poświęcenia dla dobra ogólnego — czasu, zdrowia a niekiedy nawet i życia.

Doskonałym tego przykładem jest tak silnie rozwinięte w Anglii towarzystwo ratowania tonących, mające swe odpowiedniki również na kontynencie. Towarzystwo angielskie posiada obecnie wzdłuż brzegów angielskich przeszło 300 łodzi ratowniczych a posiadałoby ich dwa razy tyle, gdyby nie ubóstwo rybaków, którzy nie mogą się zdobyć na zakup łodzi specjalnych. Członkami są ochotnicy gotowi narażać się w celu ratowania ludzi zupełnie im obcych; corocznie notowane są poważne straty pośród nich. I jeśli byśmy zapytali któregoś z tych ludzi, co skłania ich do narażania życia nawet w tych wypadkach, kiedy prawie nie ma nadziei uratowania tonącego, usłyszeliśmy odpowiedź podobną do tej, jaką usłyszałem od nich w wypadku, który poniżej opiszę.

Straszliwa burza śnieżna rozhułała się nad kanałem i nad piaszczystym wybrzeżem w pobliskiej małej wiosce w hrabstwie Kent. Fale wyrzuciły łódkę naładowaną pomarańczami. W tych płytkich wodach można było udać się na ratunek tylko w bardzo niewielkiej specjalnie zbudowanej łódce, wyruszenie zaś taką łódką podczas wichru na morze było równoznaczne z narażeniem się na pewną śmierć. A jednak znaleźli się ochotnicy, którzy walczyli z wichrem w ciągu czterech godzin mimo to, że łódka ich w tym czasie dwa razy się przewróciła. Jeden utonął, dwaj zaś zostali wyrzuceni na brzeg. Jednego z wyrzuconych na brzeg, inteligentnego strażnika celnego, znaleziono nazajutrz w śniegu na pół żywego. Kiedy go zapytałem, co ich skłoniło do przedsięwzięcia tak rozpaczliwego kroku, odpowiedział: "Sam nie wiem, jak się to stało! Ludność całej wioski wyległa na brzeg; wszyscy mówili, że wyruszyć na morze byłoby istnym szaleństwem. Widzieliśmy na morzu pięciu czy sześciu ludzi dających rozpaczliwe znaki. Czuliśmy, że trzeba działać, ale co mogliśmy począć? Minęła godzina jedna, druga - a myśmy byli bezczynni. Wtem wydało się nam, że poprzez burzę dochodzą do nas ich krzyki — a mieli oni tam z sobą chłopca okrętowego. Nie mogliśmy dłużej wytrzymać. Wszyscyśmy krzyknęli jednym głosem: "Musimy się dostać do nich!" Rzuciliśmy się wszyscy, jak jeden mąż, do łodzi i popłynęliśmy." Co było dalej — wiadomo.

Pod działaniem czynników podobnych występowali również górnicy doliny Rhonda, gdy pracowali nad ratowaniem towarzyszy, zatopionych w kopalni. Przebyli 32 jardy węgla w celu dostania się do zagrzebanych towarzyszy; gdy jednak oddzielało ich od ofiar wypadku tylko 3 jardy, natrafili na gazy ziemne, lampy zgasły i trzeba było szybko uciekać. Praca w takich warunkach była równoznaczna z narażeniem się na niechybną śmierć. Lecz stukanie zasypanych górników słyhać było nieustannie; a więc ludzie ci żyli i wzywali pomocy. Znalazło się kilku górników gotowych narazić się na wszelkie niebezpieczeństwo. Gdy schodzili do kopalni, ich żony mały tylko oczy pełne łez, lecz ani jednym słowem nie usiłowały ich powstrzymać.

Oto istota psychologii ludzkiej. Dopóki człowiek nie oszaleje na polu bitwy, dopóty nie może znieść obojętnie wołania o pomoc. Na taki zew bohater idzie i działa, wszyscy zaś czują, że powinni zrobić to samo. Żadne rozumowanie nie jest w stanie oprzeć się dążeniu

do pomocy wzajemnej, ponieważ leżące u podstawy uczucie społeczne zostało wyhodowane przez tysiące lat życia w społeczeństwie ludzkim, i przez setki tysięcy lat życia w społeczeństwach przedludzkich.

Można tu jednak zapytać: A co powiedzieć o tych ludziach, którzy utonęli w londyńskim Hyde Parku wobec ogromnego tłumu, z którego nikt nie ruszył się, by ich ratować? Co powiedzieć o tym dziecku, które wpadło do jednego z kanałów londyńskich również wobec tłumów niedzielnych i zostało uratowane jedynie dzięki przytomności umysłu pewnej służącej, która wysłała na pomoc psa fundlandzkiego? Odpowiedź jest łatwa: człowiek jest wytworem zarówno instynktów odziedziczonych jak wychowania. Praca codzienna i nieustanne wzajemne stykanie się zarówno górników jak rybaków wytwarza w nich silne poczucie solidarności; jednocześnie otaczające ich stale niebezpieczeństwa rozwijają odwagę i śmiałość. W miastach przeciwnie, brak wspólnych interesów wyrabia obojętność, gdy jednocześnie odwaga i śmiałość rzadko, kiedy mają możliwość przejawić się. Dodać do tego należy, że bohaterska tradycja pomiędzy górnikami lub rybakami wciąż jeszcze żyje, otaczając ich czyny blaskiem szczególnym. Jaką jednak tradycję posiada tłum londyński? Jedyna tradycja, jaką tłum ten mógłby posiadać, pochodziłaby z literatury; w miastach jednak nie ma nic, co odpowiadałoby bohaterskim eposom wiejskim.

Co się zaś tyczy powieściopisarzy, cała ich uwaga zwrócona jest tylko na jeden rodzaj bohaterstwa, mianowicie na bohaterstwo, wywołane przez ideę państwa. Toteż podziwiają oni bohatera rzymskiego lub żołnierza w bitwie, lecz przechodzą obojętnie obok bohaterstwa rybaka lub górnika. Poeta lub malarz mógłby oczywiście dać się wzruszyć przez samo piękno serca ludzkiego; rzadko jednak zna on życie klas ubogich i o ile łatwo opiewa bohatera rzymskiego lub wojskowego w ich środowisku konwencjonalnym, o tyle trudno mu wydobyć piękno tkwiące w warunkach życia ludzi biednych, w warunkach zgoła artystycznie nieznanym.

Do instytucji pomocy wzajemnej zaliczyć możemy niezliczone towarzystwa, kluby i związki mające na celu uprzyjemnienie życia, badania naukowe, samokształcenie itd. Związki takie w ogromnej ilości powstają rokrocznie i samo wyliczanie ich zabrałoby nam niezmiernie dużo czasu.

Do tego samego rodzaju organizacji należą również dobroczynne zrzeszenia religijne, których członkowie — przynajmniej w znakomitej większości — są niewątpliwie pobudzeni tym samym uczuciem potrzeby niesienia pomocy wzajemnej, które jest wspólne całej ludzkości. Niestety, duszpasterze przypisują te uczucia działaniu czynników nadprzyrodzonych.

Wszystkie takie fakty dowodzą niezbicie, że bezlitosna pogoń wyłącznie za interesem osobistym, bez względu na bliźnich, bynajmniej nie jest jedynym charakterystycznym znamiem życia współczesnego.

Gdy przejdziemy od życia publicznego do życia prywatnego ludzi współczesnych, znajdziemy się wobec całej sieci zwyczajów i czynów pomocy wzajemnej, zwykle przez socjologów pomijanych, ponieważ zjawiska te ograniczają się do ciasnego koła stosunków rodzinnych lub przyjacielskich.

W panujących obecnie warunkach społecznych wszelka łączność pomiędzy mieszkańcami jednej ulicy lub jednego domu zostania zerwana. W zamożnych dzielnicach wielkich miast ludzie całymi latami mieszkają obok siebie nie znając najbliższych nawet sąsiadów. W dzielnicach uboższych jednak mieszkańcy każdego domu znają się między sobą i wzajemnie sobie pomagają. Oczywiście, zdarzają się tam kłótnie jak zresztą wszędzie; tam jednak ludzie łatwiej się zbliżają kierując się sympatią osobistą i pomoc wzajemna znajduje zastosowanie znacznie szersze niż w klasach zamożnych. Jeśli spojrzymy np. na dzieci bawiące się na chodniku lub podwórku, od razu będziemy musieli stwierdzić, że — pomimo chwilowych bójek — działa pomiędzy nimi poczucie solidarności, chroniące je nieustannie od najrozmaitszego rodzaju nieszczęść. Gdy tylko któryś z malców nachylił się nad otworem z kanału, drugi natychmiast ostrzega go: "Nie zaglądam tam, tam siedzi febra!" "Nie włącz na ten mur, bo pociąg zabije cię, jeśli spadniesz! Nie podchodź blisko do studni! Nie jedz tych jagód — to trucizna, umrzesz!" Oto pierwsze nauki, jakie słyszy dziecko, gdy znajdzie się poza progiem mieszkania. O ileż liczniejsze byłyby nieszczęśliwe wypadki pomiędzy dziećmi, ileż więcej byłoby przejechanych, utopionych itd., gdyby nie działała nieustannie tego rodzaju pomoc wzajemna. Jeśli zaś mimo wszystko jakiś Jaś lub Zosia wpadnie do kanału, cała gromada dzieci podnosi natychmiast taki krzyk, że wszyscy zbiegają się na ratunek.

Jeszcze kilka słów o solidarności między matkami. "Nie może pan sobie wyobrazić — mówiła mi pewna lekarka pracująca w dzielnicy ubogich — jak bardzo kobiety tam sobie nawzajem pomagają. Jeśli która kobieta nie może sobie przygotować nic dla dziecka, którego się spodziewa — a jakże często to się zdarza — każda sąsiadka przynosi cokolwiek dla nowego przybysza. Jedna z sąsiadek stale opiekuje się dzieckiem, dopóki matka nie może wstać z łóżka." Jest to zwyczaj bardzo rozpowszechniony. Mówi o nim każdy, kto żył pośród ubogich ludzi. Matki na tysiąc sposobów pomagają sobie wzajemnie i roztaczają opiekę nad nie swoimi dziećmi.

Rozdział 9. Wnioski

Jeśli teraz oprzemy się na wszystkich wywodach, jakie można osiągnąć z analizy współczesnego społeczeństwa, zestawiając je z całokształtem świadectw dotyczących doniosłego znaczenia pomocy wzajemnej dla rozwoju świata zwierzęcego oraz ludzkości – to będziemy mogli dojść do wniosków następujących:

W świecie zwierzęcym widzieliśmy, że znakomita większość gatunków pędzi życie społeczne, i że uspołecznienie jest najlepszą bronią w "walce o byt", pojmowanej oczywiście w szerokim darwinowskim znaczeniu, tj. nie jako walka o same środki do bytu, lecz jako walka ze wszystkimi warunkami niesprzyjającymi rozwojowi gatunku. Te gatunki zwierzęce, w których walka pomiędzy jednostkami została jak najbardziej ograniczona i u których przeciwnie, pomoc wzajemna rozwinęła się najsilniej, zawsze i wszędzie są najliczniejsze, najzdrowsze i najzdolniejsze do dalszego rozwoju. Gatunki te dzięki pomocy wzajemnej żyją najdłużej, osiągają najwyższy poziom umysłowy oraz rozwój przyzwyczajzeń coraz bardziej społecznych, co zapewnia im zachowanie gatunku, jego rozpowszechnienie i jego postępowy rozwój. Przeciwnie, gatunki niespołeczne skazane są na zagładę.

Gdy z kolei zajęliśmy się człowiekiem, przekonaliśmy się, że już w epoce kamiennej, w samym zaraniu ludzkości, żył on w klanach i plemionach; spotkaliśmy długi szereg instytucji społecznych, rozwiniętych już w najniższych okresach życia ludzkiego, w okresie klanowym i plemiennym; przekonaliśmy się także, że zwyczaje pochodzące z najwcześniejszych okresów życia plemiennego były zarodkiem tych instytucji, które potem wytyczyły zasadnicze linie postępu. Z dzikiego plemienia rozwinęła się wiejska wspólnota barbarzyńców i oto widzimy nowy znacznie szerszy krąg instytucji i zwyczajów społecznych. Wiele z tych instytucji i zwyczajów wciąż żyje jeszcze pośród nas. Gdy wreszcie nowe potrzeby doprowadziły ludzi do nowych urządzeń, te same dążenia ujawniły się wyraźnie również i w utworzeniu miast średniowiecznych, będących podwójną siecią związków terytorialnych (wspólnoty wiejskie) i gildyjnych, opierających się na wspólnej pracy w jakimś rzemiośle lub na potrzebie pomocy wzajemnej i obrony.

Wreszcie w ostatnich dwóch rozdziałach wykazaliśmy, że jakkolwiek rozwój państwa wzorowanego na Rzymie cesarskim położył koniec wszystkim średniowiecznym instytucjom pomocy wzajemnej, to jednak ta nowa forma cywilizacji nie mogła być trwała. Państwo oparte na luźnym zbiorowisku niczym niepowiązanych jednostek i uważające się za jedyny łącznik pomiędzy nimi, nie było w stanie sprostać swemu zadaniu. Dążenie do pomocy wzajemnej ostatecznie przełamała żelazne prawa państwa. Przejawiła się ona na nowo w niezliczonej ilości najrozmaitszych zrzeszeń, dążących do objęcia wszystkich stron życia społecznego, do zaspokojenia wszystkich potrzeb ludzkich i wynagrodzenia szkód powodowanych przez życie. Zapewne niejeden z czytelników zrobi uwagę, że co prawda

dążenie do pomocy wzajemnej jest jednym z czynników rozwoju, jednak nie jest czynnikiem jedynym; powie, że obok tego prądu, choćby był on najpotężniejszy, jest i był zawsze drugi prąd — samookreślania się jednostki: dążenia do zdobycia wyższości osobistej lub klasowej, gospodarczej, politycznej lub umysłowej. Ten drugi prąd jest nie mniej poważnym czynnikiem wówczas, gdy chodzi o zrywanie więzów, o łamanie tych form skamieniałych, w które życie plemienia, wspólnoty wiejskiej, miasta i państwa, usiłuje wtłoczyć jednostkę. Słowem — samookreślanie się jednostki możemy również uważać za czynnik postępu.

Oczywistą jest rzeczą, że aby dać pełny obraz rozwoju, należałoby rozpatrzyć i uwzględnić oba te czynniki. Ale jednostkowe samookreślanie się, walki o wyższość i wynikające stąd starcia od niepamiętnych czasów były już rozpatrywane, opisywane i sławione. I rzeczywiście — aż do czasów ostatnich tylko ten drugi czynnik zwracał na siebie uwagę poety, epika, historyka i socjologa. Historia taka, jaką dotychczas pisano, jest niemal wyłącznie opisem tych dróg i środków, za których pomocą, teokracja, władza wojskowa, autokracja, a później plutokracja wysuwały się na czoło życia i utrwały się. Walki pomiędzy tymi siłami społecznymi stanowią treść nauki historii. Możemy więc przyjąć, że w dziejach ludzkości znany jest indywidualny czynnik rozwoju; natomiast czynnik pomocy wzajemnej był dotychczas całkowicie zapoznany, w ostatnich zaś czasach wprost negowano jego istnienie lub go wyśmiewano. Toteż uważaliśmy za konieczne wykazać przede wszystkim, jak ogromną rolę czynnik ten odgrywa zarówno w rozwoju świata zwierzęcego jak społeczeństw ludzkich. Dopiero po dokonaniu tego można przystąpić do porównania obu tych czynników.

Oczywiście, nie może tu być mowy o jakiegokolwiek chociażby przybliżonej ocenie obu tych czynników przy zastosowaniu metody statystycznej. Wiemy dobrze, że jedna wojna może wyrządzić więcej bezpośredniego i pośredniego zła aniżeli stulecia całe nieprzerwanego działania zasady pomocy wzajemnej mogą zrodzić dobra. Jeżeli jednak widzimy, że w świecie zwierzęcym czynniki pomocy wzajemnej wyraźnie współdziałają pomyślnemu rozwojowi gatunku, podczas gdy przeciwnie, walka wewnątrz gatunku zawsze występuje współzależnie z jego uwstecznieniem. Jeżeli widzimy, że w społeczeństwie ludzkim nawet zwycięstwo wojenne jest uwarunkowane stopniem rozwoju i uspołecznienia w każdym z dwu walczących narodów, miast, partii lub plemion i że w toku ewolucji nawet sama wojna do pewnego stopnia została podporządkowana dążeniu postępowemu, opartemu na pomocy wzajemnej wewnątrz narodu, miasta lub klanu — wówczas zdajemy sobie sprawę z przeważającego wpływu czynnika pomocy wzajemnej jako elementu postępu. Widzimy także, że praktyczne zastosowanie pomocy wzajemnej stwarza te warunki społeczne, w których człowiek może rozwijać sztuki, wiedzę oraz inteligencję; a także, że te okresy dziejowe, w których instytucje pomocy wzajemnej rozwinęły się najbujniej, były jednocześnie okresami największego postępu w sztukach, przemyśle i nauce. Badania nad wewnętrznym życiem miasta średniowiecznego i starożytnych miast greckich istotnie ujawniają, że szerokie zastosowanie pomocy wzajemnej w gildii i klanie greckim połączone z szeroką inicjatywą indywidualną, a także inicjatywą całych grup przez zastosowanie zasady federacji — dało ludzkości dwie największe epoki jej historii: epokę starożytnych miast greckich oraz epokę miast średniowiecznych. Przeciwnie upadek instytucji pomocy wzajemnej w

następnych okresach historii, kiedy państwo utrwaliło swe panowanie występuje w obu wypadkach współzależnie z szybkim rozkładem społecznym.

Co się tyczy szybkiego postępu przemysłowego, dokonanego w ciągu wieku XIX i przypisywanego zwykle zapanowaniu czynnika indywidualnego oraz współzawodnictwa, to rozwój ten ma o wiele głębsze przyczyny. Skoro dokonano w wieku XV wielkich odkryć, szczególnie zaś odkrycia ciśnienia atmosferycznego, oraz innych wielkich odkryć w dziedzinie fizyki i astronomii, po których nastąpił nieznany przedtem rozwój myśli i filozofii przyrody — a dokonane to zostało w mieście średniowiecznym — skoro powiadam odkrycia te były już dokonane wówczas, samo wynalezienie maszyny parowej oraz cały przewrót, jaki był następstwem zdobycia nowej siły napędowej, były już tylko konieczną tego konsekwencją. Gdyby miasta średniowieczne doczekamy okresu maszyny parowej, etyczne następstwa przewrotu wywołanego przez wprowadzenie nowych sił byłyby może zupełnie odmienne, lecz ten sam przewrót w przemyśle i w nauce odbyłby się w sposób nieunikniony. Pozostaje więc otwarta kwestia, czy ogólny upadek przemysłu, jaki nastąpił po ruinie wolnych miast i był szczególnie uderzający w pierwszej części wieku XVIII nie opóźnił znacznie chwili pojawienia się maszyny parowej i wszystkich tych następstw, jakie pociągnęła ona za sobą? Gdy patrzymy na ten zadziwiająco szybki rozwój przemysłu od XII do XV wieku, gdy przyglądamy się postępom w tkactwie, w obrabianiu metali, w budownictwie oraz w żegludze i zważymy te odkrycia naukowe, które ten postąp przemysłowy przekazał końcowi wieku XV, musimy zapytać się, czy ludzkość nie została powstrzymana w rozwoju na skutek upadku miast średniowiecznych? Oczywiście, zniknięcie rzemieślnika - artysty, ruina wielkich miast i zanik stosunków pomiędzy nimi nie mogły sprzyjać rozwojowi przemysłu. I istotnie wiemy dzisiaj, że James Watt stracił z górą 20 lat, zanim udało mu się urzeczywistnić w praktyce swój wynalazek, ponieważ w wieku XVIII nie mógł znaleźć w Europie rzemieślników, którzy byliby zdolni zrozumieć i dość dokładnie wykonać w metalu polecenie wynalazcy: rzemieślników zaś takich znalazłby on łatwo we Florencji lub w Brugges w epoce średniowiecza.

Toteż przypisywanie współczesnego postępu przemysłowego walce wszystkich przeciwko wszystkim jest rozumowaniem podobnym do tego, gdy ktoś nie znając rzeczywistych przyczyn deszczu przypisuje go ofiarom złożonym przed posągami bożka. Niewątpliwą jest bowiem rzeczą, że dla postępu przemysłowego, jak dla każdego zwycięstwa odnoszonego nad przyrodą, dużo korzystniejsza jest pomoc wzajemna i współdziałanie niż wzajemne zwalczanie się. Ale doniosłe znaczenie zasady pomocy wzajemnej ze szczególną siłą występuje w dziedzinie etyki. Pomoc wzajemna jest rzeczywiście podstawą wszystkich naszych pojęć etycznych. Bez względu na to, jakie pochodzenie przypisywać będziemy poczuciu lub instynktowi pomocy wzajemnej — czy zgodzimy się na jego pochodzenie biologiczne czy też przypiszemy mu źródło nadprzyrodzone — musimy uznać istnienie jego na najniższych szczeblach świata zwierzęcego; i od tych najniższych szczebli możemy śledzić jego nieprzerwaną ewolucję, pomimo wielu przeciwstawiających mu się sił, poprzez wszystkie stopnie rozwoju ludzkiego aż do naszych czasów. Nawet zjawiające się od czasu do czasu nowe religie — a powstają one zawsze w tych okresach, kiedy zasada pomocy wzajemnej chyli się ku upadkowi, w teokracjach i w despotycznych państwach Wschodu lub u

zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego – nawet nowe religie, powiadam, potwierdzają na nowo tę samą zasadę. Religie te znajdowały swoich pierwszych wyznawców przede wszystkim w warstwach najbiedniejszych, najniższych, gdzie pomoc wzajemna jest konieczną podstawą życia powszedniego. I te nowe formy jednoczenia się ludzi, które zostały wprowadzono w pierwotnych gminach buddystów lub chrześcijan, w związkach Braci Morawskich, itp. przybrały charakter powrotu do najlepszych form pomocy wzajemnej praktykowanej w życiu pierwotnego plemienia.

Za każdym jednak razem, gdy usiłowano powrócić do tej starej zasady życia, samo jej założenie ulegało znacznemu rozszerzeniu. Od klanu pomoc wzajemna rozciągnęła się na całe plemię, potem na związek plemion, dalej na naród i wreszcie – przynajmniej jako idea – na całą ludzkość. Jednocześnie zasada ta ulegała doskonaleniu. W pierwotnym buddyźmie, u pierwszych chrześcijan, u niektórych pisarzy muzułmańskich, w pierwszym okresie ruchu reformacyjnego, szczególnie zaś w etycznych i filozoficznych kierunkach XVIII stulecia oraz naszej współczesnej epoki coraz silniej i coraz wyraźniej podkreśla się dążenie do zaniechania dawnej zasady odwetu "sprawiedliwej zapłaty" – dobrym za dobre i złym za złe. Na miejsce tych pojęć wchodzi zasada wznioślejsza: zasada nie szukania zemsty za krzywdę doznaną, zasada darowania więcej, niż spodziewamy się otrzymać: zasada ta uznana jest prawdziwą podstawę moralności, za zasadę wyższą niż proste pojęcie równości lub sprawiedliwości i dającą więcej szczęścia. Uważamy dzisiaj, że pobudką do czynów dodatnich winna być nie tylko miłość, posiadająca zawsze charakter osobisty lub w najlepszym razie rozciągająca się ma plemię, lecz że pobudką tą winno być uświadomienie sobie jedni ze wszystkimi istotami ludzkimi. W praktykowaniu zasady pomocy wzajemnej, która sięga najdalszych okresów ewolucji, odkrywamy rzeczywiste i niewątpliwe źródło naszych pojęć etycznych; stwierdzamy, że w etycznym rozwoju człowieka czynnikiem decydującym jest pomoc wzajemna a nie walka. W dalszym rozwoju tego czynnika poprzez czasy obecne widzimy najlepszą rękojmię coraz wyższego rozwoju naszego gatunku.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Piotr Kropotkin
Pomoc Wzajemna
Jako czynnik rozwoju
1902

pl.anarchistlibraries.net